

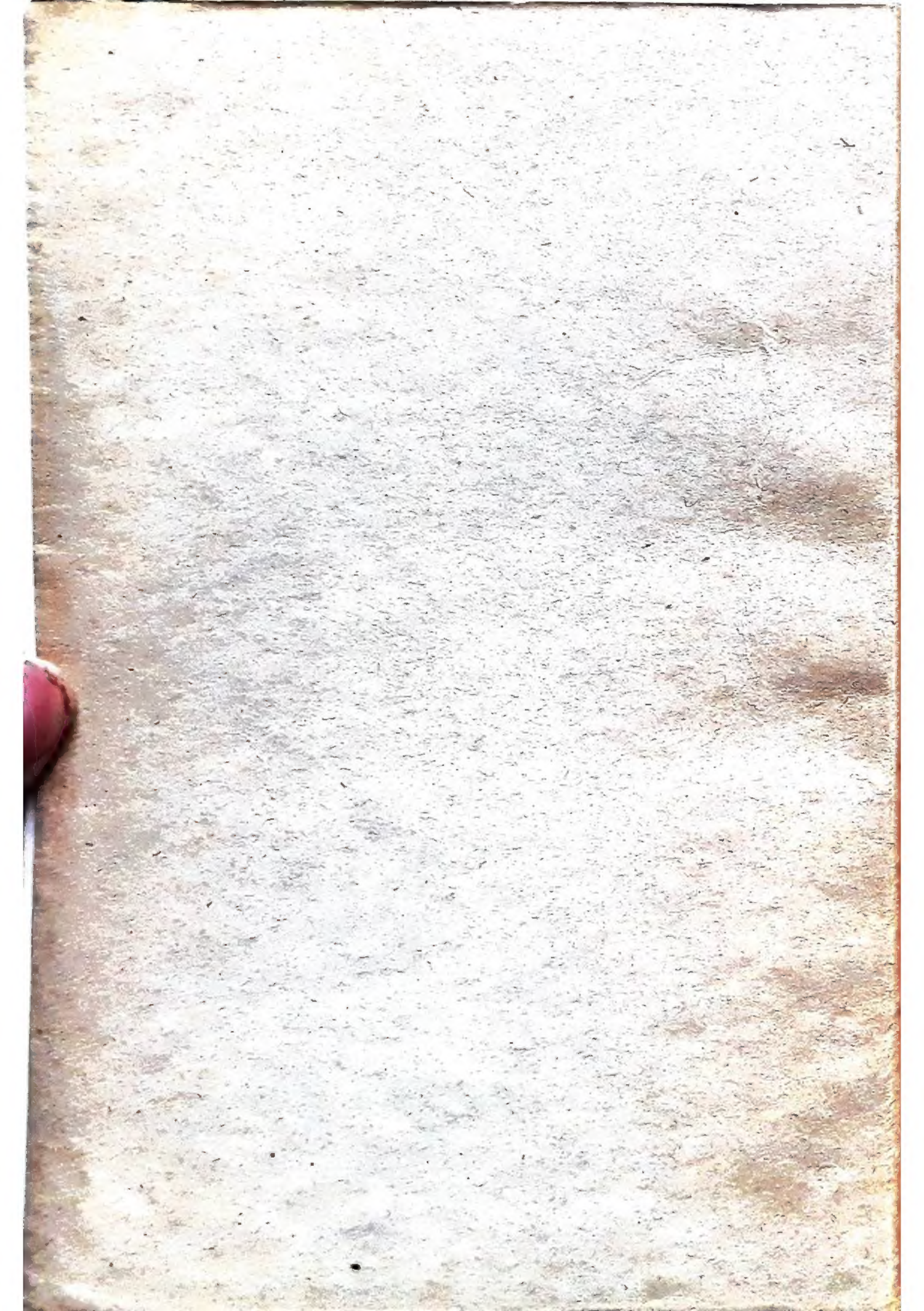
The background of the cover features a silhouette of the Kremlin's towers and spires in dark blue. The sky is a gradient of yellow and orange, suggesting a sunset or sunrise. Two stars are visible on the spires of the towers.

Jakow Rapoport

Sprawa lekarzy kremlowskich

1953

Ostatni akt terroru Stalina



**Sprawa lekarzy
kremlowskich**

*Poświęcam mojej zmarłej żonie i przyjacielowi
Zofii Rapoport*

Jakow Rapoport

Sprawa lekarzy kremlowskich

Przełożyła
ZOFIA BŁASZCZYK

Wydawnictwa ALFA

Tytuł oryginału:
На рубеже двух эпох.
Дело врачей 1953 года

Wydawnictwo „Kniga”, Moskwa 1988

Copyright © 1988 by Jakow Rapoport

Projekt okładki:
PIOTR KAWIECKI

Redaktor:
WIKTOR BUKATO

Redaktor techniczny:
HENRYK PAWŁOWSKI

For the Polish edition
Copyright © 1990 by Wydawnictwa ALFA

ISBN 83-7001-306-6

Wydanie I
Skład: Zakład Poligraficzny Wydawnictw „ALFA”
Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dzielowa
Zam. 527/1100/89. A-74

Raport opowiada...

Wszystko, co należałoby powiedzieć o tej książce w poprzedzającym ją wstępie, zostało w niej zawarte i przedmowa może wydać się zupełnie zbyteczna. Autor, znany radziecki anatomopatolog, zatroszczył się o to, aby z właściwą mu zawodową skrupulatnością wyczerpująco ukazać przyczyny i skutki, postawić wszystkie kropki nad „i”. Opowiedział o sobie i o tym śmiertelnym niebezpieczeństwie, które zawisło nad nim i nad wieloma wybitnymi lekarzami, gdy tylko cud mógł ich uratować... I łaskawy los pozwolił mu uczcić dziewięćdziesięciolecie urodzin publikacją utworu literackiego.

Książka traktuje o „sprawie lekarzy” — ostatnim ogniwie łańcucha zbrodni stalinowskich, które żyją do dziś w pamięci ludzi, mimo iż były starannie skrywane przez wiele lat w nadziei, że zostaną zapomniane, znikną bowiem oprawcy, słuch zaginie o ofiarach, odejdą naoczni świadkowie. Ale żyje jedyny już świadek — autor — i to co było tajemnicą, zostało ujawnione.

Być może kiedyś w przyszłości na podstawie dokumentów, jeśli takowe się zachowają, powstanie historyczno-psychologiczny, etyczno-polityczny lub jakiś inny traktat (a może i niejedna tragedia!), a my opierając się nie tylko na osobistych wspomnieniach, ale również na oficjalnych i wiarygodnych źródłach dojdziemy do prawdy o „sprawie lekarzy”. W jaki sposób i dlaczego tak długo była owiana tajemnicą, jakie było podłoże i przebieg

wszystkich wydarzeń. To prawda, że ci, którzy przeżyli, wiedzieli w sumie dość dużo, ale teraz, kiedy książka została wydana, ujrzeliśmy jak gdyby panoramę złowieszczych wydarzeń. Chociaż autor nieustannie przypomina, że jest jedynie kronikarzem ograniczonym poprzez zakres własnego doświadczenia, a jego utwór „jest tylko osobistym wynurzeniem, sumą jego przeżyć i odczuć” — to mimo wszystko mamy przed sobą jeden z najważniejszych kulturalno-społecznych dokumentów ogromnej wagi, bez którego trudno dziś sobie wyobrazić współczesny proces ideologiczno-literacki.

Wzbogaciliśmy naszą wiedzę o wiele faktów i szczegółów z historii dalekiej i tej bliższej, i ze względu na to wartość poznawcza książki jest bezcenna. Wraz z jej autorem na nowo przeszliśmy opisywane tu koszmarnie piekło, drżeliśmy z przerażenia na myśl, że to wszystko mogło przydarzyć się każdemu z nas. Główne i najważniejsze znaczenie estetyczne narracji to wprowadzenie czytelnika w świat przemyśleń autora i jego odczuć, uczulenie na wszelkie przejawy zła i przemocy.

Dwie linie tematyczne — „narodowościowa”, związana z pochodzeniem autora, oraz „zawodowa” — określiły tematykę utworu. Linie te, przeplatając się i łącząc, złożyły się na „sprawę lekarzy”.

I jak tu po przeczytaniu książki nie wierzyć w „cuda”!... Czyż nie może zachwiać się fundament nauki i „prawda obiektywna”, jeżeli tylko „najczystszy przypadek” — śmierć tyrana — położył kres mającemu wkrótce urzeczywistnić się przestępstwu, którego skutki trudno sobie wyobrazić. A jeśli już mowa o świecie medycznym, to pomyślmy o Śmierci, która w tym przypadku odegrała zbawczą rolę i dla naszego społeczeństwa, i dla „sprawy lekarzy”, i dla autora. Przypuśćmy, że Stalin żyłby dłużej i działał jeszcze jakiś czas, i... trudno sobie wyobrazić, co by się stało: przygotowywano pokazowy proces, prasa podżegana do napastliwych akcji roiała się od wybuchów masowego „oburzenia”, nasilała się antysemicka, a także skierowana przeciwko lekarzom psychoza, rozgorzała mieszczańska wyobraźnia, która, jak czytamy w książce, wymyślała nedorzecznosci jedne bardziej absurdalne od drugich. Niestety, czasem jedynie Śmierć umożliwia społeczeństwu powstrzymanie sprzecznej z prawem działalności. Niechby medycyna przedłużyła życie komuś, kto jest uosobieniem regresu, i niechby przeżył on tylko kilka lat w warunkach wyczekującej niemocy nie-

zadowolonych i walczącej agresji popleczników, to społeczeństwo, przy braku mechanizmów lub hamulców skutecznej kontroli, możliwości demokratycznej zmiany władzy, doboru kadr, poniosłyby niezliczone moralne, psychologiczne, a w innych przypadkach — o czym traktuje książka — także fizyczne straty i cierpienia.

W całym swoim patosie opowieść ta jest protestem przeciwko antysemityzmowi i jakimkolwiek przejawom nacjonalizmu, niestety na razie jeszcze żywego, zmieniającego metody działania. Każdy z nas ponosi w części winę za jakiekolwiek czyny antyhumanitarne, a więc nie tylko za „sprawę lekarzy”, ale i za poprzedzającą ją „walkę z kosmopolityzmem”, która przybierała charakter antysemicki — czyli za rozprawę z członkami Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego.

Czytając książkę mimo woli doznaje się refleksji — nie jest winien „ktoś”, lecz my wszyscy; jedni przemilczeli, drudzy ze złośliwą satysfakcją dolewali oliwy do ognia, jeszcze inni bezkrytycznie wierzyli, ktoś z radością podsuwał „ciekawe pomysły”... Jeżeli opowieść J. Rapoporty pomoże obudzić w sumieniu każdego z nas tę cząstkę winy, to można mieć nadzieję, że coś podobnego więcej się nie powtórzy. Nigdy.

Czyngis Gusejnow
kwiecień 1988 roku

Przedmowa autora

*Ci, którzy w głuchy czas wyrosli,
Nie pamiętają swojej drogi.
Nam — synom dni straszliwych Rosji —
Brak sił, byśmy zapomnieć mogli. **

(Aleksander Błok)

Te słowa motta, zaczerpnięte z wiersza A. Błoka, a odnoszące się do dalekiej przeszłości — wydarzeń pierwszych dziesięcioleci XX wieku — są nadal aktualne. Stąd też ich wróżebny ton.

Wszedłem w życie w końcu dziewiętnastego wieku i kontynuuję je w końcu dwudziestego. Czy trzeba mówić o współczesnym bogactwie wydarzeń o światowym znaczeniu, które zmieniły obraz planety? Zdarzenia te wywarły piętno i na radzieckim medycznym mikroświecie, w którym autor przeżył znaczną część życia i oddał mu niemal „chłodnych obserwacji rozumu i płynących z serca bolesnych spostrzeżeń”.

Powróćmy jednak do motta tej książki. Często spotyka się pogląd, szczególnie wśród ludzi osobiście zainteresowanych, że wiele wydarzeń minionych ciemnych lat winno pójść w zapomnienie. Zdaniem tych ludzi, nie należy przypominać o nich, aby nie okrywać mrokiem świetlanej teraźniejszości. Genialny poeta Aleksander Błok, odnosząc cytowany fragment motta do bliskich jemu lat początku wieku, twierdził, że „synowie dni straszliwych Rosji” nie są w stanie o niczym zapomnieć. Czy my, świadkowie strasznych dni połowy dwudziestego wieku, możemy o nich zapomnieć, mimo że czasami apeluje się o to? Czy trzeba o nich zapomnieć? Rzecz jednak nie w emocjach. To przecież nasz obowiązek wobec następnych pokoleń i historii.

* przełożył Józef Waczków.

Naszą powinnością jest powiedzieć całą prawdę o przeżytej przez nas historii, która przez długie lata była zakazana. Ten obowiązek stał się już literackim i sloganowym truizmem. Naukowa historia potrzebuje nie tylko materiałów dokumentalnych. Niezwykle ważne są dla niej także relacje świadków o charakterze nie tylko publicystycznym czy pamiętnikarskim, ale i artystycznym. To one pomagają zinterpretować dokumenty, uzupełniają je i, jak wynika z naukowych i historycznych poszukiwań, odgrywają istotną rolę.

Książkę tę napisałem, jak to się mówi, jednym tchem. Polegałem przede wszystkim na własnej pamięci, ponieważ długo mnie nie zawodziła. Materiały dokumentalne natomiast były i są nadal dla mnie niedostępne. Zresztą nie odczuwałem potrzeby korzystania z nich — przecież nie jestem historykiem. Starąłem się w sposób obiektywny, zabarwiony tylko naturalnymi osobistymi emocjami, opisać chronologicznie wszystkie fakty, których świadkiem i ofiarą byłem ja sam. Uciekłem się jedynie do niewielu źródeł literackich, które uzupełniły moją opowieść.

Spieszyłem się z pisanem: mobilizował mnie wiek, bałem się, że nie zdążę. Oczywiście, wraz z upływem czasu i w miarę różnych okoliczności może zmienić się sposób interpretacji faktów przedstawionych w książce oraz ich analiza. Przecież myśli zawsze kłębią się w głowie. Gdybym teraz opisywał niektóre wydarzenia i fakty zanotowane 13—15 lat temu, może punkt widzenia byłby zupełnie inny.

Rozdział I

Komunikat rządowy o spisku lekarzy terrorystów. „Lekarze zabójcy” we wcześniejszej historii WCzK i MGB.

13 stycznia 1953 roku całym światem wstrząsnęło oświadczenie opublikowane w centralnych gazetach radzieckich oraz nadane przez radio. W komunikacie tym poinformowano o wykryciu w Związku Radzieckim (a przede wszystkim w Moskwie) zbrodniczej organizacji wyższych pracowników medycznych, którzy dokonali szczególnych przestępstw: korzystając z zaufania pacjentów powodowali śmierć chorych w wyniku stosowanej przez siebie terapii. Ich ofiarami byli wybitni działacze radzieckiego państwa — Szczerbakow, Żdanow, wysocy dowódcy wojskowi. Organizacja ta skupiała wybitnych przedstawicieli radzieckiej medycyny — profesorów i akademików, a także zwykłych lekarzy. Ich przestępcza działalność, którą realizowali na rzecz wywiadów krajów kapitalistycznych, nie ograniczała się do uśmiercania pacjentów, ale obejmowała również szpiegostwo. W komunikacie wymieniono nazwiska niektórych aktywnych członków przestępczej organizacji: M. Wowsiego, J. Etingera, B. Kogana, M. Kogana, A. Grinsteina i innych. Należał do niej także artysta ludowy ZSRR i znany działacz społeczny S. Michoels (kilka lat wcześniej w Mińsku zginął w niewyjaśnionych okolicznościach pod kołami ciężarówki; nie odnaleziono ani samochodu, ani kierowcy). Ideologią tej przestępczej szajki był żydowski burżuazyjny nacjonalizm, czerpiący natchnienie z amerykańskiej organizacji żydowskiej „Joint” (jak się później okazało, osoby związane ze sprawą nie podejrzewały istnie-

nia takiej organizacji i nawet nie znały tej nazwy). Komunikat miał ostry wydźwięk antysemicki.

Przed ogłoszeniem owego oświadczenia, a także później, niezależnie od sprawy organizacji żydowskich burżuazyjnych nacjonalistów, aresztowano wielu wybitnych uczonych o nieżydowskim pochodzeniu — W. Winogradowa, W. Wasilenkę, W. Zielenina, B. Preobrażenskigo, M. Jegorowa i innych, natomiast grupę żydowską dodatkowo uzupełnili profesorowie J. Szereszewski, M. Sierejski, J. Tiomkin, E. Gelstein, B. Zbarski, M. Peuzner, J. Feigel, W. Niezlin, N. Wilk, autor niniejszej książki — J. Rapoport i wielu innych. Niektórzy z nich zmarli jeszcze przed ogłoszeniem komunikatu, innych zaś oskarżono pośmiertnie (Kogana i Peuznera, Etingera zaś aresztowano w 1950 roku; zmarł w więzieniu, jeszcze zanim włączono go do spisku „potworów w ludzkim ciele”).

Sam komunikat z 13 stycznia o aresztowaniu dużej grupy lekarzy nie był zaskoczeniem. Aresztowania rozpoczęły się już w listopadzie 1952 roku — nazwiska aresztowanych oraz ich liczba nie była tajemnicą ani w Moskwie, ani w innych dużych miastach.

Grupowe aresztowania pracowników o różnych specjalnościach nie były nowością dla obywateli radzieckich. Obok aresztowań wśród inteligencji w ogóle, miały miejsce masowe aresztowania „grup zawodowych”: inżynierów, konstruktorów, geologów, rolników, wojskowych, a także działaczy społeczno-politycznych. To z nich w GPU-MGB formowano specjalistyczne grupy konspiracyjne, które później skazywano na likwidację, na mocy wyroków jawnych lub, co się częściej zdarzało, tajnych sądów. Zaskoczeniem były potworne oskarżenia pod adresem wielu lekarzy, znanych klinicystów, cieszących się zawodową sławą.

W historii kryminalistyki państwa radzieckiego zdarzały się przypadki analogicznych oskarżeń skierowanych przeciwko lekarzom, lecz odnosiły się one do pojedynczych przedstawicieli świata medycznego. Chronologicznie rzecz biorąc pierwszy był doktor Cholin, który pod koniec lat dwudziestych zniknął niespodziewanie i nikt nie wiedział, z jakiego powodu został uwięziony i jakiej zbrodni się dopuścił. Fama głosiła, że aresztowano go w związku z operacją, jaką przeprowadził na M. Frunzem. Chodziły słuchy, że na operację wrzodów na dwunastnicy u Frunzego bardzo nalegał Stalin. 31 października 1925 roku, po operacji, w której uczestni-

czyły sławy chirurgiczne na czele z profesorem J. Grekowem, Frunze zmarł. Podobno Stalin nie tylko był żywo zainteresowany operacją, ale także jej niepomyślnym zakończeniem. Wersję tę wykorzystał w swym utworze *Opowieść o nie zgaszonym księżycu* Borys Pilniak i przypłacił to życiem. Aresztowano go w 1937 roku, kiedy represje osiągnęły punkt kulminacyjny, pod zarzutem szpiegowskiej działalności na rzecz Japonii (Pilniak był w Japonii i swoje wrażenia z tej podróży opisał w książce *Korzenie japońskiego słońca*), a następnie rozstrzelano. Plotki o wątpliwej konieczności przeprowadzenia operacji, krążące po śmierci Frunzego, dotarły widocznie do „góry”, albowiem w kilka dni po pogrzebie Frunzego opublikowano w prasie mętne wyjaśnienia profesora Grekova, który przytaczał liczne argumenty na potwierdzenie konieczności dokonania zabiegu operacyjnego, a śmiertelne zejście tłumaczył ogólnym wyniszczeniem organizmu pacjenta.

Podejrzenia dotyczące śmierci Frunzego (szczególnie wersja o przedawkowaniu narkozy) mogły być z medycznego punktu widzenia całkiem prawdopodobne. Kategorycznie jednak należy odrzucić myśl o celowym działaniu chirurgów — znanych i szanowanych naukowców. Dziś musimy się zadowolić oficjalnymi materiałami z 1925 roku, zawierającymi zeznania o okolicznościach śmierci Frunzego. Brak innych źródeł informacji na ten temat. * Brak też jakichkolwiek dowodów obciążających Cholina. Jego aresztowanie było prawdopodobnie spowodowane tym, że „organa” potrzebowały go na wszelki wypadek, jako źródła kryminalnego dossier dotyczącego chirurgów zamieszanych w tę sprawę.

Takie dossier często praktykowano w GPU—MGB. Aresztowano drugorzędnych uczestników „przestępstw”; oni też przyznawali się do winy. Główni „przestępcy” nawet nie podejrzewali swego udziału w zbrodniach i spokojnie pracowali, zwykle ciesząc się powszechnym szacunkiem. Nierzadko takie dossier było fabrykowane „dla samego siebie”, z braku na razie możliwości dopasowania do odpowiedniej sprawy.

* Po przekazaniu książki do druku, do redakcji czasopisma *Družba narodow* nadszedł list od J. Wiszniewskiego — syna członka Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego od 1919 roku, uczestnika wojny domowej, rozstrzelanego we wrześniu 1941 roku. List ten zawiera interesujące szczegóły oraz ciekawe relacje świadków śmierci M. Frunzego. Fakty te potwierdzają podejrzenia skierowane przeciwko Stalinowi (przyp. aut.).

Przytoczę teraz pewien paradoks epoki stalinowskiej. W II Moskiewskim Instytucie Medycznym przez wiele lat (1926—1943) oddziałem chirurgicznym kierował wybitny chirurg, później akademik, S. Spasokukocki. Jednym z jego asystentów był doktor Arutiunow. W 1938 roku został aresztowany przez GPU i, jak zwykle, zaginął bez wieści. Przyczyna aresztowania również jak zawsze była tajemnicą. Wkrótce zapomniano o tym epizodzie; w owych czasach takie wydarzenia nikogo nie dziwiły, a i zaginiony nie był kimś szczególnie ważnym.

Nieoczekiwanie w 1940 roku do organizacji partyjnej instytutu nadszedł list od Arutiunowa. Prawdopodobnie na prośbę towarzysza niedoli (Arutiunowa) wysłał go jakiś więzień, który właśnie został zwolniony. W liście tym Arutiunow pisał, że skazano go na 10 lat za udział w organizacji kontrrewolucyjnej, na której czele stał Spasokukocki. Był przekonany, że Spasokukockiego rozstrzelano (widocznie Arutiunow podczas śledztwa przyznał się do winy), skoro jego, współnika szefa organizacji, skazano na 10 lat. Przypadkiem w obozie wpadł w jego ręce strzęp gazety z dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR o przyznaniu Spasokukockiemu orderu Lenina, co świadczyło o tym, że profesor nie tylko nie został rozstrzelany, ale jest cały i zdrowy, i cieszy się poważaniem rządu radzieckiego (później został członkiem Akademii Nauk ZSRR).

W związku z tym Arutiunow prosił organizację partyjną instytutu o wstawiennictwo i pomoc w uwolnieniu go jako niewinnie oskarżonego. Jego prośba pozostała bez echa. Nikt nie chciał ryzykować konfliktu z GPU-MGB, ponieważ wątpliwości co do autentycznej winy aresztowanego były w tym czasie przestępstwem samym w sobie, a przekazanie listu organom sądowym mogło pogorszyć sytuację więźnia.

Sprawy Arutiunowa i Cholina dzieli prawie 10 lat, lecz istota obydwu utwierdza w przekonaniu o niezmienności zasad postępowania „organów”. Pozostaje zagadką celowość takiego postępowania w podobnych przypadkach, tj. zakonspirowanej dyskredytacji politycznej „szefów” poprzez drugoplanowych rzekomych uczestników ich przestępstw. Jest nader prawdopodobne, iż celem było fabrykowanie gotowych dossier na szefów — na wszelki wypadek, na zapas, a nuż się przydadzą! Dlatego też informatorzy byli tu mniej przydatni, ponieważ wszyscy oni donosili raczej o realnych

faktach i gromadzili je w sposób celowy. Bardziej przekonywające były zeznania aresztowanych, bez względu na to, jak je uzyskiwano. Być może Spasokukocki nie był zadowolony z Arutiunowa i komuś o tym opowiedział, a podły pochlebca uwolnił profesora od niewygodnego współpracownika (Spasokukocki jako chirurg cieszył się „na górze” poważaniem i wielką popularnością).

Wydaje się, że Cholin był „pierwszą jaskółką” w wykorzystywaniu medycyny dla celów politycznych, a także pierwszą ofiarą. Jedną z następnych „jaskółek” stała się ogromnym zaskoczeniem. Mowa tu o doktorze J. Kazakowie, słabo wykształconym, lecz przedsiębiorczym lekarzu, o którym było głośno w latach trzydziestych, autorze tzw. terapii bodźcowej jako uniwersalnej metody stosowanej w profilaktyce dolegliwości ludzkich — czyli panaceum na różne schorzenia. Naukową przesłanką tej metody było twierdzenie o wpływie zakłóceń funkcji gruczołów wydzielania wewnętrznego na rozmaite zmiany patologiczne w organizmie człowieka. W szczególności dotyczyło to sfery płci i zmniejszania się z wiekiem jej aktywności, co niepokoiło zwłaszcza podstarzałych oraz zmęczonych burzliwym życiem wyższych działaczy politycznych. W celu unormowania pracy gruczołów wydzielania wewnętrznego choremu wstrzykiwano roztwór wydzieliny odpowiedniego gruczołu; wcześniej określano wymagający korekcji profil endokrynologiczny pacjenta, tj. schemat stanu jego gruczołów wydzielania wewnętrznego.

Z tej terapii mogli korzystać jedynie wybrańcy, czyli przedstawiciele elity radzieckiego społeczeństwa — wysocy urzędnicy państwowi, działacze polityczni, wojskowi itd. Specjalnie dla potrzeb Kazakowa utworzono instytut naukowy, w którym stworzono luksusowe warunki. Sam Kazakow nie podlegał zwykłej krytyce naukowej, a i „góra” traktowała go ulgowo.

N. Rozenel (aktorka, żona komisarza ludowego A. Łunaczarskiego) w swojej książce *Pamięć serca* pisze o tym, jak ciężko chorego Łunaczarskiego (wiernego współpracownika Lenina i pierwszego komisarza ludowego w dziedzinie oświaty) odwiedzili jego przyjaciele, działacze polityczni. Wśród nich był komisarz ludowy do spraw zagranicznych M. Litwinow, który radził Łunaczarskiemu, by skorzystał z usług Kazakowa — lekarza cudotwórcy. Zachęcali, opowiadając o znakomitych efektach terapii Kazakowa, której doświadczyli na sobie. W dodatku Kazakow żalił się,

że nie dopuszczają go do Łunaczarskiego, mimo iż mógłby go wyleczyć w krótkim czasie. Łunaczarski posłuchał przyjaciół i Kazakow zaczął go leczyć swoimi metodami. Wkrótce jednak udowodniono mu jawne oszustwo i sam zaczął się wycofywać, bezskuteczność jego metod terapii była bowiem aż nadto widoczna.

Znając stosunek „wyższych sfer” do Kazakowa byłem niezwykle zdziwiony opowieścią A. Abrikosowa, który w 1934 roku przeprowadził sekcję zwłok W. Menżynskiego, przewodniczącego OGPU, o pewnym epizodzie, który wydarzył się podczas sekcji. Obecny przy tym znany pracownik GPU zwrócił się do Abriksowa ze słowami: — „Proszę się uważnie przyjrzeć, może znajdzie pan w ciele Menżynskiego jakieś ślady działania kazakowskiego zielela?” — Abrikosowa zdziwiła naiwność tego pytania z punktu widzenia możliwości anatomii patologicznej, jak również kontekst, w którym znalazło się nazwisko Kazakowa, będącego w tym czasie u szczytu sławy. Widocznie zawisł już nad nim miecz OGPU, który w cztery lata później spadł mu na głowę. Oznacza to, że atmosfera wokół lekarzy coraz bardziej gęstniała. Kulminacja nastąpiła na procesie w 1938 roku, kiedy to postawiono przed sądem lekarzy oskarżonych o uśmiercenie syna Gorkiego, samego Gorkiego, Menżynskiego i innych. Zgodnie z wyrokiem wydanym podczas tego procesu rozstrzelano doktora L. Lewina (lekarza szpitala kremłowskiego) i I. Kazakowa, a profesora D. Pletniewa skazano na długoletnie więzienie, w którym zmarł. O śmierci samego Menżynskiego w jego biografii (*Wielka Encyklopedia Radziecka*, wydanie II, t. 27) powiedziano: „W. R. Menżynski zginął na bojowym posterunku. Zamordowany nikczemnie przez przywódców antyradzieckiego prawicowego bloku trockistowskiego*.” Wersja o udziale lekarzy w zamordowaniu Gorkiego, odnotowana w sądowych aktach i nie obalona oficjalnie, istniała jeszcze dość długo po likwidacji „sprawy lekarzy”. Trudno było głupcom i łajdakom rozstać się z nią, a świadczy o tym następujący epizod.

W 1967 lub 1968 roku (tj. trzydzieści lat po procesie o zabójstwo Gorkiego) wraz z żoną odpoczywaliśmy w sanatorium „Foros” KC KPZR na Krymie. W sanatorium tym pracownikiem kulturalnym.

* W rzeczywistości W. Menżynski zmarł na skutek postępującej choroby serca, spowodowanej miażdżycą naczyń wieńcowych. Syn Gorkiego przez całe życie leczył się na chroniczne zapalenie płuc, prawdopodobnie pochodzenia gruźliczego. Bezpośrednią przyczyną śmierci było zapalenie płuc oraz powikłania sercowe. To wszystko, co wykazała sekcja zwłok (przyp. aut.).

tj. organizatorem imprez kulturalnych, był młody chłopak, członek KPZR, głupi, zarozumiały fircyk. Pewnego razu zaprowadził grupę kuracjuszy na wycieczkę do sąsiedniego sanatorium „Tesseli” — byłej rezydencji Gorkiego. Popisując się rzekomą znajomością okoliczności śmierci Gorkiego, wskazał kupkę polnych kamieni, które jakoby lekarze Gorkiego kazali mu przenosić z miejsca na miejsce. Miał to być rodzaj ćwiczenia gimnastycznego, które przyczyniło się do przedwczesnej śmierci pisarza. Ten młody dureń przekazywał legendę opartą na materiałach procesu z 1938 roku, które weszły do drugiego wydania *Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej* (patrz biografie Gorkiego i Menżynskiego), legendę co najmniej w części dotyczącą przestępczej działalności lekarzy *. Z mistyczną grozą spoglądali kuracjusze na tę kupkę kamieni, których dotyczyły umęczone dłonie Gorkiego, przymuszanego przez oprawców w białych fartuchach. W ten sposób pojedynczy lekarze zabójcy lat trzydziestych rozmnożyli się w latach pięćdziesiątych w wielką organizację składającą się z dziesiątek luminarzy medycyny, a całe to zdarzenie weszło do historii pod nazwą „sprawy lekarzy”. „Sprawa”, jak widać, miała poprzedników i nie powstała niczym „Deus ex machina”, wybryk natury, meteor z dalekiego obcego świata, który wdarł się w atmosferę naszej planety.

„Sprawa” była przygotowywana przez cały aparat imperium stalinowskiego, a podłoże dla niej urabiano przez wiele lat. Dlaczego nieszczęście spotkało właśnie tych trzech lekarzy? Spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, przynajmniej jeśli chodzi o L. Lewina i D. Pletniewa. Lewin, pełniący kierownicze stanowisko w szpitalu kremlowskim, był znakomitym specjalistą. W „nagrodę” za przyznanie się do uczestnictwa w „uśmierceniu” Gorkiego i jego syna Lewin mógł wysyłać z więzienia długie listy. Alegorycznym językiem pisał o warunkach życia w więzieniu, o przypisywanym mu przestępstwie, świadomości niebezpieczeństwa zagrażającego jego rodzinie. To dla ratowania bliskich zdecydował się na taki los.

Starszy syn L. Lewina pracował w Komisariacie Ludowym. W chwili aresztowania ojca nie było go w Moskwie. Kiedy dowiedział się o tym fakcie, natychmiast przyjechał do stolicy i chcąc ratować ojca napisał list do Mołotowa, w którym prosił go o wsta-

* Wszyscy skazani w sprawie „bloku prawicowo-trockistowskiego” (w szczególności N. Bucharin) zostali pośmiertnie zrehabilitowani w 1988 roku na podstawie specjalnej decyzji (przyp. aut.).

wiennictwo. Mołotow doskonale znał Lewina, a ich znajomość nie ograniczała się tylko do kontaktów służbowych. Syn Lewina osobiście zaniósł list do KC KPZR. W odpowiedzi aresztowano go i natychmiast rozstrzelano. Rodzina Lewinów przez wiele lat była przekonana, że list nie został doręczony Mołotowowi. Okazało się jednak, że znalazł się w materiałach sprawy o pośmiertną rehabilitację Lewina, a więc dotarł do Mołotowa, o czym świadczyła notatka o następującej treści skreślona jego ręką: „Dlaczego ten «profesor» jest jeszcze w NKID, a nie w NKWD”. Kalambur oprawcy u szafotu! Oczywiście nabrał on znaczenia dyrektywy.

Wiadomość o udziale D. Pletniewa w „uśmierceniu” Gorkiego i jego syna została przyjęta przez społeczeństwo, szczególnie przez kręgi medyczne, co zdawałoby się, wiele już przeszły w 1937 roku, jako mroczna i ponura sensacja. Pletniew cieszył się ogromną popularnością jako doświadczony klinicysta i wybitny uczony, poważany przez wysokich przedstawicieli władz radzieckich. Prawdopodobnie on sam nie znał prawdziwych przyczyn aresztowania i skazania (otrzymał wyrok 25 lat i zmarł w więzieniu w przeddzień „sprawy lekarzy” *). Krążyły na ten temat różne wersje. Przy tej popularności, jaką cieszył się D. Pletniew, organizatorzy wielkiego procesu doszli do wniosku, iż należy przedstawić go jako człowieka zdolnego do niemoralnych czynów. Forma tej dyskredytacji odzwierciedlała poziom kultury i nikczemnej fantazji jej autorów.

Niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, w *Prawdzie* z 8 czerwca 1937 r. na całej szerokości kolumny pojawił się gigantyczny tytuł: „Profesor — gwałciciel i sadysta”. Pod tym krzykliwym tytułem zamieszczono artykuł (o wadze państwowej!); poświęcony amoralnym praktykom profesora P.

Otóż pewnego razu profesora P. odwiedziła w charakterze pacjentki obywatelka B. Profesor, doprowadzony do wścieklej żądz (miał już wtedy ponad 60 lat!), zamiast okazać obywatelce B. niezbędną pomoc lekarską, pogryzł jej piersi i w ten sposób spowodował poważne fizyczne i moralne cierpienia u swojej pacjentki.

Znałem tę B. Była ona reporterką jednej z gazet moskiewskich (wydaje mi się, że *Trudu*); czasami przychodziła do mnie jako pro-

* Według oficjalnych danych D. Pletniew został rozstrzelany w więzieniu orłowskim we wrześniu 1941 roku wraz z wieloma innymi więźniami (przyp. aut.).

rektora II Moskiewskiego Instytutu Medycznego, zasięgając różnych informacji. Powierzchnowość tej pani nie budziła żadnych emocji seksualnych. Była to kobieta może czterdziestoletnia, o wyjątkowo odpychającym i niechlujnym wyglądzie. Długa znoszona spódnica, buty na niskim zdartym obcasie, więcej niż średniego wzrostu otyła brunetka z byle jak przyczesanymi kosmykami włosów, z twarzą okrągłą o grubych wargach. Jedno spojrzenie na nią wyzywało pragnienie jak najszybszego oswobodzenia się od jej obecności. I nagle okazuje się, że ona, tj. obywatelka B., pada ofiarą zapędów profesora P., „gwałciciela, sadysty”. Dowiedziawszy się o tym wyraziłem pogląd, iż gryźć ją można było tylko w celach samoobrony, gdy nie skutkowały inne środki. Niemniej profesor P. był sądzony za ten „barbarzyński” czyn i skazany na 2 lata.

Odpowiedzi na postawione wyżej pytanie należy zapewne szukać w tajemniczych okolicznościach śmierci w 1932 roku N. Allilujewej — żony Stalina. Wiadomo, że popełniła ona samobójstwo strzelając sobie w skroń. Próbowano zataić prawdziwą przyczynę śmierci za pomocą zmiany uczesania N. Allilujewej, tak by włosami zamaskować skroń z raną postrzałową. Oficjalnie poinformowano, iż przyczyną śmierci było zapalenie wyrostka robaczkowego, w co trudno było uwierzyć nawet laikom. Podobno za śmierć żony Stalina ponosili odpowiedzialność: naczelną lekarką szpitala kremłowskiego A. Kanel, L. Lewin i profesor D. Pletniew. Allilujewą widziano w przeddzień tragedii bez jakichkolwiek oznak choroby wyrostka, rano zaś znaleziono ją w łóżku martwą z raną postrzałową skroni. Obok ciała leżał pistolet. Wymienionych lekarzy próbowano nakłonić do podpisania fałszywego aktu zgonu, rzekomo z powodu zapalenia wyrostka. Ponieważ wszyscy trzej kategorycznie odmówili podpisania takiego dokumentu, zrobili to inni lekarze. Stalin nie zapomniał o odmowie i zemścił się fabrykując dowody o „uśmierceniu” Gorkiego przez Pletniewa i Lewina. A. Kanel zmarła w 1936 roku na zapalenie opon mózgowych i tylko dlatego nie podzieliła losu „morderców” Gorkiego.

Czym zawinił J. Kazakow, do tej pory pozostaje tajemnicą. Jak już wspomniałem, cieszył się uznaniem popleczników Stalina, znał też wiele jego sekretów i mógł okazać się niedyskretny. Może dlatego organa bezpieczeństwa państwowego zwróciły na niego uwagę.

Rozdział II

Opinia publiczna w przeddzień „sprawy lekarzy”. Walka z kosmopolityzmem, „służalnością wobec Zachodu” i o priorytety narodowe, terror w świecie medycznym i poza nim.

Długo pracowano nad antysemickim charakterem „sprawy lekarzy”, a psychologicznym przygotowaniem do niej była tak zwana walka z kosmopolityzmem, rozpoczęta w 1948 roku przez artykuły redakcyjne w gazetach *Prawda* oraz *Kultura i Życie*. Demaskowano w nich szkodliwą działalność krytyków literackich, muzycznych i teatralnych, głównie pochodzenia żydowskiego, którzy jakoby w swoich recenzjach poniewierali utwory rosyjskich pisarzy, poetów, dramaturgów i jednocześnie wystawiali utwory obce człowiekowi radzieckiemu. Piętnowano owych krytyków jako kosmopolitów oderwanych od ojczyzny, którym obce jest wszystko co rosyjskie i na co oni bezwstydnie pluja.

Ataki te znalazły szeroki odzew ze strony pokrzywdzonych oraz ze strony służalczych osób i organizacji. Dość charakterystyczne dla owego czasu było sprawozdanie z zebrania partyjnego Związku Pisarzy Radzieckich, opublikowane w *Prawdzie* z 11 lutego 1949 roku pod tytułem „O pewnej antypatriotycznej grupie krytyków teatralnych”. Na zebraniu w roli prelegenta wystąpił sekretarz zarządu Związku Pisarzy — A. Sofronow, który powiedział: „Grupa zażartych, niegodziwych ludzi niewiadomego pochodzenia, kupczyków i beczelnych kombinatorów od krytyki teatralnej, została druzgocąco skrytykowana w artykułach redakcyjnych na łamach gazet *Prawda* i *Kultura i Życie*. Ta antypatriotyczna grupa, wyhodowana na zgniłych drożdżach burżuazyjnego

kosmopolityzmu, dekadentyzmu i formalizmu, przez długi czas tworzyła swoje antynarodowe dzieło. Krytycy kosmopolici spowodowali niemało szkód w radzieckiej literaturze i sztuce; po chuligańsku ganili i złośliwie szkalowali wszystko to, co było nowe, postępowe, najlepsze w radzieckiej literaturze i teatrze... Juzowski, Gurwicz, Borszczagowski, Bojadżijew, Altman, Warszawski, Malugin, Chołodow i inni antypatrioci kosmopolici popierali ideologię burżuazyjnego Zachodu. Płaszcząc się przed burżuazyjną kulturą, zatruli zdrową atmosferę sztuki radzieckiej cuchnącym hurrakosmopolityzmem (?!), estetyzmem i pańskim snobizmem (?!)". W dalszym ciągu wypowiedzi Sofronow przystąpił do konkretnego demaskowania ich działalności. Na przykład krytykowali oni takie sztuki patriotyczne jak *Wielka siła* Komaszowa i *Zielona ulica* A. Surowa. Trzeba powiedzieć, że spektakle te były wystawiane na deskach Teatru Małego i MChAT przy prawie pustej widowni, choć bilety rozprowadzano bezpłatnie na uczelniach i w zakładach pracy, a bywały przypadki, że inspicjent zwracał się do publiczności z prośbą o zajęcie bliższych rzędów, ponieważ aktorom trudno grać przed pustą widownią. W swym referacie Sofronow szczególnie zażadle zaatakował Altmana za to, że ów inscenizację sztuki *Księżniczka Turandot* uważał za sztandarową (wagę i znaczenie tego przedstawienia potwierdziła jej dalsza historia teatralna). Miazdzącej krytyce poddano również działalność J. Subockiego, który „starał się odwrócić uwagę pisarzy od wymierzania razów kosmopolityzmowi”. Podobnej krytyce poddano twórczość Erlicha, Danina i innych. O Daninie mówiono, iż „odziedziczył on metody zatwardziały kosmopolitów, w swoim czasie tępiących Gorkiego i Majakowskiego (kim byli ci kosmopolici?) i sławiących antynarodową, bezideową poezję (później uznaną za szczytowe osiągnięcie w tym gatunku literackim) B. Pasternaka i A. Achmatowej (!)". Cały referat to oszczerstwa i obelgi, w których jego autor nawet w najmniejszym stopniu nie dążył do zachowania choć elementarnej prawdy; to donos bez zachowywania pozorów prawdopodobieństwa i przyzwoitości.

Wszelkie zjawiska społeczne mają swych wyrazicieli. Dlatego i walka z kosmopolityzmem musiała przybrać postać walki z konkretnymi głosicielami kosmopolitycznego zła.

W pierwszej fazie tej walki zaatakowano krytyków literackich. Później zaczęto doszukiwać się oznak kosmopolityzmu w twórczo-

ści pisarzy i poetów. Na przykład stwierdzono, że bohaterem poematu Bagrickiego *Rozmyślania o Apanasie* jest Żyd — Józef Kogan, a sam Bagricki również jest Żydem. Już tytuł książki J. Utkina *Opowieść o rudym Motelu, rabinie Isaju i komisarzu Błochu*, świadczy o pochodzeniu i narodowości bohatera, dlatego też utwory te są kosmopolityczne. I. Erenburg pisał (*Nowyj Mir*, nr 3/1965, s. 123) o szykanach i poniżeniu, jakie musiał znosić w czasie pięciotomowego wydania jego utworów. „Prawie na każdej stronicy książki, wielokrotnie wcześniej wydawanej, doszukiwano się niedozwolonych treści. Przypadkiem zachowała się u mnie kopia listu wysłanego do najwyższych instancji w styczniu 1953 roku; szukałem wówczas pomocy. Pomimo różnorodnych zmian w tekście wymagano ode mnie, abym zmienił niektóre nazwiska w nowelach „Dzień drugi” i „Bez tchu”. Zarzucano Erenburgowi, iż „w obydwu księgach napisanych o narodzie rosyjskim, który wraz z innymi narodami buduje fabryki i przekształca Syberię, zbyt wielu bohaterów nosi nierdzienne nazwiska.” Sporządzono listę tych nazwisk — było ich siedemnaście (spośród dwustu siedemdziesięciu sześciu) w noweli „Dzień drugi” i dziewięć (na sto siedemdziesiąt cztery) w „Bez tchu”. „Pomyślałem wtedy”, dodaje Erenburg, „coż zrobić z nazwiskiem, które znajduje się na karcie tytułowej?”. Erenburg przez delikatność (a raczej przez wzgląd na cenzurę) nie wspomina, jakich „nierdzennych nazwisk” dotyczyły wymagania cenzorów i redaktorów książek, lecz wynika to z samego brzmienia nazwisk bohaterów oraz nazwiska autora na karcie tytułowej.

Cała kwestia polegała na tym, że oderwani od narodu kosmopolici niewiedomego pochodzenia, bez ojczyzny, nie byli w stanie zrozumieć twórczości Rosjan, rosyjskiej i radzieckiej przyrody, dlatego też nie mieli żadnego prawa ich tykać. Ideolodzy walki z wynarodowionymi kosmopolitami przypuszczalnie zabroniliby i Izaakowi Lewitanowi, wielkiemu piewcy rosyjskiej przyrody, malowania jej swym genialnym, ale żydowskim pędzlem. Nieprzypadkowo w okresie walki z kosmopolityzmem poddano krytyce twórczość Bagrickiego, Swietłowa, W. Grossmana, a z Wielkiej Sali Konserwatorium usunięto portret Mendelssohna. Wizerunek tego wybitnego dziewiętnastowiecznego kompozytora, który zapisał się na kartach kultury muzycznej nie tylko swoją niezwykłą twórczością, ale i „odkryciem” mało dotąd znanego Bacha, znajdował się w medalionie Wielkiej Sali obok innych wybitnych

kompozytorów o światowej sławie. „Eksportacji” portretu Mendelssohna dokonano w okresie walki z tak zwanym kosmopolityzmem, będącej przykryciem najbardziej jawnego i otwartego antysemityzmu. „Wyrzucono” nie Wagnera, innego niemieckiego kompozytora, ale przy tym zażartego niemieckiego nacjonalistę i szowinistę, głoszącego bluźnierczo, iż geniusz Beethovena należy tylko do Niemiec i tylko im służy. Twórczość Wagnera, znakomita pod względem muzycznym, została wykorzystana przez hitlerowców do celów wojskowych, podobno bowiem była uosobieniem prawdziwego niemieckiego ducha. Zdjęto portret rodaka Wagnera — Żyda niemieckiego Mendelssohna, a powieszono na jego miejscu portret Dargomyżskiego. Nie wdając się w rozważania nad twórczością obydwu kompozytorów — Mendelssohna i jego „zmiennika” — trzeba wspomnieć o tym, iż w czasie budowy Wielkiej Sali Konserwatorium (pod koniec XIX wieku) komitet społeczny, który nadzorował budowę, zdecydował, iż w medalionach powinny znaleźć się jedynie symfoniści (Dargomyżski zaś nie napisał ani jednej symfonii). Wbrew tej zasadzie portret Mendelssohna, który przeżył w Wielkiej Sali Konserwatorium dwóch carów samodzierżców i carski antysemityzm, zastąpiono wizerunkiem Dargomyżskiego.

Radzieckie społeczeństwo na przestrzeni dziesiątek lat zdążyło się już przyzwyczaić do wymiany portretów, przede wszystkim wizerunków skazanych lub oskarżonych o jakieś przestępstwa działaczy politycznych i państwowych. Po nagłym zniknięciu ze ścian tego czy innego portretu obywatele radzieccy dowiadawali się, iż „oryginał” także przepadł bez śladu z areny politycznej, a najczęściej — z tego padółu. Wizerunek Mendelssohna nie należał do tej kategorii znikających portretów. Prawdopodobnie w zdjęciu wizerunku Mendelssohna przejawiała się „zdrowa radziecka inicjatywa” urzędników, wykazana przez nich na niwie walki z kosmopolityzmem. Mendelssohnowi po prostu się nie poszczęściło: urzędnicy stwierdzili, iż jest niedopuszczalne, aby portret kompozytora o takim nazwisku i pochodzeniu znajdował się wśród artystów rosyjskich i innych narodowości, naruszałoby to bowiem aryjską czystość linii portretowej całej galerii wizerunków sławnych muzyków.

Z radziecką ideologią walki z kosmopolityzmem zbieżne są sądy hitlerowca, zięcia Himmlera, wypowiedziane w rozmowie z ra-

dzieckim pisarzem Ginzburgiem *. Hitlerowiec ów głosił: „Naród — to pojęcie niezwykle złożone, na które składają się elementy etnograficzne, psychologiczne i biologiczne. Jeśli ktoś chce — także rasowe. Z tym bezwzględnie należy się liczyć. Ja na przykład nie mogę nazwać niemieckim pisarzem kogoś, kto pisze po niemiecku, lecz na skutek swojego pochodzenia i biologicznego ukonstytuowania nie jest w stanie wyrazić ducha narodu językiem, którym się posługuje. Zdarzają się oczywiście wyjątki, lecz...” Replika Ginzburga: „Mówiąc o wyjątkach zapewne ma pan na myśli Heinego?”. Odpowiedź hitlerowca: „Heine to zjawisko niezwykle skomplikowane i sprzeczne zarazem. Rodem znad Renu, jako człowiek wrażliwy przyswoił sobie w dużym stopniu cechy ducha niemieckiego, czego potwierdzeniem jest jego *Lorelei*... Tym niemniej Heine nie mógł — jak również nie powinien był! — zapomnieć o swoim pochodzeniu, a utwory, w których przebija się ów motyw, i tak pozostaną dla nas obce... Posłużę się może innym przykładem. Chodzi mianowicie o doskonałego kompozytora Mendelssohna-Bartholdy’ego. Czyż możemy uznać jego wspaniałą muzykę za niemiecką? Myślę, że nie. Kultura narodowa, podobnie jak i sam naród, nie znosi żadnych domieszek... Przynależność człowieka do narodu określa tylko skład jego krwi”.

Taka jest oto tragiczna jednomyślność zażartego hitlerowca i bojowników o unicestwienie kosmopolityzmu.

Walka z kosmopolityzmem i jego przejawami — „płaszczaniem się przed Zachodem” — wyszła oczywiście również poza obręb środowiska literackiego i teatralnego. Walkę tę należało kontynuować wszędzie i wszędzie znajdować kosmopolitów. Jej antysemitkie ukierunkowanie było na tyle jawne, iż trudno było je skryć pod listkiem figowym radzieckiego internacjonalizmu. W owym czasie popularny był dwuwiersz:

„Nie chcesz zostać antysemitą,
nazwij Żyda kosmopolitą.”

Zdarzało się wszakże, że delikatny listek figowy rwał się i wówczas powstawała niezręczna i niepożądana sytuacja publicznego naruszenia dziewictwa politycznego. Tak było w Instytucie Chorób Zawodowych, gdzie na radzie naukowej poddano surowej krytyce

* *Nowyj Mir* 10/1969, s. 133—134 (przyp. aut.).

znanego uczonego, autora interesującej monografii *Biomechanika ruchu* — profesora fizjologii Bernsteina. Ortodoksyjni patrioci w pracy tej dopatrzyli się przejawów „służalczości”. W obronie uczonego wystąpiła młoda aspirantka. Stwierdziła po prostu: — To nieporozumienie, przecież Mikołaj Aleksandrowicz nie jest Żydem!”. — Istotnie N. Bernstein był rdzennym Rosjaninem o obco brzmiącym nazwisku (wielu Rosjan nosiło takie nazwiska; swoje pochodzenie wywodzili od Szwedów, Francuzów, Niemców nadbałtyckich itp.).

Walka z kosmopolityzmem nie miała nic wspólnego z teoretycznym zasadniczym różnicowaniem się dwóch pojęć: kosmopolityzmu oraz internacjonalizmu. W pracach teoretyków marksistowskich oba te terminy były używane bez wrogości. W ramy walki z kosmopolityzmem logicznie wplotła się walka ze „służalczością” wobec Zachodu, jego nauki, kultury, literatury, poezji, sztuki i oczywiście zwycięzcą w tej walce została narodowa rosyjska i radziecka nauka, kultura, literatura i poezja, a także sztuka. Obywatele radzieccy wszelkimi sposobami odcinali się od złych wpływów Zachodu. Izolacja ta obejmowała celową niedostępność obcej literatury pięknej i naukowej. Z muzeów wycofano szereg arcydzieł malarstwa zachodniego. Rozpoczęła się aktywna propaganda muzyki mistrzów rosyjskich i radzieckich (jako przeciwwaga twórczości kompozytorów zachodnich). Szczególnie zawziętymi w walce ze służalczością byli spółodzeni przez stalinowski reżim lizusi bez zasad i wrażliwości.

Walka z kosmopolityzmem zmieniła się w kampanię o udowodnienie priorytetu rosyjskich i radzieckich autorów w dziedzinie nauki, techniki i przyrodoznawstwa.

Niestety, pogoń za priorytetem w radzieckiej medycynie i naukach biologicznych przyjmowała często charakter poniżających awantur uwłaczających dla autentycznego wielkiego wkładu uczonych rosyjskich i radzieckich do dorobku światowego. Ale pozbawieni zasad prymitywni bojownicy o priorytety rodzimych uczonych nie byli w stanie tego pojąć. Ponieważ autorstwo wielu wybitnych osiągnięć naukowych nie wymagało dowodów (np. J. Pawłow), zajadli patrioci swój żar skierowali ku mało znaczącym odkryciom. W poszukiwaniach opierali się na ogólnych zasadach walki z kosmopolityzmem i „służalczością”, a wsparciem dla nich były wskazówki faworyta Łysenki co do ignorowania „rozkładają-

cej się burżuazyjnej nauki". Pokolenie lekarzy i biologów oderwane od światowej nauki dusiło się we własnym sosie oraz w atmosferze dyletantyzmu. Dla sprytnych i przebiegłych działaczy takie całkowite odizolowanie narodu od literatury obcej sprzyjało wykorzystaniu jej do plagiatu i wydaniu jako dzieł oryginalnych. Walka ze służalczością dawała nie tylko aureolę bojownika patrioty, ale i umożliwiała czerpanie z niej dodatkowych korzyści materialnych.

W istocie owe starania o odbudowanie priorytetu rodzimych uczonych w dziedzinie biologii i medycyny sprowadziły się do kilku nieudanych prób, które nie tylko nie przyczyniły chwały rosyjskiej i radzieckiej nauce, ale wręcz pozbawiły ją godności.

Całemu światu medycznemu znane są mikroskopijnej wielkości guzki powstające w tkankach organizmu chorego na reumatyzm, głównie zaś w sercu. W całej międzynarodowej literaturze medycznej (do pewnego czasu i w literaturze radzieckiej) określa się je mianem „guzków Aschoffa”. Nazwę tę otrzymały od nazwiska anatomopatologa niemieckiego, który odkrył je i opisał w 1904 roku. Radziecki anatomopatolog W. Tałałajew, który studiował budowę tych guzków, uzupełnił ich opis o niektóre istotne szczegóły. Miało to miejsce w 1932 roku, a sam uczony radziecki nazywał je „guzkami Aschoffa”. W końcu lat czterdziestych zrodziła się myśl, podyktowana ideą walki o priorytety, aby nazwę „guzki Aschoffa” zastąpić inną — „guzki Tałałajewa”. Lekarze, którzy nie byli obznajmieni z istotą sprawy, wystraszeni możliwością ewentualnych zarzutów o służalczość bezkrytycznie przyjęli nową nazwę, a radziecka literatura medyczna mogła poszczycić się „guzkami Tałałajewa”. A. Abrikosow musiał wystąpić z wyjaśnieniem ich prawdziwej historii i braku jakichkolwiek podstaw do nazywania tych tworów imieniem Tałałajewa. Niemniej w literaturze radzieckiej (i tylko w niej) przyjęto kompromisową nazwę „guzki Aschoffa-Tałałajewa”. W literaturze obcej (szczególnie wydawanej w NRD) kiedy w tekście wspomina się o „guzkach Aschoffa”, to w przypisie zaznacza się, że w ZSRR nazywają się one „guzkami Aschoffa-Tałałajewa”. Kompromis ten miał chociaż sporne, ale uzasadnione podstawy w badaniach Tałałajewa nad cyklem rozwojowym „guzków Aschoffa”, czego nie można powiedzieć o innych analogicznych usiłowaniach.

Znanym objawem w chirurgii, występującym przy zapaleniu

otrzewnej, jest tzw. symptom Blumberga. Ograniczeni rzecznicy priorytetu rosyjskiej nauki stwierdzili, iż przed Blumbergiem wykrył ten symptom diagnostyczny rosyjski chirurg Szczotkin. W rezultacie więc zmieniono nazwę na „symptom Szczotkina” i wprowadzono go do radzieckiej literatury medycznej. Wówczas okazało się, że Blumberg był rosyjskim profesorem o obco brzmiącym nazwisku, jakich wiele spotykało się na terytorium nadbałtyckim. Należało ponownie dokonać zmiany nazwy objawu, który dziś (ze wstydu, a może w wyniku ostrożności politycznej) zwany jest symptomem Blumberga-Szczotkina.

Wydaje się zbyteczne przytaczanie dalszych przykładów tego rodzaju praktyk, a było ich wiele. Po całej akcji poszukiwania priorytetu pozostały jedynie anegdoty. Jedna z nich mówi o tym, że według niepodważalnych informacji prawo wartości dodatkowej odkrył jakiś wieśniak z guberni saratowskiej na wiele stuleci przed Marksem, lecz nie mógł go opublikować jedynie z powodu analfabetyzmu.

Chociaż kampanię o priorytety zakończono przed pojawieniem się „sprawy lekarzy”, to jednak odcisnęła ona wyraźne piętno na radzieckiej nauce medycznej.

Walka z kosmopolityzmem objęła też sferę organizacyjną. W moskiewskich wyższych uczelniach medycznych realizowano tę walkę poprzez masowe zwalnianie profesorów i wykładowców pochodzenia żydowskiego. W II Moskiewskim Instytucie Medycznym zwolniono z pracy profesorów E. Gelsteina, J. Feigela, J. Etingera, A. Grinsteina, A. Heselewicza i innych. Byli to wybitni uczeni i znakomici specjaliści. Wszyscy, za wyjątkiem Heselewicza, zostali aresztowani w związku ze „sprawą lekarzy”. Procedura oraz powody zwolnienia profesorów były stereotypowe. Wyznaczono komisję, która kontrolowała pracę katedr i klinik kierowanych przez wymienionych naukowców oraz uczestnictwo ich w wykładach. Nie trudno się domyślić, że komisja z łatwością odkrywała wiele jawnych zaniedbań w pracy owych naukowców. Wyniki kontroli oraz wnioski były omawiane przez radę instytutu lub przez organizację partyjną (jeśli profesor był członkiem KPZR), po czym podejmowano decyzję o zwolnieniu. Zdarzało się, że przewodniczący siejącej pogrom komisji lub jej aktywny działacz był osobiście zainteresowany zdjęciem kierownika katedry, ponieważ obiecano mu to stanowisko. Wygnanie pracowników

żydowskiego pochodzenia z wielu medycznych uczelni ułatwiło licznym tępakom łatwy awans. Wyżsi urzędnicy państwowi zdawali sobie sprawę, że owe masowe zwolnienia doświadczonych pedagogów i uczonych-lekarzy będą miały negatywny wpływ na poziom naukowy, dydaktyczny oraz terapeutyczny medycyny radzieckiej. Zjawisko to traktowano wszakże jak nieuniknioną „chorobę o ostrym przebiegu”, którą trzeba przejść w imię świetlanej przyszłości wielu uczelni medycznych Moskwy, Leningradu itd., już bez Żydów. Odpowiedzialne stanowiska przejmowano bez obaw i stresów, a sami pracownicy byli przekonani, że rozum przyjdzie z wiekiem.

Procedurę usuwania człowieka z dziedziny, której poświęcił cały swój talent, uczonego i pedagoga, chcę zilustrować na przykładzie mojego bliskiego przyjaciela E. Gelsteina. Był on jednym z typowych przedstawicieli tego pokolenia pracowników medycznych, które aktywnie kształtowało oblicze radzieckiej medycyny w jej praktycznym i naukowym aspekcie, w przygotowaniach i wykształceniu kadry lekarzy.

E. Gelstein szybko znalazł się w pierwszych szeregach twórczej młodzieży medycznej i nic dziwnego, że w 1931 roku trzydziesto-paroletniemu Gelsteinowi zaproponowano objęcie katedry terapii oraz terapeutyczną klinikę wydziałową w II Moskiewskim Instytucie Medycznym. Na przestrzeni 21 lat, z przerwą spowodowaną wybuchem II wojny światowej, z powodzeniem kierował tą katedrą, wykazując się ogromnym talentem w pracy pedagoga i organizatora. Ze wszystkich stron wyrażano mu szacunek i uznanie. Przed wybuchem wojny Gelstein jako naukowiec cieszył się doskonałą reputacją. Był pierwszym wielkim radzieckim lekarzem, który już na samym początku wojny zgłosił (wraz ze mną) chęć wstąpienia w szeregi żołnierzy Armii Radzieckiej. Otrzymał powołanie na Front Leningradzki, gdzie miał pracować w charakterze naczelnego lekarza frontu. Wiadomo, jak niezwykle ciężka była sytuacja tego frontu, szczególnie w okresie blokady. Praca Gelsteina została nagrodzona wieloma odznaczeniami państwowymi; otrzymał również zaszczytny tytuł zasłużonego dla nauki. W okresie blokady Leningradu niezwykle powszechną dolegliwością tamtejszej ludności była choroba nadciśnieniowa, która i jego nie oszczędziła. Powrócił z frontu z zaawansowaną postacią tej choroby (która była przyczyną jego przedwczesnej śmierci w 1955 r.). Po

demobilizacji powrócił do kliniki i swej codziennej pracy, cały czas ukrywając jednak przed bliskimi chorobę. Lecz stopniowo nad jego głową zaczęły pojawiać się czarne chmury. W gazecie II Moskiewskiego Instytutu Medycznego wydrukowano artykuł, w którym cały dorobek profesora Gelsteina nie tyle skrytykowano, co wręcz zbezczeszczono. Był to chamski paszkwil w stylu tamtych czasów; ganiono w nim pracę naukową Gelsteina i wykłady, na które jakoby spędzano studentów siłą. Dla profesora był to niespodziewany cios; ciężko znosił tę sytuację. Wkrótce wydarzenia potoczyły się według znanego schematu: atakowano również niektórych współpracowników profesora (a w szczególności pewną współpracownicę), jego praca była analizowana na zebraniach aktywu partyjnego w stylu ogólnie przyjętym przy rozpatrywaniu tego rodzaju spraw. Właśnie na jednym z takich zebrań Gelstein miał atak serca. Następnie rozpatrzono materiały zebrane przez komisję, które oczywiście potwierdziły zarzuty stawiane w artykule i uzupełniły jego oszczerczy charakter. Rankiem następnego dnia po tej naradzie Gelstein zadzwonił do mnie i poprosił, abym przyjechał do niego. Nigdy dotąd nie przypuszczałem, że ten dumny i opanowany człowiek będzie szlochał, nie mogąc się powstrzymać. W płaczu tego już niemłodego mężczyzny, który przeżył życie w atmosferze szacunku do swojej naukowej pracy, był głęboki ból spowodowany niezasłużoną krzywdą. Przeżycie to odbiło się na jego sercu nadwerężonym w czasie blokady Leningradu. Nastąpiły nowe ataki serca, z późniejszym aneurysmem i Gelstein sam zrezygnował z pracy w katedrze. W 1953 roku aresztowano go w związku ze „sprawą lekarzy”; dwa lata później zmarł.

Przy okazji chciałbym wspomnieć o niektórych wydarzeniach, które miały bezpośredni związek z włączeniem mojej osoby do kręgu „zabójców w białych fartuchach”. Konieczne jest również nakreślenie ogólnej sytuacji w świecie medycznym, jaka poprzedzała „sprawę lekarzy”, oraz przedstawienie niektórych osób.

W prosektorium I Szpitala Miejskiego pracowała Kaleria G. Była to sympatyczna młoda kobieta z nieco mieszczańskimi zapatrywaniami na kulturę oraz życiowe potrzeby, o średnich umiejętnościach zawodowych: karierowiczka. W 1940 roku skierowano ją do mnie na aspiranturę, lecz jesienią roku 1941 zgłosiłem się do Armii Czerwonej i moja rola opiekuna naukowego się skończyła. Ponownie podjąłem pracę dopiero pod koniec

1945 roku w szpitalnym prosektorium, w którym ona pracowała. Powiniennem tutaj wspomnieć o jej sytuacji w prosektorium i naszych wzajemnych stosunkach, albowiem znalazły one oddźwięk w wydarzeniach 1953 roku.

W okresie mojego kilkuletniego pobytu na froncie Kaleria G. nawiązała stały kontakt z profesorem B. M. W tym czasie profesor sprawował kierownictwo naukowe nad Kalerią G. i zaproponował jej temat rozprawy doktorskiej; była to dość prymitywna koncepcja, jeśli chodzi o wartość merytoryczną, lecz spełniała wymagania stawiane w tym czasie pracom doktorskim. Kaleria G. była zainteresowana utrzymywaniem stosunków z B. M., gdyż pozostając pod jego opieką mogła łatwiej uzyskać tytuł naukowy doktora niż przy moich wymaganiach. Jeśli chodzi o praktykę anatomopatologa, czyli o praktykę w szpitalnym prosektorium, Kaleria G. podlegała mnie, lecz dwuznaczność sytuacji powodowała napięcie w naszych stosunkach.

Pewnego razu, latem 1951 roku (lub 1952 — dokładnie nie pamiętam) Kaleria G. oświadczyła mi, iż następnego dnia ma się zgłosić w MGB i że nie zna przyczyny wezwania. Do tej pory nie wiem, dlaczego powiedziała mi o tym, tym bardziej, że każde wezwanie do tej instytucji wiązało się z poleceniem zachowania tajemnicy. Prawdopodobnie domyślała się (może nawet wiedziała), że sprawa dotyczy mojej osoby, i być może w najlepszej intencji chciała mnie o tym uprzedzić. Kiedy po wizycie w MGB spytałem ją o przyczynę wezwania (po tamtej pierwszej rozmowie z nią miałem do tego prawo), odpowiedziała mi, że chodziło o zameldowanie jej matki w Moskwie (która przyjechała z Ukrainy), lecz treść odpowiedzi i jej forma nie budziły wątpliwości, iż była to wymówka spreparowana wcześniej. Prawdopodobnie polecono jej śledzić moje poczynania. Zaczęła postępować w sposób bardziej niezależny, a nawet spierała się ze mną przy omawianiu wyników dotyczących sekcji, które, jej zdaniem, ujawniły błędy w leczeniu. Wiele razy opowiadałem profesorowi A. Topczanowi — głównemu lekarzowi szpitala i mojemu przyjacielowi — o naturze moich skomplikowanych stosunków z Kalerią G. Kiedy zwierzyłem mu się, że chciałbym się od niej uwolnić, stracił swoje zwykłe panowanie nad sobą i wzburzonym szeptem powiedział: — Jeśli dziś tkniemy ją palcem, to jutro nas tu nie będzie, rozumiesz? — W ten sposób dał mi do zrozumienia, iż jako kie-

rownik tej placówki zdaje sobie sprawę z roli Kalerii — informatora MGB. Wybiegając naprzód powiem, iż nawet szczegóły moich wzajemnych stosunków z Kalerią G. i rola w nich B. M. były znane MGB, o czym świadczyło wiele wypowiedzi oficera śledczego.

Zapamiętałem pewną scysję z G., wynikłą podczas analizowania materiałów jakiejś sekcji. Zdemaskowała się wtedy jako pracownik MGB, ponieważ ów przypadek znalazł się w materiałach śledztwa. Chodziło tu o młodą kobietę, która w klinice ginekologiczno-położniczej profesora I. Feigela (on również nieco później znalazł się w grupie „lekarzy morderców”) urodziła zdrowe dziecko. Kilka dni po porodzie u owej kobiety nastąpiły powikłania mózgowe, które stały się przyczyną śmierci. Sekcji zwłok dokonała Kaleria G. Pod koniec sekcji zaszedłem do prosektorium i zobaczyłem taką oto niemą scenę: po jednej stronie stołu, na którym leżały otwarte zwłoki kobiety, stała w tryumfalnej pozie Kaleria G., po drugiej zaś — blady jak płótno, zmartwiał z przerażenia, załamany Feigel i kilku jego pracowników w podobnym stanie.

Kaleria G. wyjaśniła mi, co zaszło. Otóż wykryła ona zakrzepicę naczyń krwionośnych w oponie twardej mózgu i poważne zakłócenia krwiotoku mózgowego. Przyczyną zakrzepicy była posocznica, tj. poporodowe zakażenie krwi.

Sądząc po reakcji profesora Feigela i jego asystentów, to orzeczenie, które wywołało u nich szok, stanowiło jakieś zagrożenie. Zakażenie poporodowe w szpitalu położniczym to bardzo nieprzyjemne wydarzenie. Każdy taki przypadek należy szczegółowo wyjaśnić przed specjalną komisją złożoną ze specjalistów położników. Ponadto należy podjąć specjalne działania profilaktyczne zapobiegające rozprzestrzenianiu się infekcji w klinice położniczej. Jest to sytuacja nadzwyczajna, ale nie tak znów dramatyczna, żeby wywołać podobne uczucie grozy u pracowników, a szczególnie u dyrektora kliniki — profesora Feigela.

Najczęściej źródłem zakażenia krwi u rodzących jest jakieś ognisko zapalne w ich organizmie; wyjątkowo rzadko zdarza się, by odpowiedzialny za infekcję był personel medyczny biorący udział w akcji porodowej. Zwykle wszystkie te okoliczności ustala się poprzez bardzo dokładną i obiektywną analizę, którą klinika jest zawsze niezmiernie zainteresowana. Widocznie w danym przypadku nie mogła ona liczyć na obiektywizm; sytuacja była nie-

normalna. Stąd też — strach przed konsekwencjami usprawiedliwiony wydarzeniami bezpośrednio poprzedzającymi opisywane zajście.

Były one związane z profesorem Feigelem, członkiem KPZR, na którego w pewnym okresie zorganizowano zażartą nagonkę, podobnie jak na wielu profesorów żydowskiego pochodzenia, kierujących katedrami II Moskiewskiego Instytutu Medycznego. Atakujący działali zgodnie ze stereotypowym szablonem. Starali się wykazać kierownictwu kliniki zawodową niekompetencję profesora (I. Feigel do tamtej pory ponad dwadzieścia lat pomyślnie kierował kliniką). Oprócz tego zarzucano mu przeprowadzanie szkodliwych dla zdrowia doświadczeń na rosyjskich kobietach (właśnie tak!). Przywódcą atakującej grupy był profesor Ż.

Widziałem siłę i środki ataku skierowanego przeciwko profesorowi Feigelowi; dlatego też nie było w tym nic dziwnego, że orzeczenie Kalerii G. o poporodowym zakażeniu krwi zabrzmiało dla niego jak dzwon pogrzebowy. Do tej pory nie mogę rozwiązać tej zagadki, czy ów wniosek był jedynie rezultatem ignorancji, ponieważ w historii choroby brak było jakichkolwiek ogólnie znanych, klasycznych objawów zakażenia krwi. W materiałach sekcji również ich nie znaleziono; rozpoznano jedynie zakrzepicę żył opon mózgowych, i nie wiedząc o przyczynach jej rozwoju, G. posłużyła się całkowicie nieuzasadnionym wyjaśnieniem — posocznica z zakrzepicą żył opon mózgowych. Aby wykazać czytelnikowi absurdalność takiego orzeczenia, należałoby przedstawić patologię zakażenia krwi i kryteria jej diagnostyki w klinice oraz na stole sekcyjnym. Trudno to wytłumaczyć potocznym językiem. Dlatego też proszę wierzyć mojemu pięćdziesięcioletniemu doświadczeniu, a także mojej wiedzy: nie było nawet cienia zakażenia. Potwierdza to analiza historii choroby; u położnicy już przed porodem były zmiany w składzie krwi, które spowodowały powstanie zakrzepicy w okresie poporodowym, kiedy organizm szczególnie narażony jest na zakłócenia krzepliwości krwi. Jednak Kaleria G. nie chciała zrezygnować ze swojej niedorzecznej wersji i przypadek ten, obok innych, znalazł się w moim kryminalnym dossier w MGB jako dowód tuszowania przeze mnie przestępczych działań żydowskich profesorów.

Jeśli chodzi o profesora Feigela, jego los jako kierownika katedry był już przesądzony, a stanowisko po nim przejął atakujący Ż.

Profesor Ż. reprezentujący podobny poziom etyczny i zawodowy, w moim zupełnie poprawnym i obiektywnym zachowaniu (tym bardziej, że wiedziałem, z kim mam do czynienia), w kontaktach służbowych upatrywał z mej strony chęć podważenia jego autorytetu naukowego.

Pewnego razu, kiedy jesienią 1952 roku przypadkowo spotkaliśmy się w holu Domu Uczonych, przedstawił mi w sposób mętny swoją ocenę mojej działalności i zakończył słowami: — Cóż, nie szkodzi, nie szkodzi, wkrótce się pan dowie... — Ale o czym się miałem dowiedzieć, tego mi nie powiedział. W jego słowach wyczułem jawną pogrozkę i rzeczywiście „wkrótce się dowiedziałem...” Kiedy oskarżono mnie o ukrywanie zbrodni żydowskich terrorystów i dyskredytację uczciwych radzieckich uczonych, z łatwością rozpoznałem, że maczał w tym palce Ż.

Przytoczone przeze mnie historie są typowe dla tego okresu, warianty zaś mogły dotyczyć jedynie reakcji serca; w zależności od emocjonalnej wytrzymałości podmiotu (dostanie zawału, czy nie!).

Podobne wydarzenia bynajmniej nie sprzyjały zachowaniu na uczelni atmosfery niezbędnej do pracy twórczej, naukowej i pedagogicznej. Jeszcze nie usuniętych profesorów dławiło oczekiwanie na usunięcie i psychologiczna presja ogólnej atmosfery. Wielu profesorów, niezależnie od przynależności narodowościowej, skarżyło się na napięcie, w jakim prowadzili swoje wykłady; niezwykle przeszkadzało skrępowanie spowodowane obawą przed złym doбором słów. Bali się tego, iż mogą zostać źle zrozumiani, a ich sformułowania wypaczone. Wykładom przysłuchiwali się „wyławiacze” „kosmopolitycznych i innych wypaczeń ideologicznych” (medycynę należało przed nimi chronić!). Ponieważ bali się wykorzystywania do tych celów zdobyczy techniki (np. zamaskowanych magnetofonów), przyczyniało się to niekiedy do powstawania tragikomicznych sytuacji. Jeden z takich epizodów, charakterystyczny dla opisywanej epoki, zasługuje na przytoczenie.

Uczestniczyły w nim następujące osoby: profesor A. Czarny, kierownik katedry patofizjologii Centralnego Instytutu Doskonalenia Kadr Medycznych, człowiek przesadnie ostrożny, który żył

w nieustannym strachu przed nieprzyjemnościami, oraz profesor S. Maszkowski, członek korespondent Akademii Nauk Medycznych, kierownik katedry parazytologii w tym samym instytucie, uczony o światowej sławie, nieposzlakowanej opinii i wysokiej kulturze.

Pewnego jesienno wieczoru 1952 roku w moim gabinecie zadzwonił telefon i w słuchawce usłyszałem zdenerwowany głos Czarnego. Rozmowę z nim przytaczam prawie dosłownie.

— Jakowie Lwowiczu, proszę mi powiedzieć, czy profesor M. jest pana przyjacielem? — Ja, oczywiście, odpowiedziałem twierdząco (od wielu lat był on serdecznie zaprzyjaźniony ze mną, a także z moją rodziną). — W takim razie — kontynuował profesor Czarny — powinienem ostrzec pana, żeby był pan w stosunku do niego ostrożny, ponieważ to podlec i prowokator!

Początkowo nawet nie zrozumiałem, o kim on mówi, albowiem takiej opinii zupełnie nie kojarzyłem z osobą S. Maszkowskiego. Zapytałem więc Czarnego, o kogo chodzi, na co ten odpowiedział, że właśnie mówi o Maszkowskim. Na pytanie — Co się stało? — Czarny odpowiedział, że pewnie jeszcze nie wiem o wystąpieniu Maszkowskiego na dzisiejszym zebraniu rady profesorów instytutu. Byłem wstrząśnięty. Nawet nie dopuszczałem myśli o jakimś podłym postępcu Maszkowskiego. Mogło jednak tak się zdarzyć, że ów, na skutek złej orientacji w ogólnej sytuacji, dopuścił się jakiegoś przejęzyczenia, które mogło wyzwolić u Czarnego tego rodzaju odczucia. Okazało się, że „prowokacyjne” wystąpienie profesora Maszkowskiego polegało na tym, iż mówił on o chęci wyposażenia katedr w magnetofony, w celu nagrywania wykładów. Kamień spadł mi z serca. Przypomniłem sobie, że Maszkowski niejednokrotnie żałował, iż nie posiada magnetofonu, ponieważ często traci bezpowrotnie wiele ciekawych myśli, które wypowiada podczas wykładu. Całkowicie podzielałem jego życzenie, gdyż każdy wykład, który nie jest szablonowy i stereotypowo „wykuty”, stanowi faktycznie proces twórczy, zasługujący na utrwalenie na taśmie magnetofonowej.

Spytałem A. Czarnego, w czym upatruje ów podły, prowokacyjny charakter tego wystąpienia, i dodałem, że opinię o konieczności zakupu nieraz słyszałem od profesora Maszkowskiego. Na to Czarny odpowiedział: — Jak to! Czy pan nie rozumie, że on chce, aby wykłady były nagrywane! — Zrozumiałem wtedy obawy

Czarnego. Patofizjologia to jedna z głównych dyscyplin teoretycznych na studiach medycznych, a w teorii medycyny w tamtych czasach panował całkowity rozbrat, szczególnie w związku z toczącymi się dyskusjami, i jakakolwiek wypowiedź mogła być uznana za bunt przez strażników metodologicznej czystości w teoriach medycyny. Nie można było uskarżać się na brak podobnych funkcjonariuszy, często nawet posiadających stopnie i tytuły, którzy pragnęli ogrzać swe karierowiczowskie ręce przy ogniu metodologicznej czujności. Ten epizod jedynie mnie rozbawił, choć nie było w tym fakcie nic wesołego. S. Maszkowski był bardzo zaskoczony i zdenerwowany, gdy dowiedział się o nieoczekiwanej interpretacji jego niewinnego w normalnym społeczeństwie wystąpienia.

Nie jestem w stanie ogarnąć całego horyzontu politycznego okresu, który przygotowywał „sprawę lekarzy”, i okresu, który ją poprzedzał. Mogę jedynie przedstawić go z punktu widzenia osobistych odczuć, jako silne psychologiczne oddziaływanie różnych dziedzin życia społecznego, a zakończone tą właśnie „sprawą”.

Aresztowano lekarkę — akademik L. Sztern. Rozgromiono i aresztowano Żydowski Komitet Antyfaszystowski prawie w pełnym składzie. Jego tragiczny los — egzekucja w dniu 12 sierpnia 1952 roku — stał się znany dopiero później. Było to unicestwienie kultury żydowskiej w ZSRR, zlikwidowanie najwybitniejszych jej przedstawicieli. Dalej, tragiczna śmierć (zaplanowane i zorganizowane zabójstwo) znakomitego artysty S. Michoelsa (Wowsiego). Wreszcie proces Slansky'ego w Czechosłowacji. Tutaj po raz pierwszy otwarcie zadźwięczały antyżydowskie nutki: uczestnictwo „syjonistów” w potwornych zbrodniach, współpraca z gestapo, rola w śmierci Fučika *. W procesie tym sądzono również lekarzy oskarżonych o uśmiercenie wybitnych działaczy politycznych Czechosłowacji. Pamiętam swoją ocenę tego wydarzenia, i jakie wrażenie wywarło ono na mnie. Nie trzeba było być prorokiem, żeby przewidzieć, iż proces ten oraz jego podłoże ideologiczne

* Fučík Julius (1903—43) — czeski publicysta, pisarz, działacz komunistyczny, stracony przez hitlerowców. Autor dziennika z hitlerowskiego więzienia *Reportaż spod szubienicy* oraz wielu artykułów krytyczno-literackich (przyp. tłum.).

to preludium do rozwoju analogicznych zjawisk u nas, że pod tym względem nie pozostaniemy w tyle za Czechosłowacją. Rozumiałem również, że antysemicki charakter tego procesu i udział w nim lekarzy — to wstęp do zorganizowania takiego procesu u nas, tylko z większym rozmachem, proporcjonalnie do wielkości państwa. Całe lato i jesień 1952 roku minęły w przygnębiającej atmosferze wokół tej sprawy.

W radzieckim świecie medycznym oraz w moim bezpośrednim otoczeniu, jeszcze przed sprawą Slansky'ego miały miejsce epizody zwiastujące zbliżającą się burzę. Niektóre dotarły do mnie znacznie później; nie podejrzewałem nawet ich istnienia, był to bowiem okres, operując terminologią medyczną, „utajonych symptomów poprzedzających rozwój choroby”: jak się później okazało, okres ów był dość długi.

Pierwszy jawny symptom dał się zauważyć zimą 1950/51 roku w postaci dzwonka telefonu. W odpowiedzi na moje „halo”, usłyszałem głucho brzmiący głos, który bez żadnego wstępu powiedział: — Proszę słuchać i nikomu nic nie mówić. Dzwonię z MGB. Jutro o godzinie 15 proszę się stawić na Wołchonce w pobliżu domu nr (chyba 7). Ktoś będzie tam czekał. — Ton był absolutnie rozkazujący i nie dopuszczał żadnych sprzeciwów czy wymówek. Chyba nie trzeba mówić, jak byłem zdenerwowany tym zaproszeniem, którego celu i sensu nie rozumiałem. Wiedziałem, że z tą organizacją nie ma żartów i że będę musiał pójść. O wyznaczonej godzinie byłem na miejscu spotkania; podszedł do mnie wysoki mężczyzna (nie pamiętam, czy był w płaszczu pracownika MGB, czy też w cywilnym ubraniu) i zaprosił mnie do mieszkania na parterze, do którego drzwi prowadziły prosto z ulicy. Sądząc po umeblowaniu było to zwykłe kilkupokojowe mieszkanie.

W jednym z nich siedziała jakaś kobieta, która wyglądała na sprzątaczkę, i kiedy przechodziliśmy obok niej, zajęta szyciem czy też haftowaniem, nie zwróciła na nas uwagi. Czy było to zwykłe mieszkanie, wcześniej wynajęte od gospodarzy do „spotkań roboczych”, czy też mieszkanie specjalnie przeznaczone przez MGB w tym właśnie celu — pozostawało dla mnie zagadką, której nie starałem się rozwiązać, choć samo wyposażenie mieszkania zadziwiło mnie swoją pospolitością i mieszczańskim smakiem. Wraz

z moim towarzyszem wszedłem do ostatniego z pokoiów, gdzie odbyliśmy „serdeczną pogawędkę”. Zaczęła się od uprzejmego zainteresowania moim zdrowiem i samopoczuciem. Potem padło jeszcze kilka ogólnych pytań, na które dawałem równie ogólne odpowiedzi. Z ogromnym, lecz starannie ukrywanym napięciem, cały czas czekałem z pewną dozą ciekawości na wyjaśnienie celu mojej wizyty; przecież zaproszono mnie tutaj nie po to, abym opowiadał o swoim zdrowiu. Tajemnica ta wkrótce się wyjaśniła. Kapitan poinformował mnie o ogólnej groźnej sytuacji politycznej, w której kraj się znajduje, otoczony ze wszystkich stron wrogami. Powiedział, że zamaskowani wrogowie znajdują się również wewnątrz kraju i że konieczna jest wzmożona czujność, która uniemożliwi realizację zdradzieckich planów. Do tego szlachetnego celu MGB potrzebuje mojej pomocy. Krótko mówiąc, werbowano mnie do grona donosicieli.

Byłem zaskoczony, dlaczego wybór padł właśnie na mnie, lecz zrozumiałem to później. Z dalszej „pogawędki” (właściwie był to po większej części monolog) wywnioskowałem, że mojego rozmówcę szczególnie interesują nastroje żydowskiej części ludności Moskwy: rozmowy, jakie prowadzą Żydzi między sobą (w jakim języku?), szczególnie te, które dotyczą problemów politycznych, przede wszystkim związanych z USA i Izraelem.

Stanowisko, jakie zająłem podczas tej rozmowy, nie było ani trochę oryginalne, a wręcz stereotypowe: oświadczyłem, że jestem obywatelem radzieckim i członkiem KPZR; gdybym zauważył coś podejrzanego, moim obowiązkiem byłoby poinformowanie o tym odpowiednich organów, nie czekając na zaproszenie do współpracy, na co absolutnie nie mogę przystać ze względów charakterologicznych. Ponadto rodzaj mojej pracy sprawia, że więcej mam do czynienia z trupami niż z żywymi ludźmi. Zakres i charakter informacji, jakie do mnie docierają, są wyjątkowo znikome, a krąg ludzi, z którymi utrzymuję stosunki, ogranicza się do niewielkiej liczby lekarzy, przede wszystkim profesorów, kontakty z nimi zaś mają charakter czysto zawodowy. Wówczas mój rozmówca poprosił, abym wymienił nazwiska ludzi, z którymi się stykam. Podałem nazwiska profesorów, z którymi miałem bezpośredni kontakt (Abrikosow, Aniczkow, Winogradow, Łukomski, Bakulew, Preobrażenski, Dawidowski i inni). Nie mogłem pominąć tu moich najbliższych przyjaciół E. Gelsteina

i A. Gubera, domyślając się, że nasza długoletnia przyjaźń jest faktem znanym. Kapitan zanotował wszystkie nazwiska, jakie wymieniłem. Podczas śledztwa dotyczącego „sprawy lekarzy” owa lista była omawiana w czasie przesłuchań.

Kapitan interesował się moimi sprawami służbowymi, warunkami życia, obiecywał, że jego organizacja może je w znaczący sposób polepszyć. Kategorycznie odmówiłem takiego poparcia, twierdząc, że nie czuję potrzeby zmiany warunków życiowych. Ogólnie rzecz ujmując, jak to się mówi w oficjalnych biuletynach, po długiej rozmowie strony nie doszły do porozumienia i mój rozmówca przy pożegnaniu nie ukrywał rozczarowania i niezadowolenia.

Miałem nadzieję, że „temat został wyczerpany” i zostawią mnie w spokoju, lecz nie doceniałem uporu „organów” w dążeniu do osiągnięcia swoich celów i tego, że liczyli oni nie tylko na przyrętną, jaką był awans i poprawa warunków bytowych, ale także na bat, który był w ich rękach i został później wykorzystany.

Minął jakiś czas od tego spotkania (już nie pamiętam, kiedy to było) i znów w moim mieszkaniu zadzwieczał telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem znajomy głos, który zapraszał mnie na spotkanie następnego dnia w holu hotelu „Moskwa” o godzinie 16 przy kiosku z gazetami. Spróbowałem wykręcić się nawałem pracy zawodowej w tym dniu, lecz oczywiście była to naiwna wymówka. Kapitan obiecał, że porozumie się z kierownictwem instytutu, aby zwolniono mnie na ten czas od obowiązków służbowych. Dobrze wiedział, że będę wołał sam załatwić tę sprawę niż korzystać z pośrednictwa „organów”. Szedłem na spotkanie bogatszy o doświadczenie wyniesione z pierwszej rozmowy oraz z twardym postanowieniem, że stanowczo odmówię współpracy — zdecydowany na wszystko, nawet na to najgorsze. Wiedziałem, że nie mogę dać im nawet cienia wątpliwości co do mojej decyzji, że powinna ona być kategoryczna i bez wykrętów w rodzaju — pomyślę, rozważę i dopiero wtedy dam odpowiedź itd. Rozumiałem, że jeśli w moich odpowiedziach będzie choć znikoma, mikroskopijna szczelinka, to oni ją wykorzystają. Szedłem do hotelu z przeświadczeniem, że już nie powrócę. Przy kiosku czekał na mnie znajomy kapitan. Pojechaliśmy windą na jakieś piętro i weszliśmy do pokoju hotelowego, gdzie w fotelu oczekiwał nas pułkownik MGB w mundurze wojskowym (był to stopień jak na owe czasy wysoki).

Potoczyła się dość stereotypowa rozmowa, ale tym razem nikt nie ukrywał, że MGB potrzebuje informacji o Żydach, o nastrojach panujących wśród nich, o antyradzieckich planach i że niezbędna jest tu nie tyle moja patriotyczna i partyjna postawa, co działalność, oczywiście odpowiednio uregulowana i ukierunkowana. Ta część rozmowy była przeprowadzana w ostrym tonie. Pułkownik powiedział, że interesuje ich wiele spraw, np. o czym mówi się przy stole w ścisłym kręgu u naczelnika Gławugła *. Przytoczył żydowskie nazwisko naczelnika (nie pamiętam już, jak ono brzmiało). Być może, że pomyliłem się co do stanowiska, ale w jego nazwie na pewno był człon „ugol”. Powstrzymałem się od pytania, w jaki sposób mogę znaleźć się przy stole tego „ugła”, o którego istnieniu nie miałem pojęcia (podobnie jak i on o mnie); pomyślałem, że w tym pytaniu może pojawić się ta szczelina, której tak się obawiałem, że i problem uczynienia mnie współbiesiadnikiem „ugła” wezmą na siebie.

Pułkownik trzymał w dłoniach wykaz osób, z którymi się kontaktuję, sporządzony podczas pierwszego spotkania, a natknąwszy się na nazwisko Guber powiedział, że należałoby i jego „pomacać”. Odpowiedziałem mu, że Guber nie jest lekarzem, lecz historykiem sztuki, co pułkownik skonstatował, iż historycy sztuki także ich interesują. Dodałem, że Guber nie jest Żydem, a stuprocentowym Rosjaninem; po tym stwierdzeniu zainteresowanie pułkownika Guberem od razu wygasło. Poruszono problem Izraela i marzeń Żydów o powrocie do ojczyzny. Powiedziałem, że o takich marzeniach nic mi nie wiadomo, przynajmniej jeśli chodzi o tych Żydów, z którymi się spotykam. A jeżeli są Żydzi, którzy o tym marzą, to moim zdaniem Związek Radziecki ich nie potrzebuje, niech więc jadą. Na to pułkownik powiedział: — A jeżeli my nie jesteśmy zainteresowani ich wyjazdem? — Stopniowo ton pułkownika ze spokojnego, choć wrogo chłodnego, przeszedł we wzburzony i ostry. Przyczyną była moja zdecydowanie kategoryczna odmowa z powołaniem się na cechy mojego charakteru. Powiedziałem, że absolutnie się nie zgadzam i że nigdy z ust moich współpracowników-Żydów nie słyszałem żadnych wrogich wypowiedzi. Wtedy pułkownik zaskoczył mnie pytaniem: — Nigdy pan nie słyszał, jak uczeni Żydzi twierdzą, że głowy mamy nie gorsze

* Gławugol — Centrala Zaopatrzenia w Węgiel (przyp. red.).

od uczonych amerykańskich, a pracujemy gorzej? — Struchlałem. Od razu poznałem to zdanie; sam je wypowiedziałem w dyskusji z pewnym kuracjuszem, w sanatorium „Istra” zimą 1949/1950 roku. Mówiłem mu o takiej sytuacji w naszych instytutach naukowych, że niezależnie od wielkich wydatków na naukę w ZSRR, z powodu złej organizacji pracy wydajność naukowa jest u nas niska, choć głowy mamy nie gorsze niż amerykańscy uczeni. Usłyszawszy od pułkownika tę frazę, wyrwaną z kontekstu przez informatora (mój rozmówca z pewnością nim był), zrozumiałem, że mają mnie na muszce i że to jest ten bat, którym chcą mnie zastraszyć i zmusić do kapitulacji. Zrobiłem minę, jak gdybym nie rozumiał kryminalnego sensu tej wypowiedzi, i stwierdziłem, że według mnie świadczy ona o patriotycznej postawie jej autora oraz o jego trosce o naukę radziecką. Rozmowa zakończyła się wymysłami (oczywiście z jednej strony) i nakazem: — Wynosić się stąd — który zresztą nie uraził mnie wcale. Z radością wykonałem polecenie. Pozostało tylko przekonanie, że taki stosunek do Żydów jako całego narodu (w 1950 roku) — jest groźną i złowrogą oznaką.

Jednak werbowanie mnie do grona informatorów nie zakończyło się na tym. Epilog miał miejsce jesienią 1950 roku lub wiosną 1951, kiedy to otrzymałem wezwanie do komendy wojskowej gdzieś na Sretence, w okolicy Łubianki, a nie w mojej. Nie trzeba było być zbyt byстрыm, żeby domyślić się, jaką rolę spełnia ów komisariat usytuowany w pobliżu MGB. Nie powiedziałem żonie o niczym, lecz postanowiłem, że na wypadek, gdybym zniknął, powinna dowiedzieć się o przyczynach. Dlatego też zaniósłem do moich najbliższych przyjaciół niewielkie oszczędności oraz skromne rodzinne kosztowności i uprzedziłem ich o tym, iż z owego „komisariatu” mogę nie wrócić. W pustym pokoju czekał na mnie młody człowiek, pod którego dyktando napisałem, że odmawiam współpracy z organami MGB oraz zobowiązuję się zachować w tajemnicy rozmowy, które ze mną przeprowadzono. Napisałem to wszystko bez wahania. Na tym cała epopeja z werbowaniem mnie w szeregi donosicieli się zakończyła; wypłynęła ponownie dopiero w toku przesłuchań w „sprawie lekarzy”.

Pułkownik dał mi zatem jasno do zrozumienia, że mają mnie na oku nie tylko jako potencjalnego, choć nieudanego informatora, lecz również jako obiekt ich działalności. Nawiasem mówiąc, wielu już przywykło do tej myśli i żyło się z nią. Cały czas tkwiła ona

w podświadomości, skąd sygnały beznadziei docierały czasem do świadomości „przy każdej nowej ofiarze walki”. Ale ogromna siła przystosowawcza ludzkiej psychiki dopuszczała „pokojowe współistnienie” tej rzeczywistości z codzienną pracą, kłopotami, z niepokojami natury zawodowej i twórczej. Po cichu, a czasami na głos w towarzystwie bliskich i sprawdzonych przyjaciół cytowałem prawie ironiczne zdanie z *Borysa Godunowa*: „Godne pozazdroszczenia życie Borysowych ludzi...” Świadomość nieuchronnego końca życiowej drogi nie przeszkadza w odczuwaniu życia w całej jego złożoności oraz zachowaniu ostrości spojrzenia i cieszeniu się nim. Dlatego też oddech Łubianki został w końcu wyparty ze sfery emocjonalnej i tylko czasami pojawiał się w pamięci jak *memento mori* (tę sentencję niektórzy dowcipnisie interpretują jako „nie zapomnij umrzeć”).

Rozdział III

Instytut im. Tarasewicza. Aresztowania mikrobiologów. Ogólna atmosfera w instytucie. Kontrola stanu kadry naukowej i moje perspektywy.

Z Państwowym Instytutem Kontrolnym Preparatów Antyinfekcyjnych im. profesora Tarasewicza byłem związany od 1947 roku, początkowo w charakterze konsultanta do spraw patomorfologii. Od 1951 roku instytut ten był moim podstawowym miejscem pracy. Była to jedna z pierwszych placówek młodego państwa radzieckiego. Wykrystalizowała się jako instytut o profilu czysto mikrobiologicznym; jego zadaniem było zatwierdzanie rozmaitych preparatów farmakologicznych o działaniu profilaktycznym i leczniczym (surowic i szczepionek przeciwbakteryjnych). Preparaty te były później wprowadzane do praktyki medycznej. Przygotowanie profilaktycznych oraz leczniczych surowic i szczepionek to bardzo skomplikowany proces technologiczny, wyspecjalizowany w zależności od danych czynników infekcyjnych, przeciw którym stosuje się odpowiedni preparat. W ten sposób określa się najróżnorodniejsze istniejące w medycynie środki przeciwinfekcyjne. Najstarszym z nich jest szczepionka Jennera przeciw ospie. Otrzymuje się ją z ropiejącego ospowego pęcherzyka krowy; stąd też ogólna nazwa szczepionek (*vaccinia* — krowia ospa). Odkrycie to miało miejsce jeszcze w erze przedmikrobiologicznej, zapoczątkowanej przez Pasteura, który podarował światu szczepionkę przeciw wścieklicznie. Gwałtowny rozwój mikrobiologii w drugiej połowie XIX wieku, trwający do dnia dzisiejszego, charakteryzował się odkryciem czynników infekcyjnych wielu chorób zakaźnych (gruźli-

ca, tyfus, błonica, zapalenie płuc, infekcje ropne itd.). W ślad za tym odkryto wirusy (było to już w XX wieku) oraz ustalono ich rolę w powstawaniu wielu chorób (odra, grypa, zapalenie opon mózgowych, polio i inne). Zupełnie naturalne były dążenia mikrobiologów i wirusologów, którzy zgodnie z ogólną zasadą wakcynacji, tj. szczepień ochronnych polegających na wprowadzaniu do ludzkiego organizmu osłabionych czynników chorobotwórczych, chcieli tworzyć szczepionki, dzięki którym organizm staje się odporny na odpowiednie czynniki patogenne. Innym kierunkiem było wprowadzanie do organizmu człowieka surowicy krwi zwierzęcia uprzednio zarażonego odpowiednimi czynnikami infekcyjnymi, w celu wykształcenia antyciał, które potem wprowadza się do organizmu człowieka. W miarę rozwoju bakteriologii, wirusologii i immunologii w laboratoriach i instytutach całego świata prowadzono intensywne prace nad otrzymaniem profilaktycznych oraz leczniczych szczepionek i surowic. Nieustannie opracowywano nowe preparaty antyinfekcyjne oraz doskonalono metody otrzymywania starych, już sprawdzonych środków. Także najstarsza szczepionka — przeciw ospie — została udoskonalona i wzbogacona o nowe właściwości. Jednym z ostatnich osiągnięć w tej dziedzinie było otrzymanie szczepionki ochronnej przeciwko porażeniu dziecięcemu — bardzo groźnej w skutkach choroby. Niezbędna była obiektywna i bardzo dokładna analiza wszystkich produkowanych preparatów o działaniu przeciwinfekcyjnym, aby w masowej praktyce lekarskiej nie zostały zastosowane te, które mogłyby zaszkodzić człowiekowi, zamiast ustrzec go od różnych chorób. Każdy preparat musiał spełniać następujące wymagania: 1) posiadać właściwości immunogenne, tj. po jego zastosowaniu organizm powinien wytwarzać odporność na odpowiednią chorobę infekcyjną; 2) być nieszkodliwy dla organizmu; w tym celu należy pozbawić go odpowiedniego czynnika patogennego, co uzyskuje się podczas specjalnej obróbki. Szczegółowa kontrola nowych preparatów była niezbędna, ponieważ historia wakcynacji zna smutne, a nawet tragiczne przypadki, spowodowane zastosowaniem preparatów nie spełniających wyżej wymienionych wymagań.

Na równi z biologicznymi preparatami antyinfekcyjnymi, w ostatnich dziesięcioleciach rozwija się chemiterapia chorób infekcyjnych (także raka), era zapoczątkowana przez wielkiego mikrobiologa P. Ehrlicha. Proces terapeutyczny nieustannie wzbo-

gaca się o nowe preparaty chemiczne przeciw różnym chorobom. Kontrolę wszystkich preparatów, które trafiają do placówek służby zdrowia, oraz leków o działaniu przeciwniekcyjnym, które są produkowane w Związku Radzieckim, prowadzi Instytut Kontrolny im. Tarasewicza, podległy Ministerstwu Zdrowia ZSRR. Kontrolowana jest jakość nie tylko nowo wprowadzanych preparatów, ale każda seria, wyprodukowana według już zatwierdzonej technologii.

Ogromny wkład w rozwój mikrobiologii i w opracowanie metod przygotowywania szczepionek i surowic włożyli nasi uczeni, a wielu z nich przypłaciło to życiem. Bynajmniej nie z powodu zarażenia aktywnymi złośliwymi lub też wirusowymi bodźcami choroby, które były obiektami ich działalności badawczej, choć i takie laboratoryjne zakażenia miały czasami miejsce. Nie przeprowadzali też na sobie niebezpiecznych eksperymentów w celu sprawdzenia niektórych hipotez oraz przypuszczeń. Historia nauki zna i takich bohaterów. Nasi uczeni padli ofiarą patologicznej działalności organów GPU—MGB, które co jakiś czas „kosiły” radziecką naukę z siłą i skutkiem, jakich mogła pozazdrościć im najcięższa masowa epidemia.

Charakterystyczne było dobieranie obiektów atakowanych w różnych okresach, jak w niektórych epidemiach chorób zakaźnych. Wybór nie ominął i mikrobiologów. Pierwszą ofiarą (w porządku chronologicznym) padł Instytut im. Miecznikowa na czele z jego dyrektorem, wybitnym mikrobiologiem S. Korszunem. W 1930 roku aresztowano go wraz z innymi pracownikami instytutu. Niektórzy z nich wyszli z więzienia, Korszun zaś nie powrócił. Następna duża grupa wybitnych mikrobiologów była prześladowana w latach masowych represji (1937—1939). Wśród nich byli znakomici uczeni, którzy wiele wnieśli do nauki, jej organizacji, w przygotowanie kadry mikrobiologów, w walkę z infekcjami: Barykin, Kryczewski, Lubarski, Gartoch, Wielikow i inni. Wszyscy zostali oskarżeni o działalność antyradziecką i szkodnictwo w swojej dziedzinie naukowej oraz praktycznej. Wszyscy oczywiście przyznali się do winy i ponieśli odpowiednią karę: zostali rozstrzelani. Barykin — wynalazca szczepionki przeciw durowi brzusznemu, uznał działanie tego preparatu za szkodliwe (do tej pory przygotowuje się tę szczepionkę według jego metody i nazwana jest jego imieniem). Kryczewski był założycielem i dyrektorem Instytutu Naukowo-Badawczego Mikrobiologii.

przygotowującego wysoko kwalifikowanych specjalistów. W toku śledztwa zeznał, że organizował instytut z zamiarem szkodnictwa w przygotowywaniu kadr mikrobiologów.

Lubarski, najlepszy specjalista z dziedziny mikrobiologii gruźlicy, widocznie doszedł do wniosku, że im bardziej są absurdalne jego zeznania i im szerszy będzie krąg mikrobiologów zamieszanych w tę działalność przestępczą, tym wyraźniejszy będzie cały bezsens oskarżenia, które w rezultacie zostanie uchylone. Jednak jego przewidywania nie sprawdziły się, gdyż w GPU każdą niedorzeczność traktowano poważnie, byleby dawała podstawy do rozstrzelania.

Analogiczne były oskarżenia skierowane pod adresem innych mikrobiologów, a wszystkie wyroki wydawano bez fachowej ekspertyzy, która potwierdziłaby ich zasadność. Bardziej zawierzano szkalującym donosom składanym przez zawistnych kolegów *.

W grupie represjonowanych byli również wielcy uczeni: L. Silber i P. Zdrodowski, lecz pracowali oni przez wiele lat w więzieniu pod czujnym okiem pracowników OGPU; wreszcie ich zwolniono i dokonali żywota w zaszczytach i szacunku.

Aresztowania bakteriologów miały charakter masowy i następowały w wielu miastach Związku Radzieckiego. W istocie było to rozgromienie radzieckiej mikrobiologii w przeddzień wybuchu wojny, która groziła użyciem w niej broni biologicznej. Nad stworzeniem tej broni (oraz środków ochrony) pracowano energicznie w wielu państwach. Komu więc było na rękę zlikwidowanie najwybitniejszych mikrobiologów oraz unicestwienie wojskowej elity i wielu specjalistów z różnych dziedzin, do dziś pozostaje w sferze przypuszczeń i domysłów związanych z nazwiskiem Stalina.

Niektóre epizody aresztowania mikrobiologów w 1937 roku były wręcz komiczne, tyle że był to komizm epoki stalinowskiej, wpleciony w tragedię wielu istnień ludzkich. Byłem świadkiem jednego

*. W czasie pośmiertnej rehabilitacji oskarżonych mikrobiologów prokuratura skierowała do Instytutu im. Tarasewicza materiały sprawy w celu dokonania ekspertyzy, ponieważ wyrok wydano bez odwołania się do opinii specjalistów. Jako pracownik Instytutu miałem możliwość zaznajomienia się z tymi materiałami (przyp. aut.).

z takich epizodów i nie mogę się powstrzymać od przytoczenia go jako rysu epoki.

W tym okresie byłem ściśle związany, jako autor i redaktor, z Państwowym Wydawnictwem Medycznym. Dyrektorem Wydawnictwa był twardy i doświadczony gospodarz — D. Weiss. Funkcję redaktora naczelnego piastował S. Weinberg, bez reszty oddany sprawie wydawnictwa i bibliotek, człowiek mądry, energiczny, wspaniały. Obaj oni padli ofiarą represji i odeszli do wieczności, każdy prawdopodobnie z powodu indywidualnych „zasług” nie związanych z pracą w wydawnictwie. Po ich aresztowaniu wyznaczono nowe kierownictwo wydawnictwa. Dyrektorem została kobieta w średnim wieku, niekompetentna w problematyce medycznej, o wyjątkowo niskiej kulturze ogólnej. Nie pamiętam jej nazwiska, ale to przecież nie ma znaczenia — była typowym zjawiskiem tamtej epoki.

W tym czasie otrzymaliśmy z drukarni szpalty podręcznika do mikrobiologii napisanego przez profesora Jelisiejewa, pracownika naukowego Iwanowskiego Instytutu Medycznego. Szpalty przesłano mu do korekty autorskiej wraz ze zwykłą adnotacją o jak najszybszym odesłaniu. Minął wyznaczony termin, a korekty nie zwrócono. Do Jelisiejewa wysłano ponaglenie, jednak znowu bez żadnego odzewu. Po trzecim alarmującym telegramie korektę odesłano, lecz bez poprawek autorskich, za to z wiadomością od żony profesora, że „profesor Jelisiejew jest chory”. Diagnoza choroby, która dotknęła wielu bakteriologów, była niezwykle podejrzana, a w przypadku potwierdzenia, drukowanie książki powinno zostać natychmiast przerwane, nazwisko zaś represjonowanego zapomniane. Ale w jaki sposób otrzymać potwierdzenie? Wszystkie kanały były zamknięte; pogłoski o represjach mogły być tylko kłamliwą plotką, za której rozprzestrzenianie karano. O całej sprawie można było mówić jedynie szeptem, żeby nie zaciemniać radosnego „godnego pozazdroszczenia życia Borysowych ludzi”. Nowa dyrektorka znalazła wyjście z sytuacji, wysyłając na adres dyrektora Iwanowskiego Instytutu Medycznego telegram o zakonspirowanej, według niej, treści: „Proszę poinformować, czy Jelisiejew choruje, czy coś jeszcze”. Odpowiedź nie nadeszła, lecz według „agencyjnych” danych to „coś jeszcze” okazało się tragiczne i nieuniknione. Profesor Jelisiejew przepadł bez śladu w GPU—MGB, a w ścisłym gronie pracowników Wydawnictwa

Medycznego i związanych z nim naukowców formuła „coś jeszcze” zyskała symboliczny wydźwięk.

W Instytucie Kontrolnym do moich obowiązków należało kontrolowanie jakości szczepionek i surowic metodami morfologii eksperymentalnej. Zwierzętom (świnkom morskim, królikom, szczurom i myszom, a w wielu przypadkach, np. przy badaniu szczepionki przeciwko paraliżowi dziecięcemu — małpom) wstrzykiwano testowany preparat i na podstawie badania morfologicznego organów zwierząt określano występowanie lub brak w nich zmian chorobowych, jako wskaźnik stopnia nieszkodliwości preparatu. Określano również zdolność preparatu do wywoływania reakcji odpornościowych, według specjalnych wskaźników morfologicznych.

Instytutem kierował dyrektor S. Didenko. Był to stary (stażem) członek partii, kultywator jej najlepszych tradycji, który przeszedł wielką szkołę życia. Pochodził ze środowiska wiejskiego. Pierwsza wojna światowa zastała go we Flocie Czarnomorskiej. Ukończył szkołę o profilu wojskowo-felczerskim i pracował jako felczer na krążowniku minowym *Prut*. Po zakończeniu wojny domowej zdobył wyższe wykształcenie medyczne, został lekarzem i specjalizował się w mikrobiologii, a już za mojej bytności otrzymał po obronie rozprawy stopień kandydata nauk medycznych.

Organizacja partyjna, dość liczebna (około 20 osób) składała się głównie z kobiet, których było znacznie więcej w instytucie. W większości — był to typowy produkt epoki stalinowskiej, inteligencja formy stalinowskiej, tj. „wąscy” specjaliści (niektórzy ze stopniami naukowymi kandydatów), niezbyt inteligentni, roboty bezmyślnie akceptujące cały fanatyzm reżimu stalinowskiego jako osiągnięcie komunizmu. Bezkrytycznie zaakceptowaliby także faszyzm, jeżeli powiedziano by im, że jest to komunizm. Później, szczególnie po XX Zjeździe Partii, wielu z nich zrewidowało swoje poglądy, jak gdyby przejrżeli na oczy, co zresztą otwarcie wyznawali.

Naukowym osiągnięciem w mojej pracy w Instytucie Kontrolnym im. Tarasewicza było połączenie procesów morfologicznych w organizmie zwierząt po wprowadzeniu szczepionek odpornościowych. Scalenie tych skomplikowanych procesów i ich składu komórkowego zostało sformułowane w pojęciach z dziedziny immunomorfologii, jako bardzo ważny rozdział nauki o odporności

organizmu. Nauka o immunomorfologii w ogólnej i szczegółowej patologii chorób zakaźnych oraz innych była kontynuowana przez moich następców, ja zaś zyskałem opinię pioniera tej nauki nie tylko u nas, ale i za granicą.

Trafiłem i ja do tego partyjnego środowiska, a było to jesienią 1951 roku po podjęciu pracy w Instytucie Kontrolnym. Szybko przekonałem się o biegunowości sił w tej organizacji, może za wyjątkiem niewielkiego, lawiranckiego „bagna”.

Napięta sytuacja w makroświecie miała w istocie wpływ i na mój mikroświat. Jesienią 1952 roku po Instytucie Kontrolnym im. Tarasewicza zaczęły krążyć złowieszcze pogłoski, których autorami było kierownictwo organizacji partyjnej: Rapoport wykupił abonament do Państwowego Teatru Żydowskiego na sezon jesienno-zimowy 1952—1953 roku. Tę „przerażającą” wiadomość przekazywano szeptem z ust do ust z taką zgрозą, jakby Rapoport zabił dziecko. Fakt wykupienia abonamentu do Teatru Żydowskiego nie był przestępstwem czy czynem niedozwolonym. Ogłoszenie o sprzedaży tych karnetów rozpowszechniano, jak się potem dowiedziałem, zupełnie jawnie.

Wypuszczenie abonamentów było podyktowane małą frekwencją widzów w tym teatrze. Żydzi obawiali się kontaktów z nosicielem żydowskiej kultury duchowej — teatrem, nad którym wisiła groza po aresztowaniu jego najlepszego aktora Zuskina (został on stracony w sierpniu 1952 roku) a także po zamordowaniu w bandycki sposób S. Michoelsa, duszy teatru. Choć przyczyny morderstwa i jego wykonawcy pozostali anonimowi i otoczeni mistycznym strachem, to odczucie wspólnoty tej mistyki z tą, która otaczała budynek na placu Dzierżyńskiego (Łubianki), było powszechne. Włączanie się do kultury żydowskiej poprzez teatr jeśli nawet nie było oznaką żydowskiego burżuazyjnego nacjonalizmu, stało się w każdym razie powodem do podejrzeń o działalność antyradziecką i kontrrewolucyjną, od której krok tylko do zdrady ojczyzny i szpiegostwa. Trudno się dziwić, że moskiewscy Żydzi w swej masie zaczęli unikać teatru, a spektakle szły prawie przy pustej widowni. W ten sposób teatr, który wciąż nosił nazwę państwowego, formalnie egzystował, a faktycznie „istniał sam w sobie”. Unikał go naród, dla którego został powołany, co więcej — bano się nawet jego cienia, który mógłby paść na widza. Istniało mniej lub bardziej uzasadnione, charakterystyczne dla tej epoki mniemanie,

że widzowie tego teatru są śledzeni, ponieważ zdaniem „organów” każdy z nich jest potencjalnym wrogiem państwa radzieckiego.

Tak więc i ja znalazłem się w kręgu podejrzanych poprzez czujne oko organizacji partyjnej, której członkiem przecież byłem. Wystarczyła plotka o zakupieniu przeze mnie abonamentu do znieuawidzonego, choć państwowego teatru. Przewodniczący organizacji partyjnej zachował tyle ostrożności, by nie sprawdzać tych pogłosek w rozmowie ze mną, byłby to bowiem zbyt otwarty przejaw antysemityzmu. Jedyną reakcją były złowieszcze szept. Oczywiście plotki nie znalazły odbicia w rzeczywistości, gdyż żadnego abonamentu nie kupowałem, ale bynajmniej nie ze względu na „żydowski strach”. Prawie nie znam jidysz, dlatego też rzadko odwiedzałem ten teatr. Byłem tylko na kilku spektaklach, których treść znałem (*Podróż Beniamina III*, *Król Lear* i inne) i mogłem, jak i wielu Rosjan, zachwycić się wspaniałą grą wybitnych aktorów. Dlatego też, nie mając stałych kontaktów z teatrem nie wiedziałem, że rozprowadzano takie abonamenty, których celem była materialna pomoc teatrowi znajdującemu się na granicy krachu finansowego; inaczej na pewno bym go kupił.

Zainteresowanie moją osobą poza instytutem miało miejsce jesienią 1952 roku. Zjawiała się wówczas komisja (chyba z Moskiewskiego Komitetu KPZR) ze specjalnym zadaniem oceny stanu oraz składu kadry naukowej. Bardzo szybko wyjaśniło się, że tak naprawdę zajmowała ich tylko „jedna kadra”, czyli ja; pozostali byli jedynie tłem. Z rozmowy z przewodniczącym komisji wywnioskowałem, o co chodzi. Pozostałych członków tego ciała nikt nie widział; prawdopodobnie byli statystami dla zachowania pozorów komisji. Przewodniczący był mężczyzną lat około pięćdziesięciu, co najwyżej przeciętnej inteligencji; w półwojskowym mundurze (w bluzie bez pagonów) mógł uchodzić za zdemobilizowanego żołnierza.

Inspektor interesował się składem personalnym mojego laboratorium; był chyba zadowolony z przynależności narodowościowej. Cały mój zespół w tym czasie składał się, oprócz mnie, z dwóch pracowników — młodszej asystentki Tatiany Wasilewnej i лаборantki Marii Iwanowej. Tatiana M. była moją studentką w katedrze histologii Uniwersytetu Moskiewskiego. Nie była zbyt zdolna i przydatna dla nauki i pracy naukowej, co potwierdziła cała jej późniejsza działalność. Faktycznie reprezentowała ona poziom

laborantki. Formalnie była w moim laboratorium jedynym pracownikiem naukowym.

Obejrzawszy laboratorium towarzysz zainteresował się istotą pracy, lecz niezupełnie zrozumiał, w jakim celu przeprowadza się badania morfologiczne przy kontroli jakości surowic i szczepionek. Musiałem mu to wyjaśnić. Przejawiał także szczególne zainteresowanie przygotowaniem kadr w moim laboratorium, choć jedyną „kadrą” była T. M. (nie licząc aspirantki W. Imszenickiej, do której jeszcze powrócę). Zapytał mnie również, jakie mam odnośnie tego wytyczne. Postanowiłem wykazać maksymalne zrozumienie w świetle ogólnych zadań w tamtym okresie i odpowiedziałem mu, że postaram się w możliwie najkrótszym terminie (w ciągu pół roku) przygotować T. M. do roli kierowniczkę (choć do tej funkcji nie miała żadnych kwalifikacji), żeby po zwolnieniu mnie laboratorium nie zostało bez formalnego opiekuna. Plan ten na tyle odpowiadał zamiarom kontrolera, że zapomniał, iż autor tego planu jest przecież jego ofiarą, i zadowolony wykrzyknął: — Słusznie! — A może wcale nie zapomniał, lecz ofiarę Żyda w imię ogólnej idei uznał za normalną. Mimo wszystko złapałem go na haczyk, demaskując rolę komisji, o czym z ironiczną goryczą opowiedziałem S. Didence, który podzielił moją gorycz, ale nie ironię.

Rozdział IV

Zagęszczenie atmosfery politycznej w latach 1951—1952. Pierwsze aresztowania profesorów lekarzy. Oświadczenie rządowe z 13 stycznia 1953 roku. Reakcja za granicą i w ZSRR. Wiece, wybuchy niezadowolenia. W oczekiwaniu na represje. Paniczny strach przed medycyną.

Zbliżał się rok 1952. Atmosfera polityczna i nastroje społeczne z dnia na dzień gęstniały. Strach i oczekiwanie na coś nieodwracalnego osiągało chwilami mistyczną siłę. Poczucie zagrożenia narastało w miarę rozwoju wydarzeń. W grudniu 1950 roku aresztowano profesora J. Etingera oraz jego żonę. Ich aresztowanie poprzedziło ciche i tajemnicze zniknięcie adoptowanego syna Jaszy, studenta Uniwersytetu Moskiewskiego. Rano wyszedł na uniwersytet i przepadł bez śladu. J. Etinger snuł różne przypuszczenia co do jego zniknięcia. Korzystając z osobistych powiązań z wyższymi pracownikami Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MGB), których leczył, zwrócił się do nich z prośbą o pomoc w odszukaniu syna. Obawiał się, że może padł on ofiarą zbrodni. Pacjenci przyrzekli mu pomoc i zrobić wszystko w celu odnalezienia zaginionego, lecz na razie poszukiwania są bezowocne. Nie trudno się domyślić, że Jasza w tym czasie przebywał w więzieniu MGB; aresztowano go na ulicy, w drodze na uniwersytet. W języku MGB taka metoda nosiła nazwę „tajnego aresztowania”, którego cel był w tym przypadku zupełnie niejasny, jeżeli pominąć notoryczne dążenia do dostarczania profesorowi różnego typu zmartwień. Ale ścieżki MGB są niezbadane.

Odwiedziłem J. Etingera w przeddzień aresztowania. Przyjął mnie w wyjątkowo ponurym nastroju, choć był człowiekiem dość pogodnym. W następnych dniach często do niego dzwoniłem, żeby

dowiedzieć się, czy ma jakieś wiadomości o Jaszy, lecz nikt nie odbierał telefonów. Nietrudno było się domyślić, że za owym milczeniem ukrywa się „coś jeszcze”, i nie trzeba było długo czekać na potwierdzenie domysłów. Znikali w sposób niejasny także pisarze, poeci, literaci, aktorzy, uczeni — członkowie Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego. Podobny los spotkał akademika L. Sztern. Latem 1952 roku (a nawet jeszcze w 1951 roku) ze szpitala kremłowskiego wyrzucono bez podania przyczyn wielu wybitnych klinicystów, którzy pracowali tam przez wiele lat w charakterze konsultantów (leczyli oni znanych działaczy państwa radzieckiego), w tym M. Wowsiego i W. Winogradowa. Aresztowano byłego dyrektora kremłowskiego szpitala A. Busałowa, profesora P. Jegorowa, profesora J. Etingera, doktora S. Karpaja. Przerwali pracę akademik A. Abrikosow i jego żona F. Abrikosowa-Wolf (anatomopatolog) oraz wielu innych pracowników.

Nie występuję tutaj w roli kronikarza „sprawy lekarzy”, nie studiowałem bowiem specjalnych materiałów dokumentalnych i byłem daleki od tego, co działo się w centrum pracy „lekarzy morderców”, w szpitalu kremłowskim. Mogę jedynie wspomnieć o wydarzeniach, o których słuchy dochodziły z przypadkowych źródeł. W owym czasie (a nawet i później) niebezpiecznie było przejawiać zainteresowanie tymi wypadkami. Jednakże znajdujący się w centrum wydarzeń pracownicy szpitala, z którymi przypadkowo się stykałem, byli zdezorientowani, nie zdawali sobie sprawy z istoty i przyczyn tych groźnych zjawisk i czasem niektórzy z nich z wielką ostrożnością dzielili się ze mną swoimi odczuciami, przyznając się do całkowitego niezrozumienia tego, co się wokół nich dzieje.

Z opóźnieniem dowiedziałem się, że spośród anatomopatologów jako pierwszy został aresztowany szeregowy pracownik oddziału anatomopatologicznego przy szpitalu kremłowskim — A. Fiodorow. Wkrótce po uwolnieniu zniknął z mojego pola widzenia. Nie mogę nic więcej powiedzieć ani o jego dalszym życiu, ani też o przypisywanych mu przewinieniach.

A teraz drobny, lecz charakterystyczny rys tego okresu. Dotyczy on mojej starszej córki Noemi, która latem 1952 roku ukończyła II Moskiewski Instytut Medyczny. Młodych lekarzy obowiązywał przydział pracy i córka dostała skierowanie do dyspozycji MGB na Sachalin, tj. praktycznie musiałaby pracować w obozie koncen-

tracyjnym. Takie warunki pracy mógł wytrzymać zdrowy mężczyzna, a nie słaba dziewczyna. Noemi przyjęła skierowanie bez protestów, właściwie oceniając sytuację. Domyśliłem się, że w tym wszystkim chodzi raczej o mnie i postanowiłem porozmawiać z zastępcą ministra zdrowia A. Szabanowem, który zgodził się ze mną, wykrzykując nagle: — Tak, tego już za wiele! — Skierowanie przepisano na Wielkie Łuki, które naczelnik Zarządu Kadr Ministerstwa Zdrowia zamienił na Toropiec, dokąd ostatecznie córka wyjechała do pracy.

Nastała późna jesień, ostatnia jesień epoki stalinowskiej. Wydarzenia zbliżały się do punktu kulminacyjnego. Organa MGB wykryły spisek „żydowski” w Moskiewskiej Fabryce Samochodów. Przeprowadzono masowe aresztowania, czego wynikiem była eliminacja kadry kierowniczo-inżynierskiej. Wszelkie próby dyrektora Lichaczowa, którego imię dziś nosi fabryka, próby interwencji w tej sprawie spełzły na niczym.

Zdemaskowano „żydowskie” spiski w moskiewskim metro. Rozbiegły się po stolicy złowrogie informacje, których sprawdzanie było związane z dużym ryzykiem. Mówiono, że aresztowano profesorów Wowsiego, Kogana, Winogradowa, Feldmana, lecz w jaki sposób potwierdzić te domysły? Nie można było okazywać zainteresowania ich losami ani nawet wymieniać ich nazwisk. Musieliśmy udawać, że nic się nie stało. Stopniowo jednak plotki potwierdzały się. Syn W. N. Winogradowa — W. W. Winogradow (obecnie profesor-chirurg) był asystentem A. Bakulewa, którego klinika znajdowała się w I Szpitalu Miejskim.

Pewnego razu przyszedł on do prosektorium w jakiejś sprawie; wyglądał na wyjątkowo zatroskanego. Ostrożnie zapytałem: — Co z ojcem? — Odpowiedział krótko: — Źle. — Wszystko stało się jasne. Cały czas powiększał się krąg aresztowanych profesorów lekarzy (W. Wasilenko, A. Grinstein, jego żona — profesor Popowa, B. Preobrażenski, M. Jegorow i wielu innych). Świat medyczny został nie tylko zwyciężony, lecz rozgromiony. Nikt nie rozumiał, o co chodzi, lecz było jasne, że mówi się o „wykryciu” wielkiego spisku samej „góry” medycznej, i że wielu z tej „góry”, przebywających jeszcze na wolności, czeka na swą kolej. Pamiętam, jak w gronie przyjaciół witaliśmy Nowy Rok 1953. Nastrój był daleki od świątecznego, nikt nie oczekiwał, że spotka nas coś lepszego, nikt się nie spodziewał, że nadchodzący rok przynie-

się nam wyzwolenie. Wzniosłem toast za wolność w jej banalnym i zwulgaryzowanym, a nie filozoficznym znaczeniu.

Nastał, pamiętny dzień 13 stycznia 1953 roku. Wreszcie uderzył grom i wszystko się wyjaśniło dzięki komunikatowi TASS-u w dziele wiadomości dnia. A oto tekst oświadczenia:

„13 stycznia 1953 roku. Z kraju:

Aresztowanie grupy lekarzy dywersantów.

W ostatnim czasie organa bezpieczeństwa zdemaskowały terrorystyczną grupę lekarzy, którzy postawili sobie za cel, drogą nieprawidłowej terapii, skrócenie życia aktywnych działaczy Związku Radzieckiego.

Członkami owej organizacji byli: profesor M. Wowski, lekarz internista; profesor W. Winogradow, lekarz internista; profesor M. Kogan, lekarz internista; profesor B. Kogan, lekarz internista; profesor P. Jegorow, lekarz internista; profesor A. Feldman, lekarz otolaryngolog; profesor J. Etinger, lekarz internista; profesor A. Grinstein, lekarz neuropatolog; G. Majorow, lekarz internista.

Na podstawie dokumentów, materiałów uzyskanych podczas śledztwa, opinii specjalistów medycznych i przyznania się do winy aresztowanych ustalono, że lekarze ci, działając jako ukryci wrogowie narodu, realizowali swoje dywersyjne plany w stosunku do pacjentów, niszcząc ich zdrowie.

Śledztwo wykazało, iż uczestnicy terrorystycznej grupy, wykorzystując stanowiska lekarzy i nadużywając zaufania chorych, zbrodniczo szkodzili zdrowiu pacjentów, świadomie ignorowali obiektywne dane uzyskane w wyniku badania chorych, stawiali nieprawidłowe diagnozy, niezgodne ze stanem faktycznym i charakterem choroby. Wskutek stosowania niewłaściwej terapii przyczyniali się do śmierci chorych.

Przestępcy przyznali, iż w trakcie choroby towarzysza A. Żdanowa postawili nieprawidłową diagnozę, ukrywając zawał serca; zastosowali terapię szkodliwą przy tego rodzaju schorzeniu i tym samym uśmiercili towarzysza Żdanowa. Śledztwo wykazało, że przestępcy również skrócili życie towarzyszowi A. Szczerbakowowi. Także i w tym wypadku zastosowanie nieprawidłowego leczenia i zbyt silnych leków doprowadziło do śmierci pacjenta.

Lekarze przestępcy dążyli przede wszystkim do osłabienia zdrowia radzieckiego dowództwa wojskowego i naruszenia obronności kraju. Starali się pozbawić zdrowia marszałka Wasilewskiego.

marszałka Goworowa, marszałka Koniewa, generała armii Sztymienkę, admirała Lewczenkę i innych (za to masowe rozstrzelanie wybitnych radzieckich dowódców wojskowych w 1937 roku nie osłabiło obronności kraju! — J. R.). Jednak aresztowanie uniemożliwiło im realizację nikczemnych planów i przestępcom nie udało się osiągnąć celu.

Ustalono, że wszyscy lekarze mordercy, potwory w ludzkim ciele, którzy zdeptali święty sztandar nauki, skalali imię uczonych, byli najemnymi agentami obcych wywiadów. Większość członków organizacji terrorystycznej (Wowski, Kogan, Feldman, Grinstein, Etinger i inni) była związana z międzynarodową żydowską organizacją burżuazyjno-nacjonalistyczną «Joint», założoną przez wywiad amerykański jakoby w celu okazywania pomocy międzynarodowej Żydom w innych państwach. W istocie organizacja ta, kierowana przez amerykański wywiad, prowadzi szeroko zakrojoną działalność szpiegowską oraz terrorystyczną w wielu krajach, także i w ZSRR. Aresztowany Wowski zeznał w toku śledztwa, iż z USA z organizacji «Joint», za pośrednictwem moskiewskiego lekarza Szymeliowicza i znanego żydowskiego burżuazyjnego nacjonalisty Michoelsa, otrzymał polecenia «unieszkodliwienia kierowniczych kadr ZSRR». Inni członkowie grupy terrorystycznej (Winogradow, M. Kogan, Jegorow) byli agentami wywiadu angielskiego.

Śledztwo zostanie zakończone w najbliższym czasie (TASS)''.

Tej oszałamiającej wiadomości normalny ludzki umysł nie mógł objąć. Odnosiło się to w szczególności do ludzi, którzy osobiście znali osoby wymienione w komunikacie. Byli to spokojni uczeni i lekarze, wykazujący wielki humanizm zawodowy, oddani swej pracy duszą i ciałem, którzy poświęcili dla niej całe swoje życie. W przeważającej większości byli oni dalecy od polityki. Dobrze znałem ich wszystkich, z wieloma łączyła mnie długoletnia przyjaźń. Trzeba było zupełnie być otumanionym poprzednimi wydarzeniami, żeby uwierzyć w prawdziwość tego komunikatu. Podobno najtrafniej skomentował to oświadczenie spiker i komentator radia angielskiego. Przekazawszy w eter informację o wykryciu w Związku Radzieckim spisku wybitnych lekarzy, którzy uśmiercali swoich pacjentów, zareagował w typowo angielski sposób: stwierdził, że gdyby Anglik usłyszał przez radio oświadczenie o tym, iż król Jerzy zmarł nie ze starości, lecz został uśmier-

cony przez swojego lekarza, wybitnego uczonego, krzyknąłby: „Stało się coś strasznego — przed mikrofon dostał się wariat”.

Wiadomości ze świata na temat reakcji opinii publicznej i działaczy państwowych docierały z trudem (niezbędne kanały zamknięto) i były niezwykle skąpe. Ale i te informacje, które dochodziły do zatłoczonych uszu obywatela radzieckiego, świadczyły, że reakcja była bardzo żywa, że starano się przemówić do rozsądku kierownictwa radzieckiego. Przez radio nadawano wystąpienie ówczesnego prezydenta USA Eisenhowera, który dowodził wojskami armii alianckich w czasie II wojny światowej i był jedną z najpopularniejszych osobistości powojennego świata. Kategorycznie oświadczył, że rozkazał z całą dokładnością wyjaśnić, czy aresztowani radzieccy lekarze mieli jakikolwiek związek z amerykańskim wywiadem, i dał słowo prezydenta, że tym organizacjom nie były znane nawet nazwiska owych „szpiegów amerykańskich” oraz, że lekarze ci żadnych zadań od podobnych organizacji nie otrzymywali. Podobny sens i kategoryczność miały oświadczenia wybitnego angielskiego polityka Winstona Churchilla oraz innych mężów stanu Wielkiej Brytanii.

Wzmoczoną aktywność przejawiał Izrael, który próbował bronić swoich rodaków przed krwawą rozprawą, wobec której zbladła „sprawa Bejlisa”. Nie na darmo „sprawę lekarzy” nazwano „sprawą Bejlisa ery atomowej”. Międzynarodowe stowarzyszenie prawników — demokratów, zawsze zajmujące aktywną pozycję proradziecką, zwróciło się z żądaniem uczestnictwa jego przedstawicieli w procesie „morderców w białych fartuchach”. Nie wyrażono na to zgody. W ostrej krytycznej formie wypowiadało swe opinie wielu znaczących przedstawicieli obcej inteligencji, do tej pory o orientacji proradzieckiej, i można przypuszczać, że „sprawa lekarzy” odegrała niemałą rolę w krytycznym podejściu owych intelektualistów do wielu podstaw radzieckiego ustroju epoki stalinowskiej. Przecież udało się Stalinowi otumanić przenikliwego i mądrego pisarza („szczwanego lisa”, jak sam się o sobie wyrażał) L. Feuchtwangera, który odwiedził Związek Radziecki w pamiętnym 1937 roku i który wyniósł stąd same pozytywne wrażenia o Stalinie. Przedstawił je w swojej książce *Moskwa, rok 1937*. Potrzebny był wyjątkowo silny bodziec drażniący w postaci „sprawy lekarzy”, aby przejrżeli na oczy ideałści oślepieni legendą o Stalinie i o stworzonym przezeń radzieckim rajem.

Autorzy scenariusza pod nazwą „Sprawa lekarzy, czyli potwory w ludzkim ciele” oczywiście nie znali zasad tragedii klasycznej, ale instynkt podpowiadał im, że trzeba w tej inscenizacji inaczej rozłożyć akcenty światła i mroku. Mrokiem była kolekcja niespotykanych bestii, odzianych w białe fartuchy i uhonorowanych wysokimi stopniami i tytułami naukowymi, lecz wywodzących się z głębin ludzkiej ohydy. Równa im w skali antypoda powinna znajdować się na wysokości przeczystej Bogurodzicy lub w mniejszym stopniu — Joanny d’Arc. Znalazł się taki doskonały wzór. Była to niejaka Lidia Timaszuk, zwykła lekarka szpitala kremłowskiego, zatrudniona w gabinecie elektrokardiografii. Łączyła ona w sobie rolę Matki Boskiej i tajnego współpracownika organów bezpieczeństwa państwowego. Tacy znajdowali się w każdej placówce; byli tajnymi donosicielami, zbierali informacje o wszystkich i o wszystkim. Z własnej inicjatywy czy też może z podpowiedzi ta „Bogurodzica”, o znikomej wiedzy i umiejętnościach zawodowych wykryła wiele błędów fachowych w diagnozach postawionych przez wybitnych profesorów, konsultantów szpitala, zdemaskowała ich przestępcze tło i w ten sposób otworzyła oczy służb bezpieczeństwa na istnienie strasznego spisku.

Obwieszczenie całemu światu o „szlachetnej” roli, jaką odegrała w tej sprawie Timaszuk, wzbudziło w Związku Radzieckim zachwyt i uniesienie. Prasa zachłystywała się słowami podziwu. Rządowi poeci sławili w wierszach jej czyny. Była to prawie religijna ekstaza wobec tej „wielkiej córy narodu radzieckiego”. Porównywano ją z Joanną d’Arc — ogłaszano wyzwolicielką ojczyzny od zaprzysięgłych wrogów. Jej zasługi zostały dostrzeżone przez rząd, który 20 stycznia 1953 roku, za pomoc w zdemaskowaniu „lekarzy morderców”, uhonorował ją najwyższym odznaczeniem — Orderem Lenina.

Nie ma w tym nic dziwnego, że zaślepiona i ogłuszona stalinowskim narkotykiem ludność Związku Radzieckiego w większości przyjęła bezkrytycznie, na wiarę oświadczenie TASS-u o „lekarzach potworach”. Społeczeństwo przywykło już do „pikantnych dań”; niektórzy nawet rozsmakowali się w nich i z podnieceniem witali każdą nową „potrawę”. Aż nagle zaserwowano takie, w porównaniu z którym wszystkie poprzednie dania były przasne. Takiego kryminału nie wymyśliłby najtęższy umysł. Ci obywatele Związku Radzieckiego, którzy zachowali zdrowy rozsądek,

traktowali owo oświadczenie jak kolejną „bajkę Krylenki”. Tak nazywano wystąpienia N. Krylenki *, wybitnego działacza partyjnego pierwszych lat rewolucji, w roli prokuratora podczas inscenizowanych w latach trzydziestych procesów sądowych, w których rezultacie rozstrzelano wielu niewinnych obywateli (także państwowych i partyjnych działaczy politycznych).

Wielu ludzi, w tym niektórzy pracownicy medyczni, bezkrytycznie uwierzyło w treść komunikatu z 13 stycznia. Reakcja była dwojaka: dzika nienawiść w stosunku do potworów w ludzkim ciele (innego określenia nie mogło być dla nich) i paniczny strach przed „białymi fartuchami”. Każdy, kto go nosił, mógł być potencjalnym, jeżeli nie faktycznym mordercą. Nigdy nie zapomnę twarzy mojej laborantki M. S., wykrzywionej gniewem i nienawiścią, która wycodziła przez zaciśnięte zęby: — Przekłęci inteligenci, młotem kowalskim by ich, młotem po łbie. — Byłem przekonany, że gdyby dano jej do ręki młot, to ta, niezbyt dobra, co prawda, ale też nie żadna krwi kobieta zrobiłaby z niego użytek. We wszystkich zakładach pracy odbywały się spontaniczne i zorganizowane zebrania, na których żądano najsurowszej kary dla przestępców. Wśród uczestników mityngów wielu deklaroowało chęć wystąpienia w roli kata. Także przedstawiciele świata medycznego, nie chcieli być gorsi. Albo Pan Bóg odebrał im rozum, albo faktycznie w ten sposób manifestowali swój negatywny stosunek do lekarzy przestępców. Gniewem zionęła także prasa, która w swych artykułach piętnowała bestie w ludzkim ciele.

Prasa radziecka dosłownie szalała w swej zajadlej gadaninie. Była to najbardziej rozpasana czarnosecinną propaganda. Ogólny ton wypowiedziom nadała centralna prasa oficjalna.

Artykuł redakcyjny *Izwestii* z 13 stycznia, który został przygotowany do publikacji w momencie ogłoszenia komunikatu MGB, miał mniej więcej taki wydźwięk: „Działalnością potworów kierowały obce wywiady. Wielu z nich zaprzedało ciało i duszę filii amerykańskiego wywiadu — międzynarodowej żydowskiej organizacji burżuazyjno-nacjonalistycznej «Joint»... Całkowicie zdemaskowano odrażającą twarz tej brudnej syjonistycznej mafii szpic-

* N. Krylenko później został aresztowany i rozstrzelany. W 1988 roku zrehabilitowano go pośmiertnie (przyp. aut.).

gowskiej. Ustalono, że zawodowi szpiegzy i mordercy z «Joint» wykorzystywali jako agentów zdemoralizowanych burżuazyjnych nacjonalistów żydowskich, którzy pod kierownictwem amerykańskiego wywiadu prowadzą szeroką szpiegowską, terrorystyczną i inną działalność dywersyjną w wielu krajach, w tym także na terenie Związku Radzieckiego. To właśnie ta międzynarodowa żydowska organizacja burżuazyjno-nacjonalistyczna, utworzona przez wywiad amerykański, za pośrednictwem moskiewskiego lekarza Szymelowicza i znanego żydowskiego burżuazyjnego nacjonalisty Michoelsa, poleciła potworowi Wowskiemu unieszkodliwienie kierowniczych kadr w ZSRR. Inni członkowie grupy terrorystycznej (Winogradow, M. Kogan, Jegorow) okazali się wieloletnimi agentami wywiadu angielskiego». Przy okazji w artykule wspomina się o zamordowaniu Kujbyszewa, Menżynskiego, Gorkiego przez lekarzy Lewina i Pletniewa.

Wśród aresztowanych znalazło się dwóch braci Koganów. Jeden z nich był szpiegiem amerykańskim, a drugi angielskim. Widocznie szpiegostwo było rodzinną specjalnością Koganów, którzy obsługiwali jedynie dwa wywiady z powodu braku większej liczby braci.

Interesujący był pewien szczegół nie odnotowany w oświadczeniu MGB: M. Kogan zmarł na raka kilka lat przed tym, jak został szpiegiem. Swą działalność mógł więc prowadzić jedynie na tamtym świecie, co jednak nie przeszkadzało aparatowi śledczemu MGB, który korzystał także z usług diabłów, jak się później przekonałem.

Prasa radziecka starała się wykorzystać wszystkie swoje literackie sposoby. Nie pozostał w tyle i *Krokodil*, który zamieścił karykatury żydowskich morderców; tych karykatur mogłaby pozazdrościć najbardziej czarnosecinną prasą z czasów carskich, do której z pogardą odnosiła się nawet konserwatywna część przedrewolucyjnej inteligencji.

Wśród wielu artykułów o jawnie pogromowym charakterze najbardziej obrzydliwe, wskrzeszające tradycje antysemickiej prasy z okresu żydowskich pogromów 1904—1905 r. były artykuły Olgi Czeczotkiny, która „rozpuszczała atrament śliną wściekłego psa”. Podobne odczucia miałem po czytaniu artykułów Gusty Fučikowej, wdowy po legendarnym bohaterze Czechosłowacji Juliuszu Fučiku, autorze słynnego *Reportażu spod szubienicy*. Te subtelne

strofy, które Fučik poświęcił w *Reportażu* swojej przyjaciółce, uwieczniają ją w aureoli dobroci i wrażliwości — z trudem kojarzą się ze zwierzęcą wściekłością wyrażaną w jej literackich reakcjach na „sprawę”. Trudno uwierzyć, że pisała to delikatna, inteligentna kobieta, przyjaciółka Fučika (jeżeli tylko Fučik w swych więziennych wspomnieniach jej nie idealizował).

W organizację antysemitckiego gniewu narodu zaangażowano także Żydów pozostających na wolności — wybitnych przedstawicieli społeczeństwa radzieckiego: wielkich uczonych, znanych muzyków, kompozytorów, artystów, wojskowych itd. W liście skierowanym do redakcji *Prawdy* musieli napiętnować swoich pobratymców, którzy okazali się potworami w ludzkim ciele. Napisanie tego listu polecono trzem Żydom — nie przytaczam ich nazwisk, gdyż nie mogę ręczyć za wiarygodność tej informacji. Zresztą nie ma to większego znaczenia, albowiem oni również byli ofiarami.

Tekst listu znam jedynie z reakcji tych, którzy zmuszeni byli go podpisać. Treść nie była nazbyt oryginalna. Sprowadzała się do poniższego: „Radziecka władza otworzyła Żydom szeroki dostęp do wszystkich dziedzin życia, umożliwiła swobodny rozwój uzdolnień, a nikczemne potwory odpłaciły za to podłą zdradą. Odcinając się od tych renegatów, niżej podpisani żądają dla nich najwyższego wymiaru kary.” Jest to znacznie złagodzona wersja listu. Jak opowiadał jeden z podpisanych pod petycją, dyskusja rozwinęła się nie wokół jego zasadniczej treści, ale wokół epitetów, jakimi należało napiętnować „potwory”. Proponowano szeroki asortyment. Prawie wszyscy zmuszeni do podpisania dokumentu uczynili to bez słowa, niektórzy nawet nie czytając, gdyż mieli do tego stosunek obojętny. Nie wymieniam tych, którzy podpisali ów gniew Żydów przeciw Żydom. Wśród nich, jak mówiono, znajdowały się osobistości znane na całym świecie. Oni również byli ofiarą tej epoki, jak i ci, na kogo wylewali swój gniew, ostemplowany w redakcji *Prawdy*. Jeden z podpisanych (kompozytor Błanter) opowiadał mi, że codziennie, gdy brał do rąk *Prawdę*, drżały mu dłonie, gdyż spodziewał się zobaczyć ów ohydny dokument, a pod nim swój podpis. Uważam jednak za obowiązek wymienić nazwiska tych, którzy zdobyli się na odwagę i odmówili podpisania listu lub w jakiś sposób wykręcili się od tego. Byli to: ludowy artysta ZSRR Reizen, bohater Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, dowódca kozackiego pułku konnego, generał-pułkownik Kreizer, Ilja Erenburg.

Izaak Dunajewski. Z kompozytorem Glierem związane było pewne nieporozumienie. Kiedy zaproponowano mu podpisanie listu, zakładając, iż jest on Żydem, nie oponował, tylko stwierdził, że nie jest Żydem; jego ojciec jest Niemcem, a matka Ukrainką. Po takim sprostowaniu nie doszedł do złożenia podpisu na tym dokumencie.

Jednakże owa deklaracja nie ujrzała światła dziennego. Czy zdecydowano, że „dobrych” Żydów być nie powinno (szczególnie w związku z nasileniem się ataków antysemickich), czy też publikację z jakiegoś powodu wstrzymano, a po śmierci Stalina straciła swoją aktualność. Ale sam fakt przygotowania takiego dokumentu to kolejny rys w moralnej panoramie epoki stalinowskiej.

Moskwa zawsze była przykładem dla całego Związku Radzieckiego. Tak było też w przypadku organizowania „sprawy lekarzy”. W każdym dużym, a nawet prowincjonalnym ośrodku znajdowano swoich „zabójców w białych fartuchach”. Nie pozostawać w tyle za Moskwą! Dlatego też dokładną liczbę aresztowanych lekarzy może określić tylko MGB i organa sądowe. Listy z nazwiskami aresztowanych (później rehabilitowanych) opublikowane w gazetach 4 kwietnia 1953 roku były niepełne. Ze znanych mi aresztowanych profesorów i lekarzy na listach tych brakowało następujących nazwisk: W. Zielenin, B. Zbarski, E. Gelstein, G. Bychowski, M. Serejski, I. Feigel, W. Niezlin, N. Wilk, mojego nazwiska i wielu innych, nie mówiąc o żonach aresztowanych. Widocznie należało skrócić listę, inaczej prościej byłoby opublikować nazwiska osób, które uniknęły aresztowania. W licznych wielkich ośrodkach, szczególnie na Ukrainie, zwolniono z instytutów medycznych profesorów Żydów, którzy uniknęli aresztowania (w późniejszym czasie wielu z nich z powrotem przyjęto do pracy).

Był również przykład w naszej rodzinie. Brat mojej żony, G. Epstein, znany traumatolog, był konsekwentnie zwalniany ze wszystkich funkcji: kierownika katedry traumatologii w Państwowym Leningradzkim Instytucie Doskonalenia Kadr Medycznych i kierownika dużego oddziału w Leningradzkim Instytucie Traumatologii im. Wredena. Jako bezrobotny przyjechał do Moskwy do Wydziału Kadr Ministerstwa Zdrowia RSFSR z prośbą o jakieś skierowanie zgodne ze specjalnością. Przyjmujący go urzędnik Wydziału Kadr Trofimow (obecnie minister zdrowia tej

republik) zaproponował mu rejon w Okręgu Jakuckim. Zwykle do takich ośrodków trafiali świeżo upieczeni lekarze. Na pytanie profesora Epsteina, czy takie skierowanie jest właściwym wykorzystaniem jego poziomu naukowego, kompetencji zawodowych i wieku (57 lat), ten odpowiedział bez żenady: — Takim jak wy (!!) niczego innego zaproponować nie mogę. Radzę przyjąć tę propozycję, ponieważ już wkrótce i tego nie będę mógł wam dać. — W słowach tych była otwarta aluzja, iż w najbliższym czasie Żydów spotka jeszcze gorszy los — pogromy i masowe zsyłki w dalekie rejony Syberii.

Ktoś opowiedział mi o jeszcze jednym wydarzeniu, rękując za jego wiarygodność. Chodziło o kijowskiego profesora pediatrę, który leczył dzieci wysokiego działacza państwowego i partyjnego na Ukrainie. Ów profesor wiele lat pełnił funkcję lekarza domowego tej rodziny; cieszył się sympatią i poważaniem. Po 13 stycznia zwolniono go z kliniki, która obsługiwała „góre” państwową i partyjną. Po pewnym czasie zadzwoniła do niego żona owego działacza i poprosiła o wizytę domową u jej chorego dziecka, choć lekarz ten nie był już zatrudniony w odpowiedniej komórce służby zdrowia, o czym ją poinformował. Nie odmówił oczywiście spełnienia osobistej prośby, zbadał dziecko i wydał niezbędne zalecenia. Nieco się zdziwił, kiedy matka dziecka poprosiła go, by po skończonej wizycie trochę zaczekał. Podejrzał, że być może kobieta chce mu zapłacić za wizytę. Po chwili został poproszony do gabinetu, gdzie oczekiwał go, najwidoczniej specjalnie przybyły, ojciec dziecka. Nie wyjaśniając niczego spytał profesora, czy ten może wyjechać z Kijowa i osiedlić się w jakimś głuchym miasteczku lub wiosce. Powiedział, że jeśli taka możliwość istnieje, radzi profesorowi zrobić to natychmiast. Była to ukryta rada dla lekarza oraz przestroga przed tym, co go wkrótce może spotkać w Kijowie. Profesor nie zdążył skorzystać z rady tego bez wątpienia porządnego człowieka, który ryzykował wiele, gdyby lekarz okazał się niedyskretny. Wkrótce bowiem nastąpił nieoczekiwany i pomyślny finał „sprawy lekarzy”, więc profesor nie musiał się ukrywać.

Nastroje społeczne po rządowym komunikacie o „lekarzach mordercach”, a także wewnętrzna intryga tej sprawy, jest nie dokończonym radzieckim wydaniem tzw. „buntów cholerowych”. Nazwą tą określano niepokoje społeczne, jakie miały miejsce kilkakrotnie w minionym wieku na różnych obszarach Rosji carskiej. Bunt ogarniały szerokie masy chłopskie w czasie strasznych epi-

demii cholery przyczyniających się do pogorszenia i tak trudnej sytuacji głodującego, pozbawionego praw, ciemnego chłopstwa. Wybuchy niezadowolenia, spowodowane narastającą z latami nędzą i plagami nękającymi masy chłopskie, początkowo były skierowane przeciwko personelowi medycznemu, który z poświęceniem walczył z tą straszną chorobą. Ciemne, niewykształcone masy przypisywały doktorom rozprzestrzenianie się cholery i kierowały przeciwko nim przejawy niezadowolenia, którego ofiarami padało wielu lekarzy. Jednocześnie chłopci wściekle atakowali swoich odwiecznych ciemężycieli — przedstawicieli władzy, urzędników — i bunt osiągał taki rozmach społeczny, że jego stłumienie wymagało podejmowania specjalnych ekspedycji karnych. „Nie daj Boże oglądać rosyjski bunt, bezmyślny i bezlitosny”, pisał Aleksander Puszkina o powstaniu Pugaczowa.

„Sprawa lekarzy” z 1953 roku to właśnie taki „bunt cholerowy” przeniesiony w XX wiek w warunki stalinowskiego imperium. Różnica polega jedynie na tym, że „bunty cholerowe” w XIX wieku były spontanicznym wyrazem niezadowolenia narodu, natomiast radziecki „bunt” został starannie zorganizowany, a nienawiść narodu radzieckiego była ukierunkowana i manipulowana. Tak jak w XIX wieku, w 1953 roku pierwszymi ofiarami narodowego gniewu byli lekarze, którym przypisywano potworne zbrodnie. Tak jak w XIX wieku, w 1953 roku wściekłość narodu, ogłupionego przez propagandę, z lekarzy rozprzestrzeniła się na całą inteligencję (proszę sobie przypomnieć wypowiedź mojej laborantki: „Młotem ich, inteligentów, młotem!”), a pobudzane przez państwowe środki propagandy akcenty antysemickie zostały z aplauzem podjęte.

Zgodnie z ogólnymi prawami historia powtarza się, ale w formach odpowiadających nowej sytuacji historycznej. „Sprawa lekarzy” to stalinowski „bunt cholerowy”, końcowy akord stalinowskiej „niedokończonej symfonii”.

Drugą formą reakcji na publikację TASS-u był paniczny strach przed medycyną, który ogarnął szerokie masy obywateli. W każdym lekarzu, niezależnie od jego rangi, widziano zbrodniarza, do którego zwracanie się o fachową pomoc było ryzykiem. Wyolbrzymiano „wiarygodne” plotki o licznych przypadkach pogorszenia się stanu zdrowia i przebiegu choroby u pacjentów po zastosowaniu terapii zaleconej przez lekarza. Z ust do ust

przekazywano „prawdziwe” informacje o przypadkach śmierci chorych bezpośrednio po wizycie lekarza, jakoby aresztowanego i natychmiast rozstrzelanego. W wielu szpitalach położniczych lekarze uśmiercali podobno noworodki. Nie było takiej niedorzeczności, której nie mogłaby wymyślić ludzka wyobraźnia. Opustoszały szpitale i apteki w wyniku plotek o gwałtownym pogorszeniu się stanu zdrowia po przyjęciu rzekomo prostych i nieszkodliwych medykamentów, zawierających wszakże truciznę.

Pamiętam taki epizod. Do Instytutu Kontrolnego, gdzie wtedy pracowałem, przyszła młoda kobieta i przyniosła do zbadania pustą ampulkę po penicylinie. Jej dziecko chorowało na zapalenie płuc, a po zastrzyku z penicyliny jego stan zdrowia gwałtownie się pogorszył; podobne alergiczne reakcje na antybiotyki zdarzają się często. Matka była pewna, że tę reakcję spowodowała trucizna zawarta w penicylinie i zażądała analizy resztek z buteleczki. Oświadczyła przy tym, że przerywa leczenie dziecka. Na moją uwagę, że tym samym skazuje dziecko na śmierć z powodu zapalenia płuc, odpowiedziała kategorycznie, że jest na to przygotowana, ale nie będzie podawała żadnych lekarstw; niech dziecko umrze w wyniku choroby, a nie od trucizny, którą mu przepisano.

Nad lekarzami, szczególnie żydowskiego pochodzenia, ciążył strach odpowiedzialności karnej za działania, które choremu albo jego krewnym wydadzą się podejrzanym. Niektórzy obywatele przejawiali wyjątkową gorliwość w realizowaniu tej groźby. Sam byłem świadkiem niezwyklej zapobiegliwości męża pacjentki, który odprowadzał swoją żonę do izby przyjęć I Szpitala Miejskiego. Trzymając w ręku pióro i notes, z groźną miną wypytywał personel i zapisywał nazwisko lekarza, który przyjmował chorą, numer oddziału i sali, dokąd skierują żonę, nazwisko ordynatora, nazwisko lekarza opiekującego się żoną, nie ukrywając, że informacje te są mu potrzebne, aby kontrolować ich działania, a w razie konieczności przekazać owe dane prokuraturze. Ma się rozumieć, taka sytuacja nie wpływała korzystnie na zwiększenie odpowiedzialności lekarzy, którzy odczuwali niepokój i strach przed ewentualną odpowiedzialnością karną. Lekarz był zmuszony pracować pamiętając o groźbie wkroczenia prokuratora, co raczej nie sprzyjało wytworzeniu atmosfery niezbędnej do normalnej pracy. Niewymierne są fizyczne i moralne szkody wyrządzone przez „sprawę lekarzy”.

Rozdział V

Zwiastuny aresztowania. Aresztowanie, rewizja, reakcja środowiska, Łubianka — pierwsze wrażenia.

W moim osobistym życiu kłębiły się wydarzenia. Sens niektórych zrozumiałem dopiero po aresztowaniu. Do nich mogę zaliczyć wezwanie do Wojskowej Komendy Rejonowej w grudniu 1952 roku, tj. kilka tygodni przed aresztowaniem. Jakiś czas przed moim wezwaniem zaproszenie do tego samego WKR otrzymał mój bliski przyjaciel, o którym już pisałem — E. Gelstein. W tym czasie nie pracował już w II Moskiewskim Instytucie Medycznym, gdzie wcześniej zajmował katedrę chorób wewnętrznych. Był już na emeryturze i po dwóch zawałach serca, które wynikły u niego na skutek przymusowego odsunięcia od katedry; przeszły one później w stan chronicznego aneuryzmu serca i uczyniły zeń inwalidę. Ze zdziwieniem opowiadał mi o tym, co miało miejsce w WKR. Wyjaśniono mu, iż został wezwany w celu przeprowadzenia kolejnego badania lekarskiego jako kombatan II wojny światowej. Aby ułatwić komisji zadanie sam udzielał informacji o stanie swojego zdrowia i przyniósł elektrokardiogramy wykazujące poważne uszkodzenie serca. W ogóle to ciężka choroba serca była widoczna i bez kardiogramu. Zdziwiło go bardzo, gdy komisja lekarska uznała go za zdolnego do pełnienia służby wojskowej w czasie pokoju i wojny (tj. za zupełnie zdrowego). Gelstein nie obawiał się powołania do wojska, ale jako doświadczony lekarz dostrzegł w decyzji komisji rażący błąd medyczny i podkreślił to. Wtedy poproszono „komisarza wojskowego”, by rozwiązał problem.

Wszedł pułkownik, który obrzucił wzrokiem profesora i powiedział: — Wygląda dobrze, zdolny do służby wojskowej. — Na Gelsteinie wszystko to zrobiło wrażenie jakiejś dziwnej inscenizacji, której sensu nie rozumiał. Szczególnie zdziwiło go, że decyzję podjął pułkownik, któremu wystarczył jego dobry wygląd zewnętrzny. Nie był to oczywiście oficer wojskowy, lecz pułkownik MGB.

Kilka dni później ja sam otrzymałem zaproszenie do WKR. Młody kapitan, który mnie przyjmował, powiedział, że obecnie nie jestem potrzebny armii i że chcą mnie przenieść do rezerwy, lecz dla formalności powinienem przejść ponowne badanie lekarskie (przed demobilizacją wiosną 1945 roku uznano mnie za częściowo zdolnego do służby wojskowej, z powodu nadciśnienia i obrażeń odniesionych na froncie). Trochę mnie zdziwiło to ponowne badanie lekarskie, skoro raz zapadła decyzja o zwolnieniu ze służby wojskowej, lecz pomyślałem, iż jest to formalność, jakich w armii wiele. Komisja lekarska, składająca się z kilkunastu osób (w tym jedna kobieta), przyjęła mnie życzliwie. Porozmawialiśmy o nadciśnieniu ogólnie, nie było też żadnego badania lekarskiego. Wyszedłem odnosząc wrażenie, że dokonano jakiejś formalności, która nie wymagała kompetencji lekarskich i choćby najprostszego badania medycznego. Jakież było moje zdziwienie, gdy następnego dnia oddano mi książeczkę wojskową z pieczętą: zdolny do pełnienia służby wojskowej w czasie wojny i pokoju. Nic z tego nie rozumiałem. Dopiero później, po wydarzeniach 1953 roku, domyśliłem się, że całe to „powtórne badanie lekarskie” miało swój cel i że pieczętka „zdolny do służby wojskowej” oznaczała zdolność zdrowotną do przebywania w więzieniu. To samo dotyczyło Gelsteina, aresztowanego jednocześnie ze mną.

14 stycznia, następnego dnia po opublikowaniu oświadczenia TASS-u, zostałem wezwany do naczelnego lekarza I Szpitala Miejskiego, który wręczył mi zwolnienie z zajmowanego stanowiska kierownika prosektorium szpitala.

Naczelnny lekarz Ł. Czernyszew poradził mi, abym nie interweniował nigdzie w sprawie zwolnienia, dając do zrozumienia, że zostało ono uzgodnione z wyższymi instancjami lub też dokonane na ich polecenie. Ale i bez tej dobrej rady nawet nie pomyślałem o jakichkolwiek interwencjach. Doskonale oceniałem sytuację i prawdziwe powody, dla których zwolniono ze szpitala lekarza cieszą-

cego się autorytetem, kompetentnego specjalistę, jakim byłem już wtedy, członka KPZR, odznaczonego radzieckimi orderami, w tym także orderem Lenina. Kiedy z rana przyszedłem do prosektorium, okazało się, że wszyscy już wiedzą o moim zwolnieniu. Zostałem tam prawdziwą żałobę, której przyczyn się nie domyślałem. Szczególnie wstrząsnęły mną lzy starego laboranta, felczera E. Rożkova, który przepracował ze mną 30 lat. Łkał, wcale się tego nie wstydząc; domyślał się oczywiście prawdziwej przyczyny wydarzenia. Przekazałem wszystkie sprawy zastępującej mnie N. Archangielskiej.

Chyba dwa dni później po moim zwolnieniu zadzwoniono do mnie ze szpitala i poproszono, abym wziął udział w wiecu zorganizowanym w związku z komunikatem TASS-u o „sprawie lekarzy”, w którym jako jednego z najbardziej aktywnych szkodników wymieniono profesora Etingera. Do chwili jego zwolnienia klinika znajdowała się na terenie szpitala. Mieściła się tu również klinika aresztowanego profesora Winogradowa. Nie będąc już pracownikiem szpitala mogłem nie skorzystać z zaproszenia. Jednak właśnie dlatego, żeby nie być posądzonym o świadome uchylanie się od wystąpienia (którego oczekiwano, ze względu na moje służbowe i osobiste kontakty z Etingerem), postanowiłem przyjechać na wiec. Nie pamiętam jego przebiegu; prawdopodobnie był on na owe czasy stereotypowy. Szalała Zołotowa-Kostomarowa — dyletantka w sprawach naukowych i zawodowych, była asystentka profesora Etingera i najbardziej rozjuszona prześladowczyni, która po jego zwolnieniu objęła katedrę, lecz niedługo się na niej utrzymała.

W wystąpieniu swym powiedziałem, że „jestem wzburzony oświadczeniem z dnia 13 stycznia o straszliwych przestępstwach lekarzy (w tym również i Etingera), których znałem przez wiele lat, a z wieloma z nich utrzymywałem przyjacielskie kontakty. Wielu z uczestników wiecu również ich znało, wiedzieli o ich autorytecie i szacunku, którym się cieszyli. Trudno dostrzec w nich ludzi zdolnych do takich czynów. Nawet i teraz nie mogę sobie wyobrazić, że zdanie, jakie wyrobiłem sobie o nich przez wiele lat znajomości, było wynikiem doskonałego maskowania. Nie mogę się zgodzić z niektórymi dyskutantami, którzy twierdzą, że już dawno widzieli w Etingerze zdrajcę ojczyzny i potencjalnego mordercę. Gdyby tak było, musiałbym wcześniej na to zareagować, jak wymaga tego ode mnie postawa obywatela i członka KPZR”.

Był to mój ostatni kontakt przed aresztowaniem z I Szpitalem

Miejskim. Następne spotkanie miało miejsce dopiero po pięciu latach, lecz w zupełnie innych warunkach.

Narastały ponure wydarzenia. Pociski padały coraz bliżej i rosło groźne przeświadczenie, że wkrótce jeden z nich dosięgnie i mnie. W takim przeświadczeniu utwierdziło mnie aresztowanie w dniu 25 stycznia profesora W. Zielenina, znanego internisty, nauczyciela mojego i mojej żony, a zarazem naszego przyjaciela. Żona była w tych dniach w Toropcu, gdzie odwiedzała naszą starszą córkę. Zawiadomiłem ją telefonicznie o aresztowaniu Zielenina. Natychmiast wyjechała, ponieważ nie wiadomo czemu odczytała w tej informacji złowieszczy wydźwięk, choć podobnych wypadków było wiele.

Niejednokrotnie rozważaliśmy z żoną „radosne” perspektywy mojego aresztowania. Dlaczego miałoby mnie ono ominąć? Przecież spotkało to innych ludzi, w tym również przyjaciół i znajomych, uczciwych pracowników oddanych swojej ojczyźnie. Ponieważ zdarzyło mi się postępować nieostrożnie (według ówczesnych kryteriów) ze względów zawodowych i czysto ludzkich, moja żona miała zawsze pod ręką „zestaw dżentelmena” (tak go nazywałem), złożony z dwóch zmian bielizny, chusteczek do nosa, mydła itp., czyli rzeczy, które „tam” mogły okazać się niezbędne. Rozważając zbliżającą się perspektywę aresztowania, na nowo powracaliśmy do tematu, jak „tam” może być. Zofia nie wiadomo czemu była przekonana, że z pewnością rozstrzeliwują wszystkich, którzy nie będąc w stanie znieść przesłuchań i tortur, o jakich krążyły straszne słuchy, podpisują wszystko, co im każą. Dlatego też błagała mnie, żebym był wytrwały, opanowany, abym zmobilizował całe swoje męstwo i nie podpisywał wymuszonych zeznań o wymyślonych przestępstwach. Prośby te pamiętałem zawsze, towarzyszyły mi przez cały czas przebywania w więzieniu i były podporą w najtrudniejszych chwilach. Dochodziło do nas doprowadzone w MGB do absurdu pojęcie o przestępstwach, jakoby poważnym wykroczeniem przeciwko partii i państwu mogło być najbardziej niewinne postępowanie zwykłego człowieka, jeśli z góry przeznaczono go na stracenie. Sam się o tym przekonałem nieco później, a oficer śledczy przedstawił mi niektóre teoretyczne podstawy radzieckiej kryminologii sformułowane przez niesławnej

pamięci A. Wyszyńskiego. Nawet dziecko wiedziało, jak szerokie było rozumienie przestępstwa politycznego, o czym może świadczyć następujący szkolny dowcip: Siedzą w więziennej celi niedźwiedź, wilk i kogut, i rozmawiają o dokonanych przestępstwach. Niedźwiedź mówi: — Ja zagryzłem krowę. — Wilk: — Ja zadusiłem owcę. — Na to kogut: — A ja jestem polityczny; dziobnąłem w dupę pioniera.

Zbliżał się fatalny dzień 3 lutego. W dniu tym występowałem na radzie naukowej Akademii Medycznej w charakterze oponenta podczas obrony pracy doktorskiej. Po sesji pojechałem do księgarni w Domu Uczonych po zagraniczne czasopisma dla siebie i dla profesora Gelsteina, który był chory i prawie nie wychodził z domu. Wieczorem zadzwoniłem do niego, chcąc mu powiedzieć, że wziąłem dla niego prasę, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Zdziwiło mnie to bardzo, ponieważ wiedziałem, że chory profesor nigdy nie opuszcza swojego mieszkania, a wieczorami zwykle była i jego żona, docent G. Bykowska, znany neuropatolog. Zadzwoniłem do profesora S. Kapłanskiego, sąsiada i przyjaciela Gelsteina, żeby dowiedzieć się, jaka może być przyczyna milczenia telefonu profesora. Odpowiedział, że to chyba przypadek, ponieważ zawsze ktoś jest w domu. Wreszcie około godziny 22 w odpowiedzi na kolejny telefon odezwał się zdenerwowany głos pomocy domowej Gelsteina. Okazało się, że gospodarzy przed chwilą wywieziono po trwającej całą dobę rewizji. Był to pocisk wymierzony już zupełnie obok i nie miałem wątpliwości, że następny trafi we mnie. Tego wieczora mieliśmy odwiedzić naszych przyjaciół i sąsiadów Moszkowskich. Zabrałem ze sobą skromne oszczędności, które trzymaliśmy w domu, żeby prosić Moszkowskich o przechowanie ich u siebie i przekazanie tym członkom mojej rodziny, którzy nie zostaną aresztowani. Wieczór był żałobny w pełnym rozumieniu tego słowa. Wszyscy rozumieli, choć nie mówiło się o tym, że jest to wieczór pożegnania na wieki. Każdy z nas miał jednak nadzieję, że zły los go ominie. Tylko ja, mimo swego optymizmu, nie miałem złudzeń. W takim nastroju, około pierwszej w nocy, powracaliśmy do domu.

Wchodząc do naszej klatki schodowej zdziwiliśmy się ujrawszy windziarkę, która zwykle około północy zamykała windę i szła do domu. Obok stał mężczyzna o wyglądzie boksera, w cywilnym ubraniu, co także nas zaskoczyło i wydało się podejrzane. Kiedy

jechaliśmy windą, powiedziałem żonie, że to chyba pracownik MGB, lecz Zofia, która wielokrotnie spotykała ich w naszym bloku, jak bez przerwy kogoś śledzili bez żadnego skrępowania, powiedziała, że „tamci” wyglądają inaczej. Później okazało się, że był to członek grupy operacyjnej, która przybyła, aby mnie aresztować. Prawdopodobnie miał pilnować windziarki, żeby nie odeszła i nie uprzedziła mnie o nocnych odwiedzinach, albo ująć mnie, jeżeli spróbuję uciekać. Otworzywszy drzwi wejściowe, już na progu oceniłem całą sytuację. Przy wejściu do przedpokoju, po prawej stronie stał młody mężczyzna w standardowym cywilnym ubraniu pracownika MGB (granatowy płaszcz z szarym karakułowym kołnierzem, czapka uszanka z obszyciem takim jak kołnierz) i powitał mnie beczelnym uśmiechem. W jaskrawo oświetlonej jadalni, której drzwi wychodziły do przedpokoju, zobaczyłem, a raczej wyczułem obecność wielu ludzi. Byłem na tyle psychicznie przygotowany do takiego spotkania, że aż wyrwało mi się z ust powitanie skierowane do stojącego pracownika MGB: — A, witam! — Nie było to ani brawurą, ani tym bardziej grzecznością gospodarza witającego gościa. Znane przysłowie mówi: „Gość nie w porę — gorszy od Tatarzyna”. Mój gość w pełni odpowiadał sensowi tego przysłowia, choć w nieco innym odcieniu znaczeniowym: mi był proszony, lecz oczekiwany, a moje powitanie oznaczało: „A więc nareszcie!”. W ten sposób nadejście śmierci jest końcem strachu oczekiwania na nią.

Na „powitanie” funkcjonariusz odpowiedział przeszukaniem moich kieszeni, które powywracał na lewą stronę, wciąż zadając pytanie: — Macie broń? — Gdy wszedłem do jadalni, zastałem w niej liczną grupę ludzi: dwóch czy trzech emgebowców w wojskowych mundurach, niemłodego pułkownika, a także wystraszonych całym zajściem: dozorczynię, którą zapewne poproszono jako świadka, a także naszą służącą — młodą dziewczynę. Pułkownik przedłożył mi nakaz aresztowania i rewizji, którego nawet nie przeczytałem i nie przejawilem jego treścią jakiegokolwiek zainteresowania; zauważyłem jedynie datę wypisania nakazu: 2 lutego. Jak się później okazało, tą samą datą był opatrzony nakaz aresztowania E. Gelsteina, lecz chyba z powodu nawału pracy nie zdołano aresztować mnie w tym samym dniu i pozostałem na wolności o całą jedną dobę dłużej od Gelsteina.

Nie pamiętam wszystkich szczegółów aresztowania; nie są one

nawet ciekawe, wszystko odbywało się zgodnie z opracowanym szablonem. Spokojnym, a nawet troskliwym tonem człowieka doświadczonego w tych sprawach pułkownik udzielał żonie rad co do rzeczy, jakie należało przygotować udającemu się w „daleką drogę”. Dodał też, że jedzenie nie jest konieczne. Pożegnawszy się z żoną i zapamiętawszy na całe życie jej wieloznaczne „bądź mężny”, w towarzystwie pułkownika, z węzełkiem w dłoni udałem się w nieznane. Kiedy schodziliśmy na dół, pułkownik powiedział swoim spokojnym tonem: — Jeżeli zobaczy pana ktokolwiek z sąsiadów, proszę powiedzieć, że jedzie pan w delegację. — Nic nie odpowiedziałem, choć wydawało mi się to naiwne: obywatele radzieccy doskonale wiedzą, w jaką delegację jedzie się nocą w towarzystwie pułkownika bezpieki. Na dole przy windzie nie było już ani windziarki, ani „boksera”. Wsiadliśmy z pułkownikiem do podstawionego samochodu osobowego. Po drodze zadałem na głos, bardziej sobie niż jemu, pytanie: — O co mogą mnie oskarżyć? — Pułkownik, jakby mnie pocieszając, odpowiedział: — Być może jesteście potrzebni w charakterze świadka. — Zdziwiłem się również na głos: — Czyż aresztuje się świadków? — Odpowiedź: — Czasami występuje konieczność izolacji. — W nabrzmiałym milczeniu jechaliśmy przez Moskwę nocą, aż przed samochodem rozwarła się dobrze znana wszystkim moskwianom ciężka brama Łubianki (od strony Sretenki) i samochód wjechał na podwórze. Tak oto rozpoczął się etap, którego koniec tonął w nieskończonym mroku, chyba świata pozagrobowego.

Wszystko, co przeżyłem, pamiętam dziś (a odczuwałem chyba i wtedy) jako senny koszmar. Pozostały tylko fragmenty wspomnień, bez możliwości stworzenia całego obrazu w kolejności jego powstawania. Pamiętam jedynie, że początkowo nie docierał do mnie cały tragizm sytuacji; byłem nawet na swój sposób ciekaw tego nowego, co miało mnie spotkać. Jeszcze po drodze do Łubianki intrygowało mnie pytanie, jakie konkretnie oskarżenie zostanie mi przedstawione. Niedługo na to czekałem. Po krótkim pobycie w boksie znalazłem się w pokoju, gdzie przy stole siedział z oficjalnie kamienną twarzą młody wojskowy w mundurze MGB z naszywkami kapitana. Wszedłszy do pokoju (a raczej po doprowadzeniu mnie) z przyzwyczajenia się przywitałem. Był to odruch grzecznościowy, o którym zawsze pamiętałem nawet na szosie, gdzie na ordynarne wyzwiska innego kierowcy, wysyłane pod moim adresem

po jakimś przewinieniu, zawsze odpowiadałem: „proszę mi wybaczyć”. Gospodarz pokoju okazał się śledczym: później dowiedziałem się imienia i nazwiska „obywatela śledczego”: Roman Odlenicki. Był to młody, może trzydziestoletni człowiek, o szczupłej twarzy, z odcieniem inteligencji i przebiegłości. Do jego charakterystyki może jeszcze powrócę. Na moje opanowane przywitanie odpowiedział jedynie krótkim skinieniem i jakimś pomrukiem. Chyba nic więcej nie wchodziło w rytuał stosunków z aresztowanymi, które wykluczały przejawy życzliwości. Bez żadnego wstępu zaczął: — Jesteście aresztowany jako żydowski nacjonalista burżuazyjny, wróg narodu radzieckiego; proszę opowiadać o swoich przestępstwach. — Tą deklaracją moja ciekawość została zaspokojona, nastąpiło pewne odprężenie. „Kamień spadł mi z serca”, gdy usłyszałem formułę oskarżenia. Wydawało mi się, że nigdy nie byłem żydowskim nacjonalistą burżuazyjnym, a tym bardziej wrogiem Związku Radzieckiego. Dlatego też byłem przekonany, że nie sprawi mi żadnego trudu odparcie zarzutów i udowodnienie niewinności. Oczywiście myliłem się, ponieważ nie wiedziałem, co oznacza „żydowski nacjonalizm burżuazyjny” w interpretacji MGB. Mogłem przytoczyć wiele konkretnych dowodów mojego rosyjskiego i radzieckiego patriotyzmu, szczególnie oddania i głębokiego przywiązania do ojczyzny, zaczynając od dzieciństwa, a te uczucia były narażone na obelgi i oszczerstwa, co ja, jako Żyd, musiałem znosić przez całe życie. Poczucie godności osobistej nigdy nie pozwalało mi przytaczać dowodów miłości do ojczyzny w jakiegokolwiek sytuacji. Nie zawiodło mnie również w więzieniu. Uczucia te, wspólne wszystkim Żydom, którzy oddali swej ojczyźnie cały, często nieprzeciętny talent, wspaniale wyraziła Margarita Aligher w znakomitym poemacie *Twoje zwycięstwo*, Ilja Erenburg w swoim pomniku literackim *Ludzie, lata, życie* oraz wielu innych. Dlatego z pełnym szczerem przekonaniem odpowiedziałem śledczemu, że nigdy nie byłem żydowskim nacjonalistą burżuazyjnym i że nie mam na sumieniu żadnych przestępstw przeciwko narodowi radzieckiemu. Śledczy powtórzył formułę oskarżenia i zażądał, żebym się nie wypierał, lecz opowiedział o swoich przestępstwach. Zwróciłem się do niego z propozycją skonkretyzowania mojej winy, żebym mógł stwierdzić, czy dokonałem takiego przestępstwa, czy też nie. Spowodowało to błyskawiczną replikę: — Ach, nie. Wy sami nam o wszystkim opowiecie!

Dopiero później zrozumiałem, że w MGB oskarżony sam sobie powinien wymyślać przestępstwa, tutaj kapłani prawomyślności nie mają ochoty się tym trudzić. Przesłuchanie ciągnęło się około godziny. Zakończyło się tym, że śledczy mi zagroził: — Albo będziecie zeznawać, albo pozostaniecie tutaj. Choć to nie sanatorium, mamy tu warunki całkiem przyzwoite. Jeżeli jednak nadal będziecie się upierać, to porozmawiamy ze zwierzchnikiem i zostanie wobec was zastosowany specjalny reżym. — Groźba, której sens nie był dla mnie całkowicie jasny, nie poskutkowała. Śledczy zaczął coś pisać. Trwało to dosyć długo, wreszcie dał mi do podpisania to, co zwało się protokołem. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z jego szczególnym stylem. Protokół składał się z pytań i odpowiedzi, a treść i styl pierwszych z nich zapamiętałem:

Pytanie: Wy, Rapoport, jesteście aresztowani jako żydowski nacjonalista burżuazyjny, wróg narodu. Opowiadajcie o waszych przestępstwach.

Odpowiedź: Żadnych przestępstw nie popełniłem.

Pytanie: Kłamliwe, obłudne oświadczenie.

Odpowiedź: Żadnego kłamstwa tu nie ma.

Pytanie: Nie przedłużajcie, tylko opowiadajcie o swoich ciemnych sprawkach.

Odpowiedź: Nie dopuściłem się żadnych ciemnych sprawek.

Pytanie: Nie unikniecie odpowiedzialności za swoje przestępstwa.

Odpowiedź: Nie popełniłem żadnych przestępstw.

I tak dalej...

Ta prawnicza zgaduj-zgadula pod tytułem „protokół z przesłuchania” zajęła całą stronę. Przy końcu strony — podpisy przesłuchującego i przesłuchiwanego, po czym pytający oddalił się.

Po pewnym czasie zmienił go jakiś osobnik przypominający żołnierza, który przykrył moje ramiona fryzjerską serwetą ze śladami częstej używalności i rozpoczął akt pasowania na aresztanta: strzyżenie do gołej skóry. Następnie obowiązkowy prysznic (jak się później o tym przekonałem, w więzieniu MGB bardzo dbano o higienę osobistą). Po kąpieli ustawiono mnie przy letnim kaloryferze z rozkazem: — Schnij. — Wykonywałem rozkaz i starannie schłem, bardziej od ciepła, które sam wytwarzałem, niż od kaloryferów. W tym czasie starannie przetrząsano moje spodnie, marynarkę, buty. Odcięto mi wszystkie guziki, na których były

wyciśnięte jakieś firmowe literki. Teraz spodnie trzymały się na mnie tylko dzięki wzruszającemu przywiązaniu oraz na jednym guziku analfabecie. Nie mogłem przeniknąć tej tajemnicy, dlaczego pozbawiono mnie guzików od spodni i marynarki, chyba że na guzikach jakaś buntownicza organizacja odcisnęła znaki anty-radzieckiej agitacji. Wywleczono sznurówki z butów, pewnie z obawy, żebym się na nich nie powiesił.

Ostrzyżony, wykąpany, wysuszony i pozbawiony guzików zostałem zapakowany do „czarnej wrony” i wyruszyłem w nieznane. Konstrukcja „czarnej wrony” była niejednokrotnie opisywana w naszej literaturze; mimo wszystko przytaczam ją dla niewtajemniczonych, tym bardziej, że na przestrzeni minionych 25 lat technika zrobiła duży krok naprzód i chyba zmieniły się środki transportu aresztantów. Moja „czarna wrona” była zwykłym furgonem do przewozu chleba, mięsa. Przystosowanie jej do przewozu istot ludzkich sprowadzało się to tego, że rozdzielono ją wąskim przejściem na dwie części, z których każda była jeszcze podzielona w poprzek. W efekcie powstało kilka kabinek, a do każdej mógł wcisnąć się jeden człowiek o przeciętnej budowie ciała. Do tylnej ścianki kabiny przylegała ławeczka. Kiedy siadało się na niej, kolana opierały się o drzwi kabiny. W drzwiach był „wizjer”, przez który strażnik mógł podglądać twarz pasażera, oświetloną słabą elektryczną żarówką. W tylnej części „wrony” były żelazne drzwi, jak w zwykłym furgonie.

Ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy długo, przejeżdżaliśmy przez jakieś tory, długo czekaliśmy przed szlabanem, ponieważ słyszałem szum przejeżdżającego pociągu. Jeden z postojów był bardzo długi, około półgodzinny, jeżeli jeszcze w tym hermetycznym aparacie kosmicznym nie zatraciłem poczucia czasu. Miałem wrażenie, że moi strażnicy opuścili furgonetkę za swoimi sprawami (chyba wstąpili na piwo, przecież był już ranek). Po powrocie z wzruszającą troskliwością zawołali do mnie: — Hej, ty tam, nie zmarłeś? — i zadowoleni z odpowiedzi (ambicja nie pozwalała mi odpowiedzieć przecząco) ruszyli dalej.

Był już dzień, kiedy wjechaliśmy na jakieś podwórze (domyśliłem się tego po trzasku otwieranej i zamykanej bramy), które natychmiast po wyjściu z mojego przytulnego przedziału rozpoznałem jako więzienie.

Wprowadzono mnie potem do pokoju na parterze, gdzie czekała

ż może trzydziestoletnia kobieta o miłej, ludzkiej twarzy, w ubraniu lekarza. Kazano mi się rozebrać. Mając na uwadze biały fartuch i czepek miłej pani doktor byłem pewien, że zostanę poddany zwykłemu badaniu lekarskiemu. Zdjąłem więc marynarkę i podkoszulek, i byłem zdziwiony, a nawet zażenowany tym, że kazano mi się rozebrać do naga (nie utraciłem jeszcze poczucia męskości). Trudno jednak było odmówić tej prośbie, szczególnie w towarzystwie dozorca więziennego. Sympatyczna pani doktor zbadała wszystkie otwory (uszne, nosowe, usta, gardło) kończąc na odbycie, do którego głęboko włożyła palec (dobrze, że badanie odbywało się w takiej, a nie odwrotnej kolejności). Po tej ostatniej czynności nieoczekiwanie stwierdziła na głos: — Hemoroidów nie ma — jak gdyby zaskoczona ich brakiem u starszego profesora Żyda. Nie wytrzymałem i zadałem pytanie: — Czyżby bez hemoroidów nie rozstrzeliwano? — W pytaniu tym nie wyczuła dowcipu, więcej w nim było złości (w tym domu widocznie humor był rzadkim gościem) i popatrzyła tylko na mnie ze zdziwieniem oraz, jak mi się wydawało, z zainteresowaniem. Być może знаła mnie nawet jako pedagoga i uczestnika wielu konferencji naukowych. Dopiero niedawno domyśliłem się (i to z sugestii innych) przyczyny takiego zainteresowania naturalnymi otworami mojego ciała: chodziło o sprawdzenie, czy nie ukryłem gdzieś ampułek z trucizną. Do tego jeszcze zakpiłem z niej, czy szuka tam bomby atomowej albo działa szybkostrzelnego.

A co w tym czasie działo się u mnie w domu? O tym opowiedziała mi żona po moim powrocie z „domu umarłych”. Powrót ten nazwałem ekshumacją — co było bliskie prawdy; ekshumacja to wszak wyciągnięcie z grobu pogrzebanych zwłok. „Pracownicy”, którzy pozostali w moim mieszkaniu, przystąpili do rewizji. Przeszukano również dachę, dokąd „pracownicy” pojechali w towarzystwie mojej żony. Rewizję przeprowadzono nader skrupulatnie, przeglądano wszystko w celu znalezienia jakichś kompromitujących materiałów. Ślady tej staranności zobaczyłem po powrocie, kiedy odpieczętowano dwa pokoje, w których na stos zwalono materiały — zbiory diapozytywów, rękopisy prac naukowych i materiały już wydrukowane, książki. Szczegółowo przeglądano dokumenty szukając wywrotowych materiałów, lecz niestety niczego kontrrewolucyjnego ani kompromitującego, w sensie potwierdzenia przynależności do jakiejś organizacji, nie znaleziono. Na wszelki

wypadek co jakiś czas telefonicznie meldowali komuś o bezowocnych poszukiwaniach. I oto nagle — sensacja, ogólne podniecenie, znaleziono truciznę! Było to kartonowe apteczne pudełko z ampułkami atropiny, opatrzone zwykłą naklejką z trupią czaszką, uprzedzającą o silnym działaniu preparatu. Atropinę trzymaliśmy w domowej apteczce jako niezbędny środek do natychmiastowej iniekcji na wypadek ostrej niewydolności naczyń wieńcowych wraz z silnym atakiem dusznicy bolesnej. O tym znalezisku natychmiast poinformowano przez telefon „towarzysza generała” z MGB: znaleziono truciznę! Sprawie tej nadano takie znaczenie, jakby znaleziono bomby, karabiny maszynowe, pistolety i inne oznaki działalności terrorystycznej. Przecież trucizna to broń lekarza terrorysty, który morduje swoich pacjentów trucizną, a nie za pomocą broni palnej. To była sensacja na całe podwórko: u Rapoporta znaleziono truciznę! Straszliwe pudełko z namaszczeniem opieczętowano lakiem; widziałem je potem w rękach oficera śledczego. Pudełeczko było już otwarte, a jedną z ampułek opróżniono; widocznie jej zawartość poddano analizie, w celu ustalenia jej składu i przeznaczenia. Niemniej oficer zapytał: — Do czego potrzebna była wam ta trucizna? Czy chcieliście się otruć w czasie arestowania? — Widocznie sądził, że mógłbym pójść drogą Goebbelsa, Hitlera, Himmlera i innych faszystów jako ich naśladowca. Odpowiedziałem, że nie miałem żadnych powodów, by popełnić samobójstwo i nie czyniłem w tym celu żadnych przygotowań. Nie wracano już do tego podczas śledztwa.

Podczas rewizji znaleziono inne kompromitujące mnie przedmioty: fiński nóż w skórzanej pochwie oraz sztandar faszystowski — czerwoną flagę z czarną swastyką pośrodku. Wyjaśniłem pochodzenie tych rzeczy. Fiński nóż (nawiasem mówiąc tak tępy, że nie można było nawet chleba nim ukroić) podarował mi na karelskim froncie pewien dyrektor szpitala. Zrobił go tamtejszy sanitariusz „złota rączka”. Takie „finki” posiadali prawie wszyscy żołnierze na owym froncie; był to miejscowy suvenir. Co się tyczy sztandaru, znalazłem go w Rydze na biurku w sztabie opuszczonym przez Niemców. Sztandar ten wziąłem w charakterze trofeum, jednak aby uniknąć podejrzenia o kolaborację z faszystami, napisałem na nim datę i miejsce zdobycia: Ryga, 13 października 1944 roku” (data wyzwolenia Rygi). Niemniej oficer śledczy zapytał: — Skąd macie niemiecką swastykę? Rozumiem, flaga

amerykańska, ale faszystowska swastyka, to już za wiele dla Żyda! — Zwróciłem jego uwagę na wykonany moją ręką napis na swastyce, który wyjaśniał jej pochodzenie. Więcej do tego pytania w śledztwie nie powracano, choć dowody mogły być uznane za kompromitujące — przecież śledztwo zostało później przerwane w punkcie kulminacyjnym...

Takiej ewentualności nie można było wykluczyć. Przecież cała historia działalności „organów” w tępieniu radzieckich obywateli roi się od przykładów na to, że nie ma takiej niedorzeczności, która nie mogłaby posłużyć za dowód świadczący o przestępczej działalności czy zbrodniczych zamiarach. Na poparcie tego stwierdzenia można przytoczyć materiały ujawnione w czasie rehabilitacji niewinnie skazanych ludzi. Czy tępy fiński nóż i atropina są mniejszymi dowodami przestępczej działalności ich posiadacza niż wygięta w łuk lufa karabinu maszynowego pochodzącego z zestrzelonego niemieckiego samolotu, którą dzieci znalazły w okolicach Moskwy niedaleko od miejsca jego upadku i wybuchu? Między innymi ta właśnie lufa posłużyła jako dowód rzeczowy spisku, który został wykryty przez „organa” w 1943 roku, pod nazwą „Pomścimy rodziców”. Oskarżona grupa młodzieży (wśród nich był syn naszej bliskiej przyjaciółki Z. K. i to on po powrocie z obozu opowiedział nam wszystkie szczegóły sprawy) to dzieci represjonowanych i rozstrzelanych rodziców. Organizowali się jakoby w celu pomszczenia śmierci rodziców.

W czasie rewizji u jednego z chłopców znaleziono powykręcaną lufę karabinu maszynowego, która posłużyła jako dowód rzeczowy. W wyniku przesłuchań któryś z chłopców zeznał, że z tego karabinu zamierzali strzelać do przejeżdżającego przez Arbat Stalina, z okna pokoju jednej z dziewcząt — należącej do ich organizacji. Sądu nie zastanawiał ani anegdotyczny dowód rzeczowy, ani też fakt, że okno, z którego miał być dokonany zamach, wychodziło na podwórze, a nie na Arbat. Dlatego też nie mam pewności, czy problem atropiny, tępej finki i faszystowskiego sztandaru został wyczerpany w tych kilku lakonicznych zdaniach, które nie znalazły się jednak w protokolowym zestawie pytań i odpowiedzi.

Co się dalej działo w domu? Rewizja trwała dwie doby, zakończyła się konfiskatą ogromnej ilości korespondencji i różnych materiałów dokumentalnych, opieczętowaniem dwóch z czterech pokoi (dwa pokoje pozostawiono do dyspozycji żony i młodszej córki.

uczennicy). Część dobytku, zapewne podlegającego przypadkowi po moim wyroku, przeniesiono do opieczetowanych pokoi, część pozostawiono żonie za pokwitowaniem. Podczas rewizji szczególnie szalał „pracownik”, który przeprowadzał rewizję osobistą w czasie aresztowania; inni, młodszy funkcjonariusze zachowywali się spokojnie, a nawet spierali się z tym „pracownikiem” w wielu sprawach. Gdy „pracownik” zażądał, aby przeniesiono pianino do opieczetowanych pokoi, jego koledzy sprzeciwili się mówiąc, że korzysta z niego moja młodsza córka. Odkrywszy kolekcję starych carskich asygnat pieniężnych chciał je przyłączyć do materiałów kompromitujących, że niby wywiad amerykański płaci mi nimi za działalność szpiegowską. Koledzy wyperswadowali mu jednak, że to „kolekcja Nataszy”. Epizody te potwierdzają moje przekonania, zbieżne ze zdaniem poety, że „nie tylko psy żyją na świecie”. Wśród skonfiskowanych materiałów były listy, które pisaliśmy do siebie z żoną, kiedy się rozstawaliśmy na jakiś czas. Mam nieczytelny charakter pisma i trzeba się do niego przyzwyczaić; moi korespondenci twierdzili, że mimo wielokrotnego czytania tych listów za każdym razem odkrywali w nich coś nowego. Oficer śledczy (nazwałem go później kuratorem) pewnego razu wręczył mi jeden z moich listów, prosząc o odczytanie zupełnie niezrozumiałego dla niego fragmentu. Powiedziałem, że sam nie zawsze mogę się odczytać i żeby przeczytać moje listy, wystarczy pracy dla trzech poruczników do czasu, gdy przejdą w stan spoczynku w randze generała. Wybiegając naprzód powiem, że całą korespondencję mi zwrócono i że porządkując ją znalazłem list żony, który napisała do mnie na Krym. List był z sierpnia 1938 roku i z powodzeniem mógł być wykorzystany przez MGB jako potwierdzenie mojego ścisłego związku z przestępczą organizacją Żydów terrorystów. Żona pisała, że poszukuje mnie M. Wowski. Jego klinika znajdowała się w Szpitalu Botkinskim, gdzie lekarzem naczelnym był doktor Szymeliowicz, wymieniony w komunikacie TASS-u jako jeden z najważniejszych członków tej przestępczej organizacji. W tym czasie wykonano już na nim wyrok: 12 sierpnia 1952 roku został rozstrzelany razem z 24 innymi członkami Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego. Po 13 stycznia nazwiska Wowsiego i Szymeliowicza były na tyle skompromitowane, że jakikolwiek związek z nimi stawał się podejrzany. Wystarczy wspomnieć, że nawet w spółdzielni domków letnisko-

wych „Pracownicy Naukowi” (która wybudowała i moją daczę) na posiedzeniu zarządu rozpatrywano problem pozbawienia członkostwa i odebrania daczki pewnemu członkowi spółdzielni tylko dlatego, że wynajmował on domek Wowskiemu. Trzeba wszakże zauważyć, że owa spółdzielnia wyróżniała się jawnym złodziejstwem. Spośród członków spółdzielni (właścicieli domków) wielu represjonowano w czasie epidemii lat 1937—1938. Ledwie wiadomości o aresztowaniu dotarły do zarządu, gdy natychmiast pozbawiono aresztowanych członkostwa, wyrzucano z daczki przebywającą tam rodzinę, domek konfiskowano i przekazywano komuś ze znajomych za kwotę „nominalną” lub nawet za darmo, często ze zgromadzonym wewnątrz majątkiem aresztowanego. Była to jawna grabież pod płaszczykiem „odcinania się od wroga narodu”. Nierzadko operację tę przeprowadzano jeszcze przed wydaniem wyroku przewidującego również przepadek mienia. W tamtych ponurych czasach aresztowanie było równoznaczne z wyrokiem, a przynębieni członkowie rodziny, jeśli nawet pozostali na wolności, nie próbowali interweniować, gdyż absolutnie żadna z radzieckich instytucji nie ujęłaby się za nimi. Na własnej skórze doświadczyłem bandyckich obyczajów w owej spółdzielni, których inicjatorami i zwolennikami byli członkowie partii (wielu z nich miało tytuły naukowe) — grabieżcy wyzuci z sumienia, żerujący na nieszczęściu innych. Ledwie mnie aresztowano (a wieść o tym natychmiast dotarła do zarządu spółdzielni, ponieważ na daczce także przeprowadzano rewizję), a już wykluczono mnie z grona członków spółdzielni, daczę zaś przekazano jakiemuś pułkownikowi MGB, który przyjeżdżał z żoną, aby zapoznać się z prezentem. Nie poszczęściło się pułkownikowi — nie zdążył faktycznie zostać właścicielem daczki, inaczej nie oglądałbym jej więcej. Jak go potem przegonić, skoro daczka nie jest już moja!

Powrócę do listu żony. Pisze ona, że Wowski i Szymeliowicz pragną namówić mnie do przejścia z I Miejskiego Szpitala do Botkinskiego i objęcia kierownictwa na oddziale anatomopatologii. Można było mieć pewność co do interpretacji przez MGB zamiarów wyrażonych w liście: już w 1938 roku „oni” („terroryści”) chcieli wykorzystać mnie w swoich nikczemnych planach, abym tuszował ich przestępstwa! Ten list mógł mnie więc zaprowadzić na szafot. Zamiary Wowsiego i Szymeliowicza nie zostały zrealizowane, po-

nieważ spotkały się ze sprzeciwem dyrekcji I Szpitala Miejskiego i Instytutu Medycyny, gdzie wówczas pracowałem.

Opisałem już reakcję makroświata na wieść o aresztowaniu lekarzy morderców. Jak na wieść o moim aresztowaniu zareagował otaczający mnie mikroświat? Otrzymałem potwierdzenie poetyckiej tezy, że „nie tylko psy żyją na świecie”. Znajomi odnosili się do mojej żony z milczącym współczuciem, które nietrudno było jej odgadnąć. Bywało, że ktoś ostrożnie, tak by nikt tego nie widział, pytał o mnie i otrzymywał mało pocieszającą odpowiedź: — Nic nie wiadomo. — Byli i tacy, którzy nie ukrywali swojego zainteresowania moim losem; tu przede wszystkim z głęboką wdzięcznością chcę wymienić rodzinę Beklemiszewych (nasi sąsiedzi, którzy mieszkali piętro niżej). Głowa rodziny Władimir Nikołajewicz, znany entomolog, członek Akademii Nauk Medycznych należał do bezpówtrośnie wymarłej światłej rosyjskiej inteligencji, którą znamy z nieśmiertelnych dzieł Turgieniewa, Tołstoja, Czechowa i innych pisarzy epoki przedrewolucyjnej. Nawet wygląd zewnętrzny miał charakterystyczny: wysoki, szczupły, z ostrą bródką w kształcie trójkąta. Do literackiego portretu przedrewolucyjnego „demokraty” brakowało mu tylko „kryłatki” — długiego płaszcza z szerokimi rękawami. Zadziwiała różnorodność jego zainteresowań oraz erudycji w dziedzinie historii, literatury, etnografii. Wiedzę czerpał ze źródeł we wszystkich językach europejskich, a także z łacińskich i greckich. Był ponadto człowiekiem bardzo religijnym (ale nie dewotem), a w jego sypialni wisiał wizerunek Jezusa Chrystusa. Każde spotkanie z nim pozostawiało wrażenie szlachetności, którą wyrażały jego nieco naiwne i dobre oczy, choć prostaczkiem w żadnym wypadku nie można go było nazwać.

Znakomicie uzupełniali się z żoną — Niną Pietrowną, która była kobietą wesołą, optymistyczną, towarzyską, dobrą i serdeczną, ale w pełni „z tego świata”, w którym doskonale się odnajdowała bez uszczerbku dla swojej promienności.

Na wieść o moim aresztowaniu Władimir Nikołajewicz zareagował po swojemu. Kiedy spotkał moją żonę, nie witał się z nią zwyczajnie, czego unikali nawet niektórzy bliscy znajomi; zdejmował kapelusz i kłaniał się prawie do ziemi. W ukłonie tym było nie tylko zwykłe współczucie, ale cześć dla męczeństwa żony. Nina Pietrowna zareagowała po swojemu. W pierwszych dniach po aresztowaniu, kiedy obawy przed kontaktami z rodziną „wroga

narodu" otoczyły mój dom głuchą ścianą i nawet bliscy przyjaciele unikali odwiedzin, złożyła wizytę mojej żonie. Zaproponowała pomoc materialną, której wszakże Zofia odmówiła.

Zdarzały się jednak mniej przyjemne zachowania; jako przykład podam tu incydent z innym naszym sąsiadem. Było to w okresie „sprawy lekarzy”. Jego córka, rówieśnica mojej młodszej córki Nataszy, uczyła się z nią w jednej klasie, a Natasza pomagała jej w odrabianiu lekcji. Kiedy mnie aresztowano, córka miała zeszyty koleżanki, które postanowiła zwrócić. Na dzwonek drzwi otworzył sam ojciec. Zobaczywszy Nataszę, wrzasnął na nią — jak ona, łajdaczka, śmiała się tutaj zjawić. Słowa poparł uderzeniem w piersi, aż Natasza przewróciła się i o mało nie spadła ze schodów. Zeszyty się rozsypały, Natasza uciekła, zachowując pamięć o tym wydarzeniu na całe życie.

Nastroje panujące wśród części społeczeństwa w tamtym okresie doskonale charakteryzuje reakcja klasy, w której uczyła się Natasza (miała wtedy 14 lat). Zwykle kiedy aresztowano kogoś z rodziców uczniów, jeśli dziecko było pionierem, to przede wszystkim zabierano mu pionierską chustę i wykluczano z organizacji. Przypadkowo w 1937 roku podsłuchałem rozmowę na ulicy dwóch pionierów, którzy śmiejąc się mówili o takim wydarzeniu: — Kiedy Griszce zrywali chustę, to beczał! — Członków Komsomolu również wyrzucano z organizacji na ogólnym zebraniu. O moim aresztowaniu wiedziało wielu szkolnych kolegów i rówieśników Natalii, którzy mieszkali z nami w jednym domu, lecz nikt nie powiedział o tym ani słowa. Była to spontaniczna zmowa milczenia, która zakończyła się dopiero po moim wyjściu z więzienia, kiedy dzieci gratulowały Nataszy.

Całej tej sytuacji swoistej pikanterii dodało zajście, które miało miejsce w szkole Nataszy kilka dni przed aresztowaniem. Nauczycielka historii i geografii była osobą szczególną i z pewnością miała jakieś psychiczne odchylenia. Wezwała do tablicy Nataszę, która znakomicie odpowiadała o Ameryce (konstytucja amerykańska), a mimo to nauczycielka postawiła jej czwórkę. Na następnej lekcji oburzeni taką niesprawiedliwą oceną uczniowie zapytali nauczycielkę, dlaczego jest taka nieobiektywna. Nauczycielka odpowiedziała kpiarsko-ironicznym tonem: — A jak ona mówiła o Ameryce? Ach, jaki to interesujący kraj, jak tam dobrze, ja też tam pojadę, mam tam ciocię. — Tę „ciocię” nauczycielka sama

chyba urodziła. Natasza opowiedziała nam o tym zdarzeniu, a ja zdecydowałem, że jako członek KPZR powinienem na to zareagować, ponieważ zachwyt Ameryką u czternastolatki mógł być przypisany rodzicielskim wpływom. Razem z żoną odwiedziliśmy dyrektorkę szkoły, mądrą kobietę. Przypadkiem była obecna w czasie odpowiedzi Nataszy i zapytaliśmy ją, czy zauważyła w słowach córki coś szczególnego. Nie wiedząc, o co chodzi, dyrektorka zachowała się powściągliwie i wyczekująco, sprawdziła w notatniku zapis dotyczący lekcji i powiedziała, że niczego szczególnego, oprócz jakiegoś drobnego błędu stylistycznego, nie zauważyła. Wtedy wyjaśniliśmy cel naszej wizyty. Dyrektorka ostrożnie potwierdziła, że owa* nauczycielka czasami zachowuje się nieco dziwnie, co stawia pod znakiem zapytania jej dalszą pracę w tym zawodzie, i że porozmawia z nią na ten temat. W rezultacie naszej wizyty na następnej lekcji nauczycielka w obecności klasy przeprosiła córkę, twierdząc, że w jej uwadze nie było niczego złego, i prosiła, aby Natasza przekazała to ojcu. Ojciec w tym czasie przebywał w pojedynce Lefortowskiego więzienia. Jaki byłby tryumf nauczycielki, gdyby wiedziała o tym! Przecież byłoby to potwierdzeniem jej politycznej intuicji. Ale klasa zachowała milczenie.

Jeszcze o ludziach. Przed aresztowaniem moja żona zamówiła jakiś drobiazg z garderoby u prywatnej krawcowej (Rosjanki). Kiedy po moim aresztowaniu Zofia poszła do niej, aby odebrać zamówienie, ta, wiedząc o jej sytuacji, kategorycznie odmówiła przyjęcia pieniędzy za usługę.

I trochę o „psach”. W przychodni dla pracowników naukowych, z której usług korzystała moja rodzina, pracował pediatra (z pochodzenia Żyd). Nieraz odwiedzał moje dzieci. Kiedy siedziałem w więzieniu, zachorowała Natasza i żona zwróciła się do przychodni z prośbą o przysłanie tego lekarza, ale kategorycznie jej odmówiono: przychodnia nie obsługiwała „wrogów narodu” i członków ich rodzin. Wtedy Zofia bezpośrednio poprosiła lekarza o przybycie do dziecka. Przyjechał, pobyl chwilę (była banalna angina) i żona wahała się, czy zaproponować mu pieniądze, bojąc się obrazić lekarza. Ale nie obraził się, lecz spokojnie wziął honorarium — ostatnie pieniądze, jakie pozostały w domu. Chciwość pokonała i tradycję, zgodnie z którą lekarz nigdy nie bierze pieniędzy od lekarza (żona również była lekarzem), i zwykłe ludzkie sumienie, jakim wykazała się krawcowa.

Rozdział VI

Więzienie. Reżym. Oskarżenia. Szczegóły śledztwa.

Powróćmy jednak do pokoju na parterze więzienia, gdzie po zbadaniu przez lekarza wejściowych i wyjściowych otworów mojego ciała, zostałem obleczony w państwową bieliznę (też środek higieny!) i w towarzystwie strażnika udałem się po wewnętrznych schodach do miejsca, które przeznaczono mi na mieszkanie. Wszedłszy przez jakieś drzwi, chyba na trzecim piętrze, oniemiałem — ujrzałem widok, który, jak mi się wydawało, już gdzieś kiedyś widziałem, tylko gdzie? Było to jak gdyby wewnętrzne podwórze pod dachem, zamknięte z czterech stron ścianami, z których każda składała się z kilku, chyba czterech pięter. Na poziomie każdego piętra, przez całe podwórze rozciągała się metalowa siatka, a wewnętrzne boki na całej długości piętra otaczała galeria-balkon o szerokości około dwóch metrów. Zewnętrzny brzeg balkonu, do którego była przymocowana siatka, ogradzały żelazne poręcze. Na każdy balkon wychodziło mnóstwo ślepych drzwi prowadzących do więziennych celi. Już gdzieś to widziałem, a może tylko mi się wydawało? Wysiliwszy pamięć przypomniałem sobie — to było na jakimś filmie o buncie więźniów w amerykańskim więzieniu Sing Sing, który zakończył się masową egzekucją buntowników. Całkiem prawdopodobne, że zdjęcia do tego filmu kręcono właśnie w tym więzieniu albo więzienia na całym świecie zbudowane są według jednego, uniwersalnego wzoru.

Otworzyły się drzwi do jednej z cel, po czym wprowadzo-

no mnie do niej. W celi stało metalowe łóżko z cienkim sienne-
nikiem, mały stół, a na nim „serwis”: aluminiowa miska,
emaliowany kubek, łyżka — cały niewyszukany aresztancki
zestaw. Cella była wąska, o szerokości około półtora metra, dłu-
gości trzech metrów; na wprost drzwi pod samym sufitem było
zakratowane okno z parapetem na całą szerokość ściany. Po pra-
wej stronie zauważyłem zakratowane kaloryfery, które dawały
ledwie odczuwalne ciepło. Cella miała jedną wielką zaletę: na
ścianie przeciwległej do łóżka zamontowano małą półokrągłą
umywalkę z kranem i stożkowy klozet, którego wylot łączył się bez-
pośrednio z kanalizacją. Od razu oceniłem zalety techniki sanitarn-
nej — nie było tradycyjnego kibla, który należało samemu raz czy
dwa razy dziennie wynosić do ogólnej ubikacji, i ta mała zaleta,
według mojej oceny, przewyższała fetor, który chwilami wydoby-
wał się z klozetu. Ściany celi były pomalowane farbą olejną na
soczystą zielen — symboliczny kolor nadziei, ale tutaj była to barwa
beznadziejności.

Drzwi celi zatrzasnęły się i zostałem sam, zmęczony do granic
wszystkimi wydarzeniami i dwiema bezsennymi nocami (było już
południe); opadłem na łóżko i natychmiast udzielono mi pierwszej
lekcji „specjalnego reżymu”. Okazało się, że nie jestem sam; bez
przerwy przez judasza obserwowało mnie czujne oko, tym razem
należące do kobiety. Nieoczekiwanie zjawiała się w mojej celi „jak
nieuchwytnie zjawisko” w mundurze dozorczy więziennego z bere-
tem na głowie, ze wściekłą mordą wytresowanego psa, który za-
szczekał na mnie: — Wstać z łóżka, leżenie w dzień jest zabro-
nione. — Nie obeznany z zasadami pobytu w moim nowym hotelu,
naiwnie próbowałem ułagodzić ją wyjaśnieniem, że nie spałem dwie
doby, ale to usprawiedliwienie jej nie zadowoliło. Skrajne wy-
czerpanie jeszcze kilka razy zwałało mnie z nóg i za każdym razem
podrywało mnie wtargnięcie tej furii. Nie wiem czemu pomyślałem
wtedy, że do zadawania takich katuszy nie mogli znaleźć odpowied-
nich mężczyzn i specjalnie oddano mnie pod nadzór babom ge-
stapowskiej szkoły. Może nawet się nie myliłem, chociaż później
nie miałem już do czynienia ze strażniczkami, ale wśród nadzo-
rców płci męskiej trafiali się tacy, co nie byli do końca zdege-
nerowani.

Pierwszy dzień minął mi w męce śmiertelnego wyczerpania
i koszmarze wszystkich wydarzeń ostatnich dni, od których jedyną

ucieczką byłby sen. Nadszedł wieczór z przyćmioną żarówką na suficie, która nie tyle oświećlała, co nieco zmniejszała mrok koszar. Siedziałem na łóżku i nagle usłyszałem rytmiczny stukot w ścianę dochodzący z sąsiedniej celi. Chciałem sprawdzić, czy to nie przypadek, i siedząc plecami do ściany, żeby ukryć ruch nadgarstka ręki przed wszystkowiedzącym okiem w wizjerze, odstukałem. W odpowiedzi usłyszałem już nie rytmiczny, ale wściekle szybki stukot. Zdecydowałem się jednak przerwać ten kontakt poprzez ścianę, nie byłem bowiem do niego przygotowany tak jak carscy więźniowie, którzy opanowali technikę stukania umówionym alfabetem. Ponadto obawiałem się, że może to być prowokacja; zamilkłem więc, a z czasem i sąsiad zrezygnował z dalszego nawiązania kontaktu.

Przytłaczającą więzienną ciszę od czasu do czasu przerywało ostrożne szuranie za drzwiami spacerującego strażnika i lekki szcęk otwieranego judasza. Jakimś szóstym zmysłem wyczuwa się w tym „martwym domu” obecność wielu setek ludzi zamurowanych w kamiennych komórkach. Około dziesiątej wieczorem (według moich obliczeń) bezszelestnie otworzyły się drzwi i do celi wszedł strażnik, na którego widok trzeba było wstać (tego już mnie nauczyle). W ręku miał świstek papieru. Padło pytanie: — Nazwisko, imię, imię ojca. — Po odpowiedzi (wszystko to szeptem, bynajmniej nie z subtelnej obawy, by kogoś nie obudzić!) — krótki rozkaz: — Na przesłuchanie — i w towarzystwie tego „przewodnika komunisty” (taki tytuł nosił wydawany kiedyś szmatławy tygodnik polityczny dla agitatorów) udałem się na przesłuchanie.

Najpierw jednak chciałem zapoznać czytelnika z ogólnymi warunkami więzienia, o ciężkim reżymie, dokąd trafiłem z powodu odmowy wymaganego ode mnie przyznania się do winy. O godzinie szóstej rano otwierało się okienko w drzwiach, łączące celę ze światem zewnętrznym (przez nie również podawano więźniowi posiłki), i rozlegał się głos: — Wstawać. — Oznaczało to, że mam przyjąć postawę pionową, dokonać mało skomplikowanej toalety i przygotować się do kolejnej procedury — odebrania z okienka kubka więziennej „kawy”, dobowej porcji chleba, zupełnie wystarczającej do wyżywienia oraz cukru (dwa naparstki albo dwie kostki) i miski, zdaje się pszennej kaszy. Po śniadaniu oddawałem się mrocznym rozmyśleniom, które przerywał obiad złożony z miski

kapuśniaku z kilkoma mikroskopijnej wielkości kawałkami mięsa i z miski kaszy. Po obiedzie spędzałem czas równie monotonnie i przygnębiająco aż do kolacji, na którą dawano miskę zupy grochowej lub fasolowej z kawałkami drobnych rybek oraz kubek herbacianej lury. Wówczas następowały najbardziej uciążliwe godziny przed przesłuchaniami (które odbywały się codziennie z wyjątkiem dni świątecznych), męczące dlatego, że trzeba było wysłuchiwać niewiarygodnych bredni i sensownie na nie odpowiadać. W oczekiwaniu na te seanse walki zdrowego rozsądku z logiką mały mijały godziny po kolacji. Dokładnie o 21.30, to jest pół godziny przed sygnałem, który zezwalał na przyjęcie pozycji leżącej, pojawiał się „przewodnik komunisty”. Przesłuchanie trwało zwykle do piątej rano i na wyznaczony regulaminem odpoczynek zostawiała jedna godzina na dobę. Ale i tego krótkiego czasu nie można było właściwie wykorzystać z przyczyn obiektywnych i subiektywnych. Po powrocie do celi napięcie towarzyszące przesłuchaniom nie mijało, przemieniając się w febryczne dreszcze jak po ciężkim pojedynku, w którym trzeba było zwyciężyć. A poza tym w trosce o higienę aresztanta często kierowano go do „łaźni”, tj. pod natrysk, co zajmowało tę jedyną godzinę, jaka pozostawała na odpoczynek. Zaraz potem trzeba było znów wstać i tak dzień za dniem, doba za dobą bez snu. Czasem zasypiałem w dzień stojąc, ale uginające się nogi natychmiast przywracały stan czuwania. Kiedy zdarzało mi się zamknąć oczy siedząc, natychmiast rozlegał się ryk: — Wstawać, otworzyć oczy!

Szczególnie szalał jeden strażnik o złym pysku i zepsutych zębach. Pewnego razu zupełnie wyczerpany zdrzemnąłem się na siedząco i nie zauważyłem, kiedy wtargnął do celi. Obudził mnie krzykiem: — Ty nawet nie widzisz, co się dzieje w twojej celi, chcesz iść na dół? — (była to aluzja do karceru). Próbowałem wytłumaczyć mu w ludzkim języku, mając nadzieję, iż z własnego doświadczenia zdaje sobie sprawę z elementarnych potrzeb fizjologicznych, że nie śpię już wiele dni, że nie jestem w stanie opanować ogarniającej mnie senności, że to jest silniejsze ode mnie. Ale prędzej szczupak by zrozumiał modlitwę „Ojcze nasz...” wypowiedzianą przez płótkę niż ten gestapowiec ludzką mowę. Na moje wyjaśnienia odpowiedział krótko i węzłowato: — Reżym to reżym, jak chce ci się spać, to oblewaj się wodą, albo ja cię będę polewać. — Wykonał przy tym gest, jakby natychmiast zamierzał wprowadzić swe

słowa w czyn. Z jego lakonicznego, choć wyczerpującego wyjaśnienia, jasno zrozumiałem, co to jest reżym w wydaniu MGB. Do tej pory byłem przekonany, że reżym to system, jaki występuje wszędzie począwszy od rodziny, gdzie ma na celu stworzenie optymalnych warunków wychowania dzieci, poprzez lecznictwo (reżym szpitalny, sanatoryjny), aż do działalności sportowej, twórczej itd. W MGB reżym to system dławienia woli i świadomości człowieka w celu doprowadzenia go do stanu całkowitej obojętności, somnambulizmu, podporządkowania woli i świadomości oficera śledczego. Pozbawienie snu to główne narzędzie tego reżymu. W krytycznych momentach mobilizowałem rezerwy woli i świadomości, żeby nie zamienić się w somnambulika i skoncentrować siły niezbędne w tym pojedynku na słowa, o czym wkrótce opowiem. Nie wiem, przez ile dni byłem całkowicie pozbawiony snu, zapewne aż do przełomu w śledztwie. Nigdy nie przypuszczałem, że można tak długo wytrzymać nie śpiąc; niekiedy miałem halucynacje na jawie. Kiedyś ośmieliłem się złożyć protest u „kuratora” z powodu pozbawienia mnie snu, na co odpowiedział: — Zostaliście tutaj umieszczeni, żeby pracować, a nie spać. — Zdziwiła mnie nie sama odpowiedź, ale słowo „pracować”, które usłyszałem od niego po raz pierwszy. Do mojego kuratora nieraz zaglądała dama o wyglądzie dość pospolitym choć miłym — także „pracownica”. Wyraźnie przyjaźnili się ze sobą. Pewnego razu mniej więcej o świcie, wszedłszy do gabinetu i zamieniwszy kilka słów z kuratorem, zaproponowała mu, żeby skończył już pracę i pojechał, na co on odpowiedział: — Jeszcze trochę popracuję z Jakowem Lwowiczem. — Dla niego była to praca, za którą mu płacono. Ale dlaczego ja miałem to traktować jako pracę?

Przez długi czas miałem wstręt do jedzenia. Była to psychiczna anoreksja (utrata apetytu), która w wielu wypadkach prowadzi do wycieńczenia organizmu spowodowanego naruszeniem prawidłowych funkcji mózgu (przy ciężkim urazie psychicznym, u chorych umysłowo, przy niektórych organicznych porażeniach centralnego układu nerwowego). Moi więzienni mentorzy mieli do tego prosty stosunek: zdecydowali widzieć, że to strajk głodowy, a wszelkie przejawy buntu w regulaminie więziennym są niedopuszczalne. Na wszelki wypadek (było to czwartego lub piątego dnia pobytu w więzieniu) w mojej celi nieoczekiwanie pojawił się gruby pułkownik MGB, sądząc z celu jego wizyty i mowy, jaką

wygłosił — lekarz. Był naczelnym lekarzem więziennym i zaszczylił mnie wizytą, żeby namówić do przyjmowania pokarmów. Wyjaśnił mi, że choć więzienne jedzenie różni się od tego, do jakiego przywykłem na wolności, ale jest ono pełnowartościowe. Swoją krótką i surową w tonie przemowę zakończył groźbą, że będą mnie karmić siłą. Zupełnie zignorował wyjaśnienie, że nie jem nie dlatego, że nie chcę, ale że nie mogę. Żeby uniknąć wprowadzenia tej groźby w czyn, przestałem oddawać przez okienko pożywienie i potajemnie wyrzucałem je do klozetu. Ale to, jak i wszystko, co działo się w celi, nie ukryło się przed obserwatorami i jeden ze strażników, w którym tliły się resztki człowieczeństwa (poświęcę mu potem jeszcze kilka słów) wszedł raz do celi i tonem życzliwej wymówki powiedział: — Po co to robicie? Przecież my wszystko widzimy. Trzeba jeść! — O moim stosunku do jedzenia poinformowano także kuratora, który przekonywał mnie (bynajmniej nie z pobudek altruistycznych), że muszę jeść, aby nie tracić sił, które będą mi bardzo potrzebne. Wzruszająca troska! Tak wyglądał mój dzień powszedni w więzieniu, jeśli nie brać pod uwagę dalszych komplikacji, o których zaraz opowiem.

Do mojej celi czasami docierały odgłosy ze świata zewnętrznego — bliższego i bardziej oddalonego. Pewnego razu usłyszałem rozlegające się gdzieś w pobliżu wrzaski więźnia, który niewątpliwie postradał zmysły. Wykrzykiwał oddzielne, nie związane ze sobą słowa, wołał jakiegoś Loszkę. Strażnik bezskutecznie próbował uspokoić szaleńca. Po kilku godzinach biedak zamilkł; prawdopodobnie zabrano go z więzienia. Jęki i krzyki więźnia, który zwariował, dźwięczą mi w uszach do dziś, choć minęło już wiele lat. Widać to połączenie więzienia i domu wariatów w jednym budynku wywarło na mnie wstrząsające wrażenie.

Ze świata zewnętrznego czasami dochodził ryk dyszy aerodynamicznej (widocznie gdzieś w pobliżu był CAGI) *, który wstrząsał ścianami budynku. Po raz pierwszy usłyszałem ten huk podczas tak zwanego spaceru, na który wyprowadzono mnie kilka dni po aresztowaniu, kiedy nie miałem jeszcze pojęcia, co to takiego więzienny spacer. Przez jakieś przejścia wypuszczono mnie na placyk o powierzchni około 40 m², ogrodzony wysokimi betonowymi ścianami, skąd było widać tylko skrawek nieba i wieżyczkę

* CAGI — Centralny Aerodynamiczny Instytut Naukowo-badawczy im. Żukowskiego. (przyp. aut.).

strażnika. Ledwo wyszedłem na to poletko, rozległo się wycie rury. Oczywiście był to przypadek, ale wówczas, nie mając doświadczenia, oceniłem ten fakt inaczej. Byłem pewien, że wyprowadzono mnie do tej betonowej studni na rozstrzelanie i włączono syrenę, by zagłuszyć strzały. Wesoły spacer! Później przywykłem do tego hałasu i nawet wykorzystywałem go: siadałem na łóżku, podnosiłem kołnierz, niby to zakrywając uszy i jednocześnie zamykałem oczy ukryte przed czujnym spojrzeniem dozorca, próbując zdrzemnąć się „pod szum”.

Raz na 10 dni przyjeżdżał „sklepik” — taczka, której „woźnica” sprzedawał przez okienko w drzwiach zestaw produktów: paczkę herbatników, kostkę masła śmietankowego, wędzoną kielbasę, czasem sparciałą cebulę, a także kawałek mydła i papierosy. Należność za te „zakupy” z niezwykłą skrupulatnością potrącano z odebranych mi pieniędzy, które przechowywano w depozycie, oraz z przekazów od żony. Ponieważ nie paliłem, poprosiłem sklepikarza, żeby przekazał papierosy komukolwiek z więźniów, który nie ma pieniędzy na ich zakup, ale propozycja została z oburzeniem odrzucona. Nie można było mieć przy sobie zapalek i nie mam pojęcia, jak więźniowie przypalali papierosy.

Do ceremonii pasowania na aresztanta należało pobieranie odcisków palców i fotografowanie. W tym celu niedługo po przybyciu zaprowadzono mnie do sutereny, gdzie znajdował się fotograf i stacjonarny aparat fotograficzny. Fotograf z profesjonalną troskliwością posadził mnie, odpowiednio ustawił, jak w najlepszym fotoatelier, proponował, bym zapiął na guzik kołnierz więziennej koszuli („inaczej nieładnie!”), sfotografował mnie en face i z profilu, ale wydaje mi się, że zapomniał podziękować i to między innymi odróżniało owo miejsce od fotoatelier. Potem posmarował mi poduszcзки palców czarną farbą i mój daktyloskopijny wizerunek został uwieczniony w archiwum kryminalnym.

Powróćmy jednak do celi i do strażnika, który zaprosił mnie na pierwsze w tym budynku przesłuchanie. Przez jakieś korytarze i drzwi przeprowadzono mnie do budynku przypominającego biuro z szerokimi korytarzami, na które otwierały się drzwi gabinetów. Wprowadzili mnie do jednego z nich, gdzie oczekiwał oficer śledczy, z którym w przeddzień spotkałem się na Łubiance. Przywitał mnie z tą samą wyniosłością i kamienną twarzą, ale jak pokazała dalsza znajomość, była to zawodowa

maska. W istocie nie był on wyniosły; twarz miał ruchliwą o żywej mimice. Udawaną powagę zastępował innymi zawodowymi cechami śledczego MGB: beczelną nonszalancją, wynikającą ze swej przewagi w układzie oficer śledczy — więzień.

Na prawo od drzwi wejściowych stały przytwierdzone do podłogi maleńki stolik i krzesło. Na lewo pod ścianą w pewnej odległości — stół, za którym zasiadał „kurator”. Widocznie był dumny ze swego gabinetu, ponieważ pewnego razu w obecności kilku młodszych kolegów (musieli wcześniej rozmawiać na ten temat) zwrócił się do mnie niczym do arbitra (jak później wyliczyłem, było to w okresie zauważalnego przełomu w toku „sprawy”) z pytaniem, jaki gabinet bardziej mi się podoba — jego czy ten, w którym w przeddzień przesłuchiwał mnie jakiś pułkownik. Odpowiedziałem, że najbardziej podoba mi się mój skromny gabinet w prosektorium I Szpitala Miejskiego. Odpowiedź wywołała zdziwione spojrzenia dyskutujących, czego wówczas nie rozumiałem. Widać wiedzieli już o zauważalnym przełomie w toku „sprawy” i coś ich poruszyło w mojej odpowiedzi.

Oficer śledczy zaprosił mnie na przytwierdzone do podłogi krzeselko, a następnie poinformował, że jest moim stałym przesłuchującym, a wszelkie decyzje w dotyczących mnie sprawach, leżą w jego gestii (dał mi w ten sposób do zrozumienia, że należą do niego niczym martwy przedmiot). W związku z tym jeśli chcę, żeby podejmował korzystne dla mnie decyzje, powinienem grzecznie się zachowywać. W tym mniejsu chciałbym bardziej szczegółowo scharakteryzować tego osobnika.

Przedstawił się jako asystent naczelnika wydziału śledczego: do dziś nie wiem, dlaczego zaszczycono mnie tak ważną osobą. Często przychodzili do niego po poradę inni oficerowie; obserwowałem ich z nieukrywaną ciekawością. Byli to młodzi ludzie, niewątpliwie z prawniczym wykształceniem, i mieliśmy wspólnych znajomych w gronie profesorskim. Twarze młodych śledczych były normalne, ludzkie; w ich wyrazie nie było nic zwierzęcego, toteż bardzo dziwił mnie rozdźwięk między takim wyglądem a ich obrzydliwym ludożerczym dziełem. Zwierzęca fizjonomia to widocznie teatralna i filmowa stylizacja podobnych osobników. Liczni najbardziej zajadli oprawcy, najokrutniejsi i bezwzględni gestapowcy często mieli mylący wygląd cherubinów. Jeden z przychodzących śledczych, młodzieniec cierpiący na furunkulozę, przesłuchiwał

żonę Wowsiego. Prosiłem go, by pozdrowił ją ode mnie (co uczynił) i żeby zbytnio jej nie męczył. Zaprotestował przeciwko posądzeniu go o stosowanie męczarni i zapytał mnie, dlaczego tak uważnie mu się przyglądam. Odpowiedziałem, że z ciekawości, gdyż przypomina mi któregoś z moich studentów, a jego wygląd zewnętrzny nie bardzo pasuje do funkcji, jaką wykonuje. Rzekł mi na to: — A czy my jesteśmy innymi ludźmi?

Oni rzeczywiście uważali się za ludzi i wydaje mi się, że mogli nimi być w innej formacji społecznej i w innej dziedzinie zawodowej. Mój „cherubin” miał złożoną osobowość — był niegłupi, sprytny, obrotny. Miał dość powierzchowną (ale zawsze jakąś) wiedzę z różnych dziedzin literatury i biologii. Może niektórych dziwi, że nie odczuwam wobec niego niechęci czy nienawiści. Co więcej, do dziś jestem mu wdzięczny za przejawy człowieczeństwa, jakie niekiedy mu się zdarzały, za rozmowy na luźne tematy, na które czasami pozwalał (a były one dla mnie wielką ulgą w odosobnieniu). Chwilami wydawało mi się, że nawet mi jakoś współczuł. Przy tym wszystkim jednak był oficerem śledczym MGB i starannie wypełniał swoje zadanie, które polegało na tym, by zmusić więźnia do przyznania się do czegoś, czego nie popełnił, zgodnie z poleceniem tendencyjnie interpretować to, czego nie było.

Po tym, jak poinformował mnie o zasadach naszych wzajemnych stosunków, zapytałem go, gdzie się znajduje. Odpowiedział: — W więzieniu Lefortowskim. — Zeszytniałem cały i zrozumiałem, że źle ze mną. Więzienie Lefortowskie miało najgorszą sławę ze wszystkich moskiewskich więzień. Powszechnym było mniemanie, że stąd się nie wychodzi, że samo zamknięcie w nim to jakby wyrok, skazanie na wszystko, co najgorsze. Moja żona mistycznie bała się tego więzienia, sama nazwa przyprawiała ją o strach. Na szczęście nie wiedziała, gdzie się znajduje, była przekonana, że jestem na Łubiance. Później opowiadała, że gdyby wiedziała, iż trzymają mnie w Lefortowskim, nie wytrzymałaby tego.

Trudno mi porównywać to więzienie z innymi, na Łubiance byłem tylko jedną dobę (o tym ważnym epizodzie zaraz opowiem) i jedyna różnica, jaką zauważyłem, polegała na tym, że tam jedzenie przynosiła do celi kelnerka w białym fartuchu i w czepku na głowie i że w celi nie było urządzeń sanitarnych, które w lefortowskiej celi bardzo sobie ceniłem. Ale L. Sztern, która na Łubiance spędziła około trzech lat, a do więzienia

Lefortowskiego przywieziono ją na dwadzieścia dni w celu zastraszenia, wspominając ten okres, nazwała Lefortowskie przed-sionkiem piekła. Wszystko poznaje się porównując! Ale ja nie miałem z czym porównywać i byłem zadowolony, że przez cały czas uwięzienia przebywałem w pojedynce, a nie we wspólnej celi. Wo-lałem być sam niż wśród obcych, nie znanych mi towarzyszy nie-doli, z których każdy mógł się okazać prowokatorem. Lepsze jest fizyczne odosobnienie niż skrępowana samotność w grupie ludzi. W ten sposób, choć to wcale ode mnie nie zależało, jeden z naj-starszych aspektów ciężkiego więzienia — „pojedynka” — wbrew zamiarom twórców reżymu przypadł mi do gustu. Trudno powie-dzieć, ile pozostałoby z tego zadowolenia, gdyby uwięzienie po-trwało dłużej.

I tak zaczęły się codzienne „nocne czuwania” z przerwą w dni świąteczne, kiedy mój kurator, jak i cały pracujący Zwią-zek Radziecki, miał prawo do odpoczynku. Czuwanie rozpoczęło się, jak już mówiłem, od określenia wzajemnych stosunków z ofi-cerem śledczym, informacji o miejscu mojego pobytu i od jeszcze jednej ważnej wiadomości. Optymistycznym tonem, który widocz-nie miał na celu dodanie mi otuchy, kurator, zanim przeszedł do py-tań, uprzedził, że nie grozi mi rozstrzelanie. Informacja szczególna jak na początek śledztwa. Zwykle w procedurze sądowej określenie kary wynika z toku śledztwa i zawiera się w wyroku. Radziecka Temida epoki stalinowskiej była postawiona na głowie — wszystko było oczywiste od samego początku, nawet wyrok. Zresztą możliwe, że tą pomyślną prognozą mój kurator chciał wydobyć ze mnie wyczerpujące zeznania bez gróźb rozstrzelania, nawet jeśli te zeznania będą fantastycznym samooskarżeniem się o straszne przestępstwa. Ponadto należało uwolnić mnie od obaw jeszcze z tego powodu, że artykuły kodeksu karnego, na których podsta-wie zostałem aresztowany (58,8; 58,10; 58,11), przewidywały karę śmierci. Dopuszczałem się przestępstw nie w pojedynkę, ale w zor-ganizowanej grupie (art. 58,11) i w konsekwencji mogłem bez obawy ujawnić swój rzekomy udział w organizacji przestępczej, wy-dawać i oskarżać innych jej członków. Jednak później kurator postanowił pozbawić mnie świadomości, że nie zostanę rozstrze-lany. Nawiasem mówiąc, takiej świadomości nigdy nie miałem, mimo jego początkowych zapewnień. Wiedziałem, gdzie się znajdu-ję, z kim mam do czynienia, a wymowę artykułów kodeksu karnego,

za których naruszenie mnie aresztowano, i wynikające z tego kary wyjaśnił mi kurator. Nie widziałem powodu, dla którego miałoby zrobić dla mnie wyjątek. Artykuł 58,10 — propaganda antyrządowska, artykuł 58,8 — działalność terrorystyczna, artykuł 58,11 — wzmocnione znaczenie poprzednich artykułów przez zespołowy charakter wykroczeń dokonanych w przestępczej organizacji. Artykuł 58 — najgroźniejszy w radzieckim kodeksie karnym, był powszechnie wykorzystywany w latach terroru stalinowskiego. Wiedziałem, czym on grozi, zanim jeszcze oficer mi to uświadomił. W toku śledztwa upewnił się, że nie osiągnął sukcesu i podczas przesłuchań nie uzyskał ode mnie zeznań dotyczących udziału w aktach terrorystycznych grupy „lekarzy morderców”; a także potwierdzenia samych aktów. Wtedy użył innej argumentacji: — Macie opinię człowieka mądrego, a zachowujecie się jak głupiec. — Podobne określenie usłyszałem niedawno od mojej ośmioletniej wnuczki, oburzonej tym, że cieśli pijakowi zapłaciłem z góry za pracę: pieniądze oczywiście natychmiast przepił i zniknął. Wnuczka skomentowała ten fakt niemal dokładnie słowami śledczego: — Dziadek wygląda na mądrego, a zachowuje się jak głupiec. — Nie obraziłem się przyznawszy słuszność krytyki i przypomniałem sobie śledczego. Oficer na poparcie swych słów powołał się na M. Wowsiego, którego postawił mi za wzór: — Weźmy takiego Wowsiego, postępuje mądrze i może wyjdzie z tego cało, a wy zachowujecie się jak dureń. — Przypomniałem mu jego zapewnienia, że nie grozi mi rozstrzelanie, na co on odpowiedział: — Może naród tego zażąda! — Naród oczywiście jest spragniony egzekucji. O tej optymistycznej perspektywie usłyszałem od mojego oficera i jego kolegów, którzy w mojej obecności głośno omawiali rytuał egzekucji, co zresztą zgadzało się z moimi wyobrażeniami na ten temat. Nie osiągnąwszy potrzebnych zeznań obietnicą uniknięcia śmierci, widocznie starał się wydobyć je ode mnie strasząc rozstrzelaniem. Muszę się jednakże przyznać, że z powodu pewnych cech mojego charakteru nie brałem poważnie tej groźby. Była to dla mnie abstrakcja, która urealniałaby się tuż przed wcieleniem jej w życie. Nawiasem mówiąc, takie nastawienie psychiczne nie jest właściwe tylko mnie — to przejaw jednej z form siły żywotnej.

Przejdę teraz do „nocnych czuwań”. Nadzwyczaj trudno przekazać całą ich fantasmagoryczną treść w formie logicznego opowiadania. Przez wiele nocy wałkowany był ten sam temat z licznymi

dygresjami w postaci nieoczekiwanych pytań kuratora — nieoczekiwanych dla mnie, ale wyraźnie wcześniej przez niego przygotowanych. Z pewnością do techniki przesłuchań należały takie niespodzianki, obliczone na roztargnienie przesłuchiwanego. W tym celu wciąż wracano do raz poruszanych spraw, w nadziei, że może akurat powstanie w obronie jakaś rysa, dzięki której śledztwo przybierze pożądany obrót i więzień przyzna się do tego, czego nie było. Te śledcze chwytły były niejednokrotnie opisywane w literaturze pięknej, z różnym stopniem talentu przesłuchującego, różnym intelektem przesłuchiwanego i różnym talentem pisarza. W mojej książce trudno mi zestawić talent śledczego i intelekt przesłuchiwanego. Bez fałszywej skromności muszę jednak stwierdzić, że ten ostatni został wysoko oceniony przez „organa” zarówno w ich charakterystyce wywiadowczej, jak i w ocenie jednego z wyższych funkcjonariuszy MGB (nie znam jego nazwiska, ale sądząc z wielu oznak był w stopniu generała), który był obecny na jednym z moich przesłuchań. Charakterystyka wywiadowcza, z którą zapoznał mnie oficer śledczy, głosiła, że jestem wybitnym uczonym, znanym nie tylko w Związku Radzieckim, ale i poza jego granicami, mądrym, sprytnym, wymagającym wyjątkowej czujności podczas przesłuchań. Takie wrażenie wywarłem również na generale, o czym poinformował mnie śledczy. Co się tyczy charakterystyki wywiadowczej, to odpowiedziałem oficerowi, że nastąpiła fatalna pomyłka: przeceniono moje znaczenie zarówno w świecie przestępczym, jak i naukowym.

Wszystkie pytania, które były przedmiotem dyskusji podczas nocnych czuwań, cały bezład można w pewien sposób usystematyzować. Dotyczyły one dwóch podstawowych tematów: 1) żydowski nacjonalizm burżuazyjny, 2) udział w aktach terrorystycznych organizacji „lekarzy morderców”. Obydwa te wątki były powiązane ze sobą i sobie podporządkowane w przestępczej działalności autora i innych członków szajki. Podobnie jak na pierwszym spotkaniu, kurator zaczynał od propozycji, bym sam opowiedział o moich przewinieniach. Samodzielnie nie byłem w stanie ich skonkretyzować, ponieważ w żaden sposób nie mogłem pojąć, co to takiego żydowski nacjonalizm burżuazyjny. Oficer śledczy pomógł mi, czytając zeznania jednego z głównych oskarżycieli dotyczące mnie. Charakteryzowano mnie jako obrońcę Żydów — pracowników Instytutu Morfologii Akademii Nauk Medycznych

poddanych prześladowaniom. To zeznanie było zgodne z rzeczywistością, starałem się bowiem wszelkimi sposobami pomóc pracownikom instytutu, którzy byli represjonowani z powodu swej narodowości. Od tego momentu rozumiałem, o co chodzi w śledztwie, co to takiego żydowski nacjonalizm burżuazyjny i dlaczego jestem żydowskim nacjonalistą burżuazyjnym, wrogiem narodu radzieckiego. Okazało się, że zupełnie jawne szykanowanie Żydów przez naczelnika wydziału kadr Akademii Nauk Medycznych, profesora Ziłowa to nie przestępstwo, choć odpowiedni artykuł (antysemityzm) znajduje się w naszym kodeksie karnym i w latach dwudziestych zdarzały się wyroki z tego artykułu. Natomiast występowanie w obronie represjonowanych z powodu przynależności narodowej, a nawet współczucie im — to właśnie zbrodnia, określana mianem nacjonalizmu burżuazyjnego. Nie zamierzałem zmienić swojego zdania na ten temat i nie uważałem się za winnego. Nawiasem mówiąc linia mojego postępowania podczas śledztwa była zupełnie wyraźna, choć przesłuchujący kiedyś powiedział, że nie może jej zrozumieć. A linia ta była prosta: przyznawać się do moich poglądów i postępowania, w których nie było nic karalnego (oczywiście z mojego punktu widzenia) i kategorycznie odrzucać to, czego w rzeczywistości nie było. Takiego postępowania oficer śledczy w żaden sposób nie mógł zrozumieć: dlaczego przyznaję się do niektórych poglądów kwalifikujących się do paragrafów artykułu 58, a inne, również z tego artykułu, kategorycznie odrzucam. Widocznie nie był w stanie pojąć, że nie kłamię w zeznaniach, choć nie uważałem za obowiązek ujawniać wszystkich swoich myśli na temat rzeczywistości otaczającej mnie przed aresztowaniem. A myśli te, szczególnie w ostatnim okresie, były bardzo mroczne.

Wstąpiwszy na drogę „żydowskiego nacjonalizmu burżuazyjnego” z dogłębną znajomością problemu przytaczałem liczne fakty szykan, jakim podlegali obywatele żydowskiego pochodzenia w różnych sferach radzieckiego życia, które były mi znane.

Kolejne przesłuchanie oficer śledczy rozpoczął od stwierdzenia będącego nawiązaniem do „rozmowy” przeprowadzonej noc wcześniej: — Powiedzieliście, że są szkoły wyższe, do których nie przyjmowano Żydów. To całkiem możliwe, ale nie z tego powodu, że byli Żydami, lecz dlatego, że nie spełniali wymagań społecznych dla kandydatów na te właśnie wyższe uczelnie. — Na pewno

otrzymał takie instrukcje w czasie zespołowego omówienia w wydziale śledczym materiałów z poprzedniego przesłuchania wszystkich oskarżonych w tej sprawie, których zeznania często były sprzeczne. Wysłuchałem oficera i powiedziałem, że to bardzo interesujące i że na rozprawie powiem, iż według poglądów przesłuchującego, w czasie przyjmowania na wyższe uczelnie dobór społeczny zamienił się w narodowościowy. Nie wiadomo dlaczego dotknęło to śledczego, który wzburzony krzyknął: — Wy się ze mnie wyśmiewacie! — Mimo woli uśmiechnąłem się na myśl o przecenianiu moich możliwości i zamierzeń w takiej sytuacji. Przytoczyłem także zalecenia, które mnie, jako zastępcy dyrektora Instytutu Morfologii, przekazywała kierowniczka wydziału kadr instytutu. Owe zalecenia, które musiała wypełniać, przewidywały utrudnianie Żydom uzyskania pracy.

Na poparcie faktu niewątpliwej dyskryminacji Żydów jako polityki państwa, a nie jako miejscowego partyzanckiego antysemityzmu (którego nigdy nie zaniedbywano) przytoczyłem epizod z wydaniem informatora-podręcznika histopatologicznej diagnostyki nowotworów. Taki podręcznik był niezbędny ze względu na wyjątkową przydatność w prawidłowej charakterystyce nowotworów, szczególnie na podstawie materiałów biopsji. Pisałem już o tym i jeszcze raz chciałbym podkreślić ogromną odpowiedzialność anatomopatologa przed chorymi przy histopatologicznym orzeczeniu o wystąpieniu nowotworu. Koniecznie trzeba było zapewnić anatomopatologom podręcznik, który pomógłby im w histopatologicznej diagnostyce nowotworów. W naszej literaturze medycznej nie było takiej książki. Podjąłem inicjatywę wydania w przekładzie rosyjskim amerykańskiego podręcznika, którego autorem był wybitny znawca morfologii nowotworów Foot. Książka ukazała się u nas w 1950 roku z moim wstępem i pod moją redakcją. W księgarniach była po prostu rozchwytywana i szybko stała się białym krukiem, prosektorzy chowali ją w sejfach. Ale oprócz wyrazów wdzięczności ze strony wielu anatomopatologów zdarzały się też szemrania (przeważnie skrywane) z powodu mojego „kosmopolitycznego” postępu. Krążyły nawet pogłoski, jakoby z powodu wydania Foota miał ogromne nieprzyjemności. Wydanie jego pozycji w języku rosyjskim wykazało konieczność wydania własnego analogicznego podręcznika napisanego przez autorów radzieckich. Opracowanie takiej książki polecono Leningradzkiemu

Instytutowi Onkologii, a osobiście kierownikowi Wydziału Anatomopatologii tegoż instytutu profesorowi M. Głazunowowi, wybitnemu specjaliście w dziedzinie morfologii nowotworów.

Dziedzina morfologii nowotworów jest wyjątkowo obszerna. Jeden autor, nawet gdyby był bardzo doświadczony, praktycznie nie jest w stanie opanować wielorakości struktury nowotworów, która zależy od budowy organu, w którym nowotwór się rozwija, i od niezliczonych wariantów struktury samego nowotworu w tym organie, od stopnia zaawansowania, czy jest złośliwy, czy nie itd. Dlatego też anatomopatolodzy specjalizowali się w jakiejś określonej dziedzinie onkologii, choć praktycznie musieli umieć diagnozować według różnorodnych materiałów biopsji. Sam Głazunow, będąc wszechstronnym specjalistą w dziedzinie morfologii nowotworów, słynął przede wszystkim jako znawca nowotworów żeńskich narządów płciowych. Ze względu na te okoliczności podręcznik mógł powstać jedynie w zespole autorów, którzy mieli fachowe doświadczenie w dziedzinie określonej grupy nowotworów. M. Głazunow zwrócił się do wielu specjalistów z prośbą o wzięcie udziału w pracy nad podręcznikiem, między innymi do mnie i do członka Akademii Nauk Medycznych L. Szabady, znanego onkologa. Obydwaj przystaliśmy na propozycję Głazunowa, wskazaliśmy rozdziały podręcznika, których napisania i zilustrowania się podejmiemy. Głazunow zgodził się z wdzięcznością i określił objętość tych rozdziałów. Działo się to w 1951 roku. Później przez cały rok 1952 Głazunow milczał, co wydawało mi się bardzo podejrzane.

Dokładnie pamiętam dzień — 6 stycznia 1953 roku — kiedy nieoczekiwanie spotkałem Głazunowa na zebraniu Towarzystwa Anatomopatologów. Przywitaliśmy się, wymieniliśmy uprzejmości, ale o podręczniku nie wspomniał ani razu, jak gdyby sprawa i mój udział w niej nigdy nie istniały. Siedząc obok niego na zebraniu zapytałem, w jakim celu przyjechał do Leningradu. Odpowiedział, że ma zamiar podpisać umowę z Wydawnictwem Medycznym o wydanie podręcznika, ale w dalszym ciągu nie wspominał o moim udziale w tej pracy. Zrozumiałem, o co chodzi, ale chciałem od niego otrzymać potwierdzenie moich podejrzeń i zadałem mu otwarcie prowokacyjne pytanie: — Czy mam pisać? — W odpowiedzi Głazunow zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką, którego sens nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Zapyta-

łem: — A Szabada? — Odpowiedział lakonicznie: — Żadnych wyjątków. — Po zebraniu opowiedział mi o szczegółach. Kiedy zjawił się u dyrektora wydawnictwa, profesora psychiatrii Banszczikowa (rozmowa odbywała się w obecności redaktora wydawnictwa, profesora A. Strukowa), ten wykreślił ze spisu autorów książki mnie i Szabadę (w spisie było tylko dwóch Żydów). Sprzeciw Głazunowa, że taka decyzja zagraża wydaniu podręcznika w całości, Banszczikow puścił mimo uszu. Głazunow niezwłocznie poinformował o tym prezesa Akademii Nauk Medycznych N. Aniczkowa, ale ten, jak wyraził się Głazunow: — Nie miał więcej szczęścia ode mnie. — I tak podręcznika nie wydano, a anatomopatolodzy prawie przez 25 lat korzystali z zaczytanego „Foota”. Dopiero po 25 latach opracowano i wydano odpowiedni podręcznik histopatologicznej diagnostyki nowotworów.

Opowiedziałem oficerowi śledczemu z wyczerpującą i nie dopuszczającą żadnych komentarzy jasnością o tym epizodzie ujawniającym dyskryminację uczonych Żydów (czasami okrywano ją wstydliwie dziurawym prześcieradłem). Moja relacja wręcz zirytowała śledczego. Obruszył się nie na wydawnictwo, które dopuściło się takiej bezwstydnej dyskryminacji, ale na Głazunowa, z groźbą pod jego adresem: jak on śmiał o tym opowiedzieć! Nie bałem się narazić Głazunowa; żeby uwolnić się od winy wobec mnie i Szabady, był on zmuszony do wyjaśnienia mi przyczyn, które spowodowały wykluczenie nas z zespołu redakcyjnego. W dodatku nikt go nie zobowiązał (był bezpartyjny) do utrzymania w tajemnicy całej tej historii z wykluczeniem z literatury dwóch uczonych — członków KPZR, tym bardziej, że prawdziwe powody były oczywiste i bez jego wyjaśnień: N. Aniczkow zwrócił się do KC z pytaniem, czy ostracyzm literacki wobec tych dwóch autorów dotyczy wyłącznie ich udziału w opracowaniu podręcznika diagnostyki nowotworów, i otrzymał kategoryczną odpowiedź, że to stanowisko odnosi się do całokształtu ich twórczości. Naturalnie śledczy tylko straszył szykanami wobec Głazunowa, gdyż dobrze wiedział, że to nic nie da.

Chciałbym przy okazji opowiedzieć jeszcze o jednym epizodzie, który choć nie znalazł się w materiałach śledztwa, znakomicie ilustruje sytuację w świecie medycznym w okresie przygotowywania do „sprawy lekarzy”. Jeszcze w czasie wojny wydałem podręcznik *Kurs patologii*, który stał się bardzo popularny i doczekał

kilku wydań nie tylko w Moskwie i w republikach (Ukraina, Gruzja, Estonia), ale też za granicą (Bułgaria, Chiny). Kolejne wydanie ukazało się w Moskwie w 1950 roku. W maju 1953 roku, wkrótce po moim zwolnieniu, otrzymałem z Państwowego Wydawnictwa Medycznego (do mojej wiadomości) recenzję tego wydania. Autorami byli kandydaci nauk medycznych: A. Juchłow i A. Einhorn. O pierwszym z autorów nigdy nie słyszałem, drugiego natomiast znałem. Kiedy zajmowałem stanowisko zastępcy dyrektora Instytutu Morfologii, on był aspirantem instytutu i pracował w laboratorium profesora A. Strukowa. W instytucie słynął jako bałaganiarz, plotkarz, człowiek o przeciętnych zdolnościach. Wkrótce po zakończeniu aspirantury powołano go do wojska w charakterze nauczyciela.

Recenzja, jaką napisali ci dwaj „koryfeusze” nosiła datę „grudzień 1952 roku”; widocznie była ona wręcz niezbędna dwa lata po wydaniu podręcznika. Einhorn później potwierdził, że została u niego pośpiesznie zamówiona. Autorzy wykazali się niezwykłą pilnością, o czym świadczy nie tylko treść recenzji, ale i jej objętość (11 stron maszynopisu). Ogólny wydźwięk artykułu, szczególnie w tych czasach, nadawał mu charakter donosu. Jeśli chodzi o analizę konkretnych zagadnień patologii, autorzy nie zadali sobie trudu choćby minimalnego wyjaśnienia odpowiednich ustępów książki. To zwykła zasada „krytyki handlowej” według Bielińskiego — narzucać autorowi to, co chciałoby się u niego widzieć, następnie zaś poddawać krytyce. Ale i tutaj przejawiali oni lekceważenie nie tylko w analizie materiałów zawartych w książce, ale i w ocenie autora. Jeśli chodzi o znajomość teorii patologii, byli oni na poziomie prymitywnych awanturników owego czasu. Ich pseudonaukowe bzdury jednak niewątpliwie mało interesowały zleceniodawców artykułu; posłużyły jako przykrywka do ataku na autora książki, zajadłego „wirschowianca” *, propagującego szkodliwą metodologię. Do dziś przechowuję tę recenzję jako dokument epoki, książkę zaś wydano po 1953 roku jeszcze raz.

Latem 1954 roku w Leningradzie odbywała się Wszechzwiązko-

* Wirchowianiec — zwolennik nauki Rudolfa Wirchowa (1821—1902), niemieckiego anatomopatologa i antropologa, twórcy tzw. patologii komórkowej (przyp. tłum.).

wa Konferencja Anatomopatologów. W przerwie między posiedzeniami w kuluarach podeszło do mnie dwóch mężczyzn w wojskowych mundurach (jeden w stopniu pułkownika, drugi — majora). W jednym z nich rozpoznałem Einhorna, który przywitał się ze mną z radością i przedstawił swego towarzysza — kierownika katedry. Odpowiedziałem, że nazwisko tamtego jest mi znane, i zobaczyłem na jego twarzy radosne zdziwienie; myślał pewnie, że zobaczyłem je w jakimś źródle naukowym. Szybko jednak rozczerowałem go, gdy powiedziałem, że jego nazwisko kojarzy mi się jedynie z napastliwą recenzją mojej książki. Obydwaj byli zakłopotani i nieco zbici z tropu. Podziękowałem im za radę, bym uwolnił się od „wirchowania”, i w zamian również poradziłem, żeby przynajmniej trochę wzięli od wirchowianców, jeśli choć w niewielkim stopniu chcą opanować podstawy anatomopatologii. Na tym „przyjacielskie spotkanie” się zakończyło.

Nieoczekiwanie prawie po pięciu latach dowiedziałem się o tajemnych siłach, które spowodowały napisanie tej recenzji. Miało to miejsce w następujących okolicznościach: na zaproszenie akademika A. Bakulewa objąłem stanowisko kierownika laboratorium patomorfologii w założonym przez niego Instytucie Kardiochirurgii (dziś instytut ten nosi jego imię). Musiałem przyjąć pracowników do laboratorium. Niespodziewanie zjawia się u mnie Einhorn z informacją, że skierował go do mnie A. Strukow. Einhorn oświadczył, że wkrótce zostanie zdemobilizowany, wróci do Moskwy i chciałby otrzymać stanowisko starszego asystenta w moim laboratorium. Nie zdziwił mnie jego tupet, on za to szczerze był zaskoczony odmową. Oświadczyłem, że nie tylko nie poprę jego kandydatury, jeśli zgłosi ją do konkursu, ale otwarcie się sprzeciwię. Einhorn był mocno zaskoczony (widać poważnie spodziewał się, że przyjmę go z otwartymi ramionami). Swoją decyzję motywowałem po pierwsze jego niskimi kwalifikacjami: nędzne resztki wiedzy, zdobyte podczas aspirantury, zaprzepaścił podczas wieloletniego pobytu w wojsku, z czym zresztą sam się zgodził. Po drugie przyznałem, że nie zapomniałem jego nikczemnej recenzji; jako człowiek dorosły musiał sobie zdawać sprawę z tego, jakie konsekwencje pociągała ona wówczas za sobą: autor recenzowanej książki był skazany na całkowitą zagładę, jeśli nie fizyczną, to naukową. Miałem wszelkie podstawy, by tak sądzić, nie tylko z powodu rozprawy z uczonymi na przestrzeni ostatnich lat, spowo-

dowanej wojującą głupotą, ale także w związku z osobistymi doświadczeniami związanymi z pobytem w więzieniu Lefortowskim. Zdziwiony Einhorn opowiedział mi historię recenzji, szczerze przekonany, że nie ma w tym jego winy, że był on tylko wykonawcą polecenia redaktora naczelnego Państwowego Wydawnictwa Lekarskiego, Strukowa. A oto, co opowiedział:

Jesienią 1952 roku Strukow wezwał go do siebie i polecił mu oraz kierownikowi jego katedry napisanie krytycznej recenzji mojego podręcznika, a także udzielił instruktażu co do jej treści. Kiedy recenzja została napisana, znowu wezwano ich we dwójkę do Moskwy do dyrektora wydawnictwa, profesora Banzczikowa. Ten ostatni po zapoznaniu się z tekstem stwierdził, że trzeba go niezwłocznie opublikować w *Archiwum patologii*, oddano więc go do składu poza kolejnością. Były już gotowe szpalty, kiedy mnie aresztowano. Zgodnie z zasadami tego okresu nazwisko aresztowanego w jakimkolwiek kontekście, nawet w negatywnym, podlega zapomnieniu, jego prace usuwa się z bibliotek, a nawet przechowywanie ich w laboratoriach czy w domach uważane było za przestępstwo porównywalne z przechowywaniem wywrotowej literatury; kategorycznie zakazywano powoływania się na nie w pracach naukowych. Pamięć o aresztowanych powinna zagać. Po moim aresztowaniu recenzję wycofano z druku, skład zniszczono i tylko więzienie uchroniło mnie od tego literackiego łajdactwa. Świetna obrona! Nie bacząc na owo wyjaśnienie, nie rozgrzeszyłem Einhorna, który w końcu nie zrozumiał, o co mam do niego żal. Przecież on tylko wypełniał polecenie, nie był jego inicjatorem!

Problem moich poglądów naukowych niejednokrotnie pojawiał się podczas przesłuchań. Oficer śledczy dobrze je znał z licznych donosów. Moje obszerne, dwutomowe dossier zawierało nie tylko materiały charakteryzujące mnie z tej strony, ale i treść poszczególnych wystąpień. Na przykład kiedyś śledczy z demaskatorskim oburzeniem powiedział: — Czy rozumiecie, jak nisko upadliście, nazywając największego współczesnego uczonego (Boszjana) zdechłym koniem? — Nie pamiętam treści wszystkich swoich wystąpień, ale śledczy przypomniiał mi o tym właśnie. Rzeczywiście miało ono miejsce w auli budynku instytutu anatomii na Mchowej, gdzie w obecności wielu słuchaczy dyskutowano o palących problemach medycyny. Mówiąc o „odkryciu” Boszjana trzymałem w rękach jego skąpą monografię. Znany dia-

łacz ochrony zdrowia, także trzymając w dłoniach tę książkę, oznajmił wcześniej przed licznym audytorium, że „stara mikrobiologia skończyła się, oto macie nową mikrobiologię” (niczym nową medyczną ewangelię). W owej książeczce nieuk i szarlatan Boszjan rozbił w proch i pył naukę Pasteura, powołując się na swoje bzdurne doświadczenia. Później zdemaskowano go jako dyletanta i szarlatana, pozbawiono nadanych mu najwyższych stopni naukowych i zapomniano o nim. I tego oto geniusza porównałem w swoim wystąpieniu do zdechłego konia w następującym kontekście: — Nie wypowiadam się na temat wirusologicznej części książki, nie jest bowiem to moja specjalność. Ale autor książki przytacza tu protokoły sekcji padłych koni i jako anatomopatolog mam obowiązek zaświadczyć, że te protokoły pisał nie anatomopatolog, lecz sam koń, zanim zdechł. To brednie zdychającego konia. — Oto do jakiego upadku, w patetycznym ujęciu oficera śledczego, doszedłem!

Znalazłszy u mnie pośród skonfiskowanych dokumentów fotografię O. Lepieszynskiej, przesłuchujący zapytał: — Skąd u was, przy całym waszym stosunku do odkryć Lepieszynskiej, jej fotografia? — To zdjęcie podarowała mi sama Lepieszynska, napisawszy na odwrocie dedykację. W odpowiedzi na pytanie śledczego poradziłem mu, by przeczytał dedykację (nawiasem mówiąc to zdjęcie zrobiłem Lepieszynskiej u mnie na daczce), na dowód, że fotografii nie kupiłem.

Historia moich stosunków z Lepieszynską nieoczekiwanie znalazła kontynuację 6000 kilometrów od Moskwy w mieście Frunze (stolica Kirgiskiej SRR) i widocznie oficer śledczy wiedział o niej, uzupełniając ją jednym z moskiewskich materiałów. O wariacie tej historii we Frunze opowiedział mi mój bliski znajomy K., wykształcony historyk i wybitny znawca historii USA. W 1948 roku opublikował pracę o powojennej historii Stanów Zjednoczonych. Książka z jakiegoś powodu nie spodobała się „górze”; w partyjnej gazecie pojawiła się druzgocąca recenzja, w wyniku czego K. wyjechał do Frunze, gdzie wykładał ekonomię polityczną w instytucie medycznym (stosunkowo łagodna represja). Chcąc nie chcąc K. zagłębił się w świat medyczny ze wszystkimi jego ciekawostkami owego czasu. Jak się to często zdarza, na prowincji uważniej niż w Moskwie śledzono wszystkie „nowe wiatry” w medycynie, wiejące ze strony organów władzy. Jednym z takich

aktualnych prądów (mimo nieustającego „Stalin — wielki koryfeusz nauk medycznych”) był najwyższy podziw dla „genialnych odkryć” Lepieszynskiej. Profesorowie mieli obowiązek na każdym wykładzie mówić o tych odkryciach, a dyrekcja oraz organizacja partyjna instytutu regularnie posyłali specjalnych obserwatorów w celu skontrolowania, czy obowiązki są należycie wypełniane. Owe „obserwacje” były wzajemne i mój przyjaciel K. także miał obowiązek brać w nich udział. Każdy z profesorów był zmuszony rozstrawiać Lepieszynską na miarę swego naukowego sumienia. K. przyjaźnił się z wieloma profesorami w instytucie, między innymi z profesorem histologii — B. Poslednim, który jak wszyscy, każdy swój wykład rozpoczynał od nabożnego zachwyty nad „genialnymi odkryciami” Lepieszynskiej, a w dodatku jego specjalność zmuszała go do tego bardziej niż innych. W prywatnych rozmowach z K. Posledni wypowiadał swoje prawdziwe zdanie o tych odkryciach jako o skończonej głupocie, produkcie absolutnego dyletantstwa. K. zarzucał Posledniemu naukową obłudę i dwulicowość, a w charakterze przykładu odmiennych interesów prawdziwej nauki przytaczał moje publiczne wystąpienia na ten temat. Przypadkowo był też świadkiem mojej kłótni z Lepieszynską, która odbyła się u mnie na dachu, kiedy otwarcie i bez ogródek powiedziałem jej, co myślę o tych „odkryciach”. Awantura skończyła się zerwaniem stosunków. Trzeba przyznać, że ze strony Lepieszynskiej za to „inne myślenie” nie spotkały mnie żadne nieprzyjemności. Kiedyś rozmawialiśmy na ten temat z K. i nie przebierając w słowach tak się wyraziłem o całej atmosferze wokół nauki Lepieszynskiej: — Mało tego, że z tego gówna zrobili cukierek, to jeszcze wymagają, by wszyscy się nim zajadali. — K. powtórzył to dokładnie profesorowi B., powołując się na mnie jako na autora tej wypowiedzi.

Prawie jednocześnie ze mną K. został aresztowany we Frunze. Przed jego aresztowaniem do miejscowej delegatury MGB kolejno wzywano profesorów Instytutu Medycznego — członków KPZR, z którymi K. utrzymywał bliskie kontakty. Informowano ich, że w niedługim czasie zostanie on aresztowany, ponieważ zebrano dość dowodów jego działalności szpiegowskiej na rzecz USA. Przy tym jednak „organa” mają obowiązek zdemaskować całą jego działalność antyradziecką i proszą o udostępnienie odpowiednich materiałów z bezpośrednich kontaktów z podejrzanym.

Niektórzy kategorycznie odmówili złożenia tego rodzaju zeznań obciążających K. Jeden z profesorów przypłacił to życiem; dostał zawału serca, gdy w związku z tą sprawą w organizacji partyjnej omawiano jego „wyzutą z wszelkich zasad” postawę. Jednakże profesor B. udzielił wielu informacji obciążających K. Między innymi zeznał, że K. słucha regularnie „Głosu Ameryki” i wyraża się negatywnie o „osiągnięciach” Lepieszynskiej. Przy tym profesor B. posłużył się moją oceną działalności Lepieszynskiej (podając nazwisko autora) jako uwłaczającą nie tylko dla tak znakomitej uczzonej, ale i dla najwyższych instytucji dekretujących wielkość tych osiągnięć.

K. był sądzony już po kwietniu 1953 roku; otrzymał ośmioletni wyrok. Ciekawy jest dalszy ciąg tej sprawy. Po roku K. przewieziono do Frunze w celu rewizji jego sprawy na miejscu. Kierownictwo miejscowej organizacji partyjnej w osobie sekretarza KC KPZR Kirgizji Razzakowa wywierało presję na aparat śledczy, który przeprowadzał rewizję sprawy. Chodziło o to, że to Razzakow spowodował uwięzienie K. i ewentualna rehabilitacja mogłaby skompromitować prowincjonalnego satrapę. Ze względu na te okoliczności z Moskwy odkomenderowano specjalnego oficera śledczego, którego zadaniem było sprawdzenie motywacji wyroku (wkrótce Razzakow został odsunięty od działalności politycznej i zapomniano o nim). Moskiewski oficer śledczy wezwał świadków, którzy uprzednio złożyli zeznania obciążające K. Prawie wszyscy odwołali zeznania jako wymuszone. Profesor B. postąpił podobnie, z tym, że obstawał przy „Głosie Ameryki” i „cukierku z gówna”. Moskiewski śledczy widać już wiedział, z jakiego materiału zrobiony jest naukowy cukierek Lepieszynskiej, ale we Frunze nie byli jeszcze o tym poinformowani. Musiał także wiedzieć, iż profesora Rapoportu uwolniono i w pełni rehabilitowano, mimo jego autorstwa powiedzenia o „cukierku”. W każdym razie oficer w obecności K. powiedział profesorowi B.: — Profesor Rapoport postępuje jak uczony, który broni swoich poglądów, wy zaś oficjalnie mówicie jedno, a za plecami zupełnie co innego. — I tak profesora B. napiętnowano, a rehabilitowano „cukierek”. Sprawa K. została ponownie rozpatrzona, rehabilitowano go, przywrócono członkostwo partii z zaliczeniem stażu; żyje i podarował radzieckiemu społeczeństwu i nauce trzy wielce interesujące książki.

Cały ten epizod może wydawać się zabawny, ale w istocie

to mroczny rys epoki, ujawniający, czym faktycznie zajmowały się organa, które miały za zadanie, sądząc z nazwy, ochronę bezpieczeństwa państwa; na co trwoniono ludzką energię, środki łączności, zasoby materialne. Powinienem usprawiedliwić się przed przyszłymi badaczami epoki za prostą formułę, dla której wyrażenia złożyłem w ofierze kulturę języka rosyjskiego, ale w jakimś stopniu odzwierciedla ona atmosferę epoki. Zresztą nie proponuję, by taka formuła mogła kiedykolwiek być materiałem do spisania kroniki czasów Stalina...

Moja naukowa biografia kryminalna okazała się wyjątkowo bogata. Oficer śledczy znał nie tylko mój stosunek do odkryć Lepieszynskiej, Boszjana, ale także moje wystąpienia w dysputach o „wirchowaniaństwie”, w rozmowach z głosicielami „nowego kierunku w patologii”, w walce przeciwko „neurologicznemu despotyzmowi” w medycynie, w obronie badań L. Sztern. Aparat śledczy uznał mnie za głównego wroga nauki Pawłowa. Widocznie miałem taką agenturalną reputację, choć w rzeczywistości byłem tylko przeciwny trywializowaniu tej nauki przez jej epigonów. Wyliczywszy wszystkie naukowo-metodologiczne grzechy oficer śledczy „uspokoił” mnie, że nie są one przestępstwami objętymi kodeksem karnym. Widocznie uważał, że mam na swoim koncie wystarczająco dużo innych przestępstw, żeby skazać mnie bez wywlekania i tych jeszcze sprawek. Jeśli wszakże okazałoby się, że tamtego za mało, to owe grzechy łatwo mogły się przemienić w poważne przestępstwa polityczne, jak to miało miejsce w sprawach genetyków, mikrobiologów, poetów, pisarzy i artystów. Moje grzechy naukowe w oskarżeniu były tylko tłem. Jak mnie poinformował kurator, miały one o tyle znaczenie dla śledztwa, że dopełniały charakterystyki mojego ogólnego antyradzieckiego wizerunku zagorzałego wroga postępowej nauki radzieckiej i obrońcy reakcyjnych poglądów Wirchowa i Sztern. Taki odźwięk znalazły w murach zamku lefortowskiego moje donkiszowskie nawoływania w starciach z ignorantami i kupczykami nauki.

Pora jednak wrócić do głównej treści śledztwa. Każdy z seansów w gabinecie przesłuchującego rozpoczynał się od takiego oto dialogu:

— No.

- Co, no? (z powtórkami).
- Proszę mówić.
- O czym mam mówić?
- Sami wiecie o czym.
- Nie mam nic do powiedzenia z tego, o czym chcielibyście coś usłyszeć.

Ta nużąca kataryna stanowiła uwerturę do każdego przesłuchania; na samą myśl o niej ścisnęło mnie w dołku, jak gdyby ktoś nawinął na palec koniec jelita i powoli je nakręcał (proszę mi wybaczyć zbyt naturalistyczne porównanie anatomiczne). Po kilku bezpłodnych „no” śledczy zaglądał do którejś z dwóch opasłych teczek z moim dossier i rozpoczynała się rozmowa na temat żydowskiego nacjonalizmu burżuazyjnego oraz mojego stosunku do niego w aspekcie przedstawionych wyżej karnych interpretacji owego pojęcia. Byłem pogrążony w tym bagnie nie tylko z powodu własnych doświadczeń z jawnymi, niczym nie skrępowanymi przejawami dyskryminacji narodowościowej, o której opowiadałem z dużą znajomością rzeczy, ale także w wyniku donosów, zeznań świadków, raportów wywiadu o moich reakcjach na to, co w swojej naiwności uważałem za antysemityzm. W materiale dowodowym śledztwa znalazły się niespodziewanie aluzje co do nacjonalistycznych grzeszków, których popełnienia z dziecięcą naiwnością nawet nie podejrzewałem.

Nie pamiętam już, ile nocnych seansów zmarnowano na głędzenie o żydowskim nacjonalizmie burżuazyjnym. Za każdym razem przesłuchania kończyły się standardowym protokołem literackim. W pierwszym protokole zwróciłem uwagę, że w części, która zawierała dane „paszportowe”, obok podstawowych informacji (imię, imię ojca, nazwisko i in.) napisano: „były członek KPZR”. Wyraziłem swój sprzeciw co do epitetu „były”, mówiąc, że z partii mnie nie wyrzucono, na co oficer śledczy odpowiedział, iż nie jestem już członkiem partii.

Było to jawne naruszenie statutu, zgodnie z którym żadna decyzja dotycząca członka partii nie może być podjęta bez jego udziału, a tym bardziej pod jego nieobecność. Okazało się więc, że nie byłem już członkiem partii znajdując się jeszcze na wolności, choćby i efemerycznej. Brakowało tylko, żebym w więzieniu toczył walkę o przestrzeganie podstawowych zasad partyjnych i złożył protest przeciwko ich naruszaniu! Organizacja partyjna

Instytutu Kontroli po moim aresztowaniu wykluczyła mnie *a posteriori* z szeregów KPZR.

Styl protokołu był przesycony sztampową ekspresją, której celem było emocjonalne wzmacnianie opisywanego przestępstwa. Tak na przykład moje zapewnienie o niesprawiedliwości, jakiej dopuszczono się w stosunku do obywateli narodowości żydowskiej przy przyjmowaniu do pracy czy redukcji etatów, po stylistycznym opracowaniu wyglądało następująco: „W dzikiej złości i zwierzęcej nienawiści do radzieckiego ustroju szkalo- wałem radziecką rzeczywistość, twierdząc, że osoby narodowości żydowskiej są dyskryminowane przy zatrudnianiu i zwalnianiu z pracy” (ręczę za ogólny styl, nie za protokołową dokładność przekazu samego faktu). Inaczej mówiąc, muzyczne udźwiękowanie głupiego drobnego szczegółu nadawało mu znaczenie strasznego przestępstwa. Drobiazg: „dzika złość, zwierzęca nienawiść, oszczerstwo”, ale jak pozwolić żyć na radzieckiej ziemi takiemu potworowi? Rozstrzelać go!

A oto przykład śledczej interpretacji pewnego faktu z mojej biografii. Po demobilizacji z Armii Radzieckiej wiosną 1945 roku nie wróciłem do II Moskiewskiego Instytutu Medycznego, gdzie byłem profesorem anatomopatologii i zastępcą dyrektora (obecnie jest to stanowisko prorektora) do spraw naukowych i dydaktycznych, ale przeszedłem do Instytutu Morfologii w Akademii Nauk Medycznych, co zaznaczono w rozkazie o demobilizacji. Jednocześnie wróciłem do pracy w oddziale anatomopatologii w I Szpitalu Miejskim (naczelnym lekarz A. Topczan), gdzie miało się również mieścić moje instytutowe laboratorium. Oficer śledczy w pierwszej wersji protokołu, której nie zgodziłem się podpisać, ujął te fakty następująco: „Po demobilizacji z Armii Radzieckiej postanowiłem nie wracać do II Moskiewskiego Instytutu Medycznego i dogadałem się z żydowskim nacionalistą burżuazyjnym Topczanem, że dalej będę działał w I Szpitalu Miejskim”. Zaprotestowałem przeciwko sformułowaniom „postanowiłem nie wracać”, „dogadałem się”, „żydowski nacionalista burżuazyjny Topczan”, „dalsza działalność”. Te wykrętasy słowne miały na celu dyskredytację Topczana oraz wywołanie wrażenia, że moje przejście do I Szpitala Miejskiego było efektem z góry ukartowanego spisku. Kurator z niewinną miną próbował zapewnić mnie, że protokół nie jest tendencyjny, ale zgodny z fak-

tami. — Przecież po to, by wrócić do I Szpitala Miejskiego, trzeba było się dogadać, że Topczan jest żydowskim nacionalistą burżuazyjnym, to wiemy, a wszelka praca to przecież działalność — i tak dalej.

W toku rozmów na zasadnicze tematy przesłuchujący wprowadzał coś w rodzaju przerywników. Na przykład na pytanie: — Imię i patronimik Kogana? — odpowiadam: — Borys Borysowicz. — I tu następuje wybuch śmiechu: — Cha, cha, cha, Borys Borysowicz! Boruch-Bierko-Chajmowicz itd. — Odpowiadam: — Podczas naszej wieloletniej przyjaźni znałem go jako Borysa Borysowicza, nigdy nie interesowało mnie, jakie imię ma w paszporcie. — Na to kurator replikuje: — Nawiasem mówiąc, we wszystkich dokumentach figurujecie jako Jakow Lwowicz i pod takim imieniem i patronimikiem zna was cała Moskwa. Wystarczy jednak je wypowiedzieć, a wszyscy wiedzą, o kogo chodzi. A z jednego z dokumentów (miał na myśli moją metrykę wystawioną w 1898 roku przez rabina symferopolskiego) wynika, że wasz ojciec nie miał na imię Lew. — Spokojnie tłumaczę: — Rzeczywiście pełne imię mojego ojca jest skomplikowane: Szamaj-Lejbowicz Joselewicz Szabsowicz, ale na co dzień używał nazwiska Lew Josifowicz. Jeśli ktoś ma ochotę nazywać mnie Jakow Szamaj-Lejbowicz Joselewicz Szabsowicz — proszę, niech łamie sobie język, nie mam nic przeciwko temu! — Odpowiedzi nie było. Nieoczekiwanie padło pytanie: — Dlaczego odmówiliście wynajęcia pokoju Bargowi? On też jest łajdakiem? — Cała historia miała miejsce jesienią 1952 roku, kiedy we trójkę (żona, ja i moja młodsza córka) zostaliśmy w czteropokojowym mieszkaniu, gdyż starsza córka została skierowana do pracy w Toropcu. Z powodu trudnej sytuacji finansowej postanowiliśmy wynająć jeden pokój. Przyjaciele polecili nam znajomego historyka Barga. Ten przeprowadził się do Moskwy ze Lwowa, który do 1939 roku był polskim miastem. Jednakże wieloletnia obawa przed kontaktami z cudzoziemcami, podyktowana podejrzliwością MGB co do owych kontaktów, zmusiła nas do rezygnacji z wynajęcia pokoju byłemu obywatelowi polskiemu. O odmowie poinformowaliśmy telefonicznie naszych przyjaciół. Ów fakt, tak jak i inne, został odpowiednio zinterpretowany przez organa MGB. Wyjaśniłem kuratorowi przyczynę, dla której odmówiłem Bargowi wynajęcia pokoju. Widząc w jego oczach niedowierzanie powiedziałem, że sami wpoili obywatelom radzieckim strach przed

kontaktami z cudzoziemcami. Jednakże kurator nie uwierzył mi i robił wrażenie, że domyśla się prawdziwej przyczyny odmowy.

Wśród wielu pytań „przerywników” zadano mi między innymi takie: — Dlaczego w spisie znajomych nie wymieniliście Etingera? — Nie od razu skojarzyłem, że chodzi o listę, którą sporządził pracownik MGB, kiedy werbował mnie do grona informatorów w 1950 roku, a więc ponad dwa lata temu. Odpowiedziałem, że widocznie zapomniałem go wymienić, w co kurator oczywiście nie uwierzył, twierdząc, że zrobiłem to celowo. Miał rację. J. Etinger był gadułą, lubił rozmawiać na tematy polityczne i to z pierwszym lepszym napotkanym człowiekiem. W dodatku ignorował śliskość niektórych tematów. Niewątpliwie organa bezpieczeństwa wiedziały o tym, gdyż nie krępował się i podobne monologi wygłaszał podczas obchodu w klinice w obecności wielu lekarzy. „Organa” bez wątpienia nie potrzebowały moich informacji na temat jego wypowiedzi, ale nie chciałem, żeby przychodzono z tym do mnie. Nawiasem mówiąc ten epizod ilustruje, że w tajnym dossier radzieckiego obywatela każdy błąd jest grzechem, a moje dossier powstawało przez wiele lat, o czym mogłem się przekonać w toku śledztwa. Kiedyś mój kurator zaczął czytać długą listę nazwisk lekarzy profesorów narodowości żydowskiej, pytając, kogo z wymienionych znam. Znałem prawie wszystkich, albowiem świat medyczny Moskwy jest mały, a w owym spisie figurowali głównie znani naukowcy. W jakim celu sporządzono ten wykaz, pozostało tajemnicą MGB, lecz interesujący jest sam fakt sporządzenia. Czy nie chodziło o likwidację tych osób?

Pobrałem także kilka lekcji z zakresu podstaw radzieckich nauk prawnych, których „koryfeuszem” był akademik A. Wyszynski. Zainteresowałem się, na przykład, po co mam się przyznawać do popełnionych przestępstw, skoro zdemaskowano je i wydano na mnie wyrok jeszcze przed aresztowaniem. Oficer śledczy ochoczo wyjaśnił, że świadomość oskarżonego (na którą składał się spis przestępstw wymyślonych przez niego samego) — to domniemanie (presumpcja) winy. Dowiedziałem się, że tę zasadę uważa się za najbardziej niesłuszną w prawie karnym wszystkich czasów i narodów. Chciałem również wiedzieć, co to takiego zgromadzenie antyradzieckie, w którym podobno brałem udział. Okazało się, że to jedno z określeń stowarzyszeń przestępczych, zgodnie z systematyką tegoż Wyszynskiego. Zgro-

madzenie to grupa ludzi (wystarczą dwie osoby), którzy nie mają żadnego planu działań antyradzieckich, ale prowadzą rozmowy o treści kontrrewolucyjnej. Organizacja — to wyższy szczebel antyradziecki; posiada program i plan działań kontrrewolucyjnych.

Sumując rezultaty wielodobowej pracy, która miała na celu udowodnienie mi żydowskiego nacjonalizmu burżuazyjnego, kurator wyraził swe głębokie niezadowolenie: — Co to za materiały! — krzyczał. — Chaima zwolniono z pracy, Abrahama nie przyjęto do pracy — tego mogłem się dowiedzieć w jakimkolwiek miejskim Komitecie. Potrzebuję innych zeznań. — Odpowiedziałem mu, że niestety dysponuję tylko takimi informacjami, jakich istotnie mógłby udzielić mu jakikolwiek komitet. Niemniej okazało się, że dowody były wystarczające, by skazać mnie ze śmiercionośnych artykułów 58,8; 58,10; 58,11.

Druga linia śledztwa dotyczyła dowodów mojego udziału w terrorystycznej działalności lekarzy. Prawdę mówiąc dokonuję tu sztucznego podziału, gdyż w toku śledztwa obydwie linie przeplatały się, ale mój stosunek do nich nie był jednakowy. O ile nie zaprzeczałem swemu postępowaniu i myślom, które wedle kryteriów MGB charakteryzowały mnie jako „żydowskiego nacjonalistę burżuazyjnego”, to zdecydowanie i kategorycznie odrzucałem terror. Nie tylko przeczyłem, iżbym uczestniczył w podobnych aktach, ale nie dopuszczałem możliwości terrorystycznych działań aresztowanych klinicystów. Z wieloma z nich współpracowałem i z wieloma łączyła mnie serdeczna przyjaźń. Byli to znakomici lekarze, oddani swej pracy, niezdolni do wyrządzenia swoim pacjentom umyślnej szkody.

Przesłuchującemu sprzykrzył się widocznie mój upór w tej kwestii i w końcu postanowił go złamać takim oto pytaniem: — Czy będąc na wolności czytaliście komunikat TASS-u z 13 stycznia 1953 roku? — Ów komunikat, przytoczony wcześniej, informował, że oskarżeni przyznali się do winy. Nie pozostawało mi nic innego jak zgodnie z prawdą odpowiedzieć, że nie uwierzyłem w to. Posypały się wściekle przekleństwa, przerywane słowami: — A więc uważacie, że to była prowokacja MGB!

Już następnego dnia zostałem ukarany. Nie pamiętam już, w którym dniu mojego lefortowskiego życia to było. Wbrew zwyczajowi nieoczekiwanie wezwano mnie na przesłuchanie w dzień, przed obiadem. W zwykłym gabinecie spotkałem kuratora

o niezwyklej porze. Zamiast zwykłego „no” — ostre pytanie: — A więc będziecie zeznawać czy nie? — Jak zwykle zaprzeczyłem. Padł rozkaz: — Wstać, ręce do tyłu — i nagle za plecami usłyszałem metaliczny szczęk: więzienny strażnik, który wszedł bezszelestnie, założył mi kajdanki. Trudno je opisać, gdyż zdecydowanie różniły się od tych filmowych — okrągłych gładkich bransolet połączonych łańcuchem. W porównaniu z kajdankami, którymi skuto mi ręce, tamte przypominały zabawkę. Nie wiem, czy opatentowano konstrukcję kajdanków w radzieckich ciężkich więzieniach, czy jest ona strzeżona, ale myślę, że nie zdradzę tu strasznej tajemnicy państwowej, jeśli spróbuję je opisać.

Środkową część kajdanków tworzy płaski kwadratowy zamek o wymiarach około 8×8 cm i grubości 2 cm. Do obydwu boków zamka przymocowane są dwa ruchome kleszcze w kształcie półksiężyców, rozchodzące się i zwierające. Końce mają zębatą powierzchnię tak wyprofilowaną, że przy zwieraniu zęby jednej części wchodzi w wycięcie drugiej, tworząc wokół nadgarstków bransoletę. Po zamknięciu obydwie ręce są z tyłu unieruchomione w bransoletach i złączone zamkiem. Przy instynktownej próbie uwolnienia się z kajdanków lub przy gwałtownym ruchu rąk zęby kleszczy poruszają się tylko w jedną stronę zaciskając się na kolejnym poziomie i zwężając bransolety. Czyż trzeba wspominać o fizycznym działaniu tych całkiem nie jubilerskich ozdób? Nieostrożny ruch rękami i bransolety zaciskają się na następnym zębie, nadgarstki ściskają metalowe obręcze, dłonie zamieniają się w nabrzmiałe poduszki. Kajdanki zdejmowane są tylko trzy razy na dzień na 5—10 minut do jedzenia i załatwiania niezbędnych potrzeb fizjologicznych. Na czas snu ręce skruwa się na brzuchu. Procedurę nakładania i zdejmowania kajdanków wykonują strażnicy. Gorliwość, jaką przejawiają poszczególni dozorczy więzienni, pozwala podzielić ich na psy i ludzi. Strażnik pies (szczególnie jeden) za każdym razem, gdy zakładał mi kajdanki, starał się wykręcać i wyłamywać mi ręce, co powodowało ostry ból, szczególnie w lewej ręce, złamanej na froncie. Kajdanki zakładał w ten sposób, żeby podczas noszenia zadawały jak najwięcej bólu. Strażnik człowiek (albo półczłowiek) wypełniał ten obowiązek z pewnym poczuciem winy, które malowało się na twarzy, i nawet pewnego razu powiedział mi (czego na pewno nie wolno mu było robić, gdyż strażnikom zabrania się rozmawiać z więźniami): — Jesteśmy

zmuszeni to robić! — Była to jego odpowiedź na moją prośbę, by nie zaciskał mocno bransolet. Jednocześnie wyjaśnił, że jeśli kajdanki zapnie luźno, to będą obijać się o nadgarstki i ranić je. Starannie dobierał optymalną średnicę przy zamykaniu kajdanków. Dodatkowa „niewygoda” tego urządzenia polegała na tym, że nie można było wytrzeć nosa, uczesać się, co czasem jest niezbędne dla każdego człowieka, nawet jeśli jest on żydowskim nacjonalistą burżuazyjnym i terrorystą.

Po założeniu kajdanków odprowadzono mnie do celi. W pierwszej chwili byłem oszołomiony. Kajdanki ordynarnie wtargnęły do mojego nudnego, przygnębiającego świata, do którego wszakże już się jakoś przyzwyczaiłem. Było to niewątpliwie coś nowego i groźnego. Przecież zakuto mnie nie z obawy przed ucieczką. Kajdanki to nie tylko dodatkowe działanie w celu zmęczenia więźnia, ale symbol upodlenia tego, kto je nosi. Słyszałem, że skazanych na śmierć zakuwają w kajdanki, a symboliczne znaczenie tego faktu polega na tym, że skazaniec automatycznie znajduje się w sytuacji więźnia ze wszystkimi dodatkowymi ograniczeniami.

Wróciłem do celi z mieszanymi uczuciami rozpacz, obrazy, buntu wobec takiej przemocy i bezsilności. Na znak protestu, chcąc dać upust tym uczuciom, zacząłem walić głową o ścianę. Do celi wtargnęli strażnicy, którzy wspólnymi siłami szybko położyli kres temu wybuchowi, przygadzając: — Chcesz przebić ścianę? Trafisz na dół (to jest to karceru).

A potem dalej trwało nawijanie jelita na palec, tylko teraz bardziej energicznie, bardziej natrętnie. Pierwszego wieczoru zdesperowany zażądałem od śledczego zdjęcia kajdanków, czego oczywiście kategorycznie odmówił. Dał mi do zrozumienia, że to nie był jego pomysł, że sam jestem sobie winien, i nawet powiedział: — Co wy myślicie, że przyjemnie jest mi oglądać was w kajdankach? To efekt waszego postępowania. — Potem nastąpiło conocne wymuszanie przyznania się do przestępstw, o których nie mogłem nic powiedzieć, bo ich nie było. Trzymałem się tego twardo mimo komunikatu TASS-u z 13 stycznia, mimo kajdanek i mimo tego, że mogłem spodziewać się najgorszego. Zgodnie ze sfabrykowaną w MGB koncepcją aresztowani przestępcy profesorowie odnosili się do mnie z dużym szacunkiem, darzyli mnie zawodowym zaufaniem i powierzali mi tajemnice i metody uśmiercania, żebym przy sekcji zwłok to ukrywał. Oni mordowali, a ja ich osłania-

tem — oto w uproszczeniu schemat roli i miejsca każdego z członków licznej organizacji terrorystycznej „lekarzy zabójców”.

Oficer próbował wmówić mi logikę, która jakoby była motorem planów przestępczych. Owa logika powinna mnie skłonić do przyznania się do popełnionych czynów, które były jakoby ukoronowaniem tej logiki. Przedstawił mi tok moich myśli i myśli innych terrorystów, tak jak to sobie wyobrażał; doprowadził do takiej konkluzji, do jakiej od początku zmierzał. W jego interpretacji wyglądało to dosłownie tak: — Żydzi są prześladowani, nie pozwala się im pracować, utrudnia się im życie, jakie jest więc wyjście? Trzeba z tym walczyć! — A jedyny środek walki, do którego chciał, żebym się przyznał, to terror — zabójstwa inicjatorów i przywódców represji wobec Żydów.

Zwróciłem uwagę śledczego na fakt, że organizacja „lekarzy morderców” składała się nie tylko z Żydów; w tej organizacji, zgodnie z oficjalnym komunikatem, byli i rosyjscy profesorowie, wybitni klinicyści: Winogradow, Wasilenko, Zelenin, Jegorow, i inni. Co nimi kierowało, przeciwko czemu walczyli ci całkowicie bezpieczni i życzliwie traktowani ludzie, którzy nie podlegali dyskryminacji rasowej? Moja interpretacja nie zwróciła niczyjej uwagi i pozostawiono ją bez odpowiedzi.

Jak już wcześniej wspominałem, uważano wyżej wymienionych naukowców za ukrytych Żydów i w związku z tym podzielili oni losy żydowskich profesorów. A w istocie, któż to taki radziecki Żyd, jakie cechy określają w Związku Radzieckim obywateli tej narodowości, co nie znają jidysz (wielu z nich nigdy nawet nie słyszało tego języka), za swój ojczysty język uważają rosyjski, wychowali się na rosyjskiej literaturze, poezji. Rozpłynęli się w masie narodu radzieckiego, wchłonęła ich rosyjska kultura, są oddani swej ojczyźnie. Wielu z nich aktywnie budowało radzieckie społeczeństwo, wniosło olbrzymi wkład w rozmaite dziedziny nauki i kultury. Widocznie w określeniu pojęcia „Żyd” trzeba wyjść od cech przeciwstawnych: Żyd to ten, który doświadcza antysemityzmu. Z tego punktu widzenia zasadne jest włączenie do tej grupy narodowościowej lekarzy terrorystów także Rosjan z pochodzenia, skoro zostali oni objęci antysemityzmem. Owa koncepcja wbrew pozorom nie jest paradoksalna, ponieważ antysemityzm to immanentne ludożercze ludzkie uczucie z dziedziny zoologii, rzutu-
jące na Żydów. Antysemici wszystkich czasów i narodów próbo-

wali zrobić z niego doktrynę, a najbardziej zdziżące formy nadał mu niemiecki faszyzm.

A jeśli już mowa o faszyzmie, to kiedyś mój kurator erudyta zapytał, czy wiem, że faszyzm to nauka stworzona przez Żydów. Sam Goebbels nie powiedziałby, że to produkt wyrafinowanego żydowskiego intelektualizmu (tej formuły używał, gdy pogardliwie charakteryzował osiągnięcia światowej kultury obce hitleryzmowi). Na pytanie kuratora odpowiedziałem, że to całkiem prawdopodobne. Popatrzył na mnie zdziwiony; najwyraźniej nie spodziewał się, że bez sprzeciwu zgodzę się z jego wersją o twórcach faszyzmu. Kiedy chciał się dowiedzieć, dlaczego tak uważam, odpowiedziałem: — Wiele potężnych doktryn społecznych zostało stworzonych przez Żydów: chrześcijaństwo, marksizm; może więc i faszyzm. — Temat ten nie był kontynuowany na naszym „zgromadzeniu”, ale charakterystyczne jest samo postawienie sprawy jako naturalnego usprawiedliwienia antysemityzmu przez ortodoksyjnych marksistów z MGB.

Wymuszenie na mnie zeznań dotyczących działalności terrorystycznej nawet za pomocą skomplikowanych wywodów logicznych nie doprowadziło do niczego: — Wasza logika jest inna od mojej, dlatego nie zgadzam się na terrorystę — odpowiadałem. A on cały czas: — Trzeba walczyć, trzeba walczyć. — Trudno mi się było wtedy zdecydować, co bardziej mi dokucza — kajdanki czy wysłuchiwanie tych obłąkanych bredni. Do tego jeszcze musiałem rozsądnie odpowiadać na te bzdurne zarzuty z takim skutkiem, jakbym głuchemu od urodzenia wyjaśniał różnicę między rechem żaby a śpiewem słowika. Ponadto w czasie przesłuchania ciągle musiałem zachowywać czujność, żeby nie zostać na czymś złapanym, nie utworzyć szczeliny, szpary w zeznaniach, którą mogliby poszerzyć i potraktować jako przyznanie się do terroryzmu. Trudno wyrazić, ile mnie to kosztowało, często po powrocie do celi trząsłem się cały, dygotałem jak w febrze i odczuwałem drgawki w każdej komórce ciała. W swoim życiu niejednokrotnie cierpiałem na choroby infekcyjne z silnymi febrycznymi dreszczami, ale moich „śledczych dreszczy” w żaden sposób nie można było porównywać z tymi spowodowanymi gorączką. To była prawdziwa „trzęsączka”. Jako patolog zdaję sobie sprawę, co działo się przy tym silnym stresie z układem wydzielania wewnętrznego i nerwowym, i ile sił fizycznych i psychicznych trzeba było

mobilizować, żeby przezwyciężyć ten superstres. W języku potocznym przebywanie w areszcie często określa się zwrotem „siedział w więzieniu”, a długość „siedzenia” jest miarą jego wpływu na więźnia, czemu nie można zaprzeczyć. Ale mimo wszystko stopień jego intensywności określany jest nie tylko okresem odosobnienia, ale i reagującymi systemami organizmu i siłą oddziaływania na nie. Mogę powołać się na swoje doświadczenie „siedzenia” w więzieniu Lefortowskim o zaostrożnym reżymie w charakterze podejrzanego o udział w „sprawie lekarzy”.

Po każdej nocy takiego „siedzenia” na nowo przeżywałem i krytycznie analizowałem wszystkie szczegóły przesłuchania, czy nie poddałem się, nie powiedziałem czegoś; co może zostać wykorzystane w charakterze dowodu kompromitującego innych aresztantów. W ten sposób śledcza noc przechodziła w dzień wypełniony reżymem bez chwili snu. Widocznie w moich zeznaniach nie było słabych punktów, czego tak się obawiałem, kurator bowiem kilkakrotnie powtarzał: — Bronicie swoich przyjaciół, a pewnie chcielibyście wiedzieć, co oni o was mówią? — Wymieniał przy tym paragraf jakiegoś artykułu z kodeksu karnego, wedle którego oskarżonego należy zapoznać z dotyczącymi go zeznaniami innych aresztowanych. Całkiem możliwe, że ich zeznania były kompromitujące, jeśli sądzić z pewnego fragmentu zeznań M. Wowsiego, który śledczy mi zacytował. Nawet później, na wolności, M. Wowski i Winogradow powiedzieli, że przyznali się do przestępstw, których nie dokonali. Wowski opowiedział, jak żądano od niego, by przyznał się, że był niemieckim szpiegiem, i że rozplakał się wtedy. Powiedział im: — Czego wy ode mnie chcecie? Przecież przyznałem się, że byłem amerykańskim i angielskim szpiegiem, czyżby to było za mało? Niemcy rozstrzelali w Dźwińsku całą moją rodzinę, a wy chcecie, żebym się przyznał, że byłem ich szpiegiem? — W odpowiedzi zwymyślano go wulgarnie: — Gównu, profesorze, nie ma się czego wypierać, byłeś i niemieckim szpiegiem! — I Wowski podpisał, że był niemieckim szpiegiem. W przybliżeniu tak samo postąpił Winogradow. Tragizm podobnych zeznań polegał nie tylko na osobistej odpowiedzialności za wymyślone przestępstwa. Przecież wszystkich przestępstw dokonywała organizacja, a więc kolektyw (art. 58,11); w konsekwencji trzeba było wydawać uczestników przestępstwa. Od tej chwili ten, kto się przyznał, stawał się uczestnikiem

śledztwa nie w charakterze oskarżonego, a w charakterze oskarżyciela. W tym przypadku rolę tę odegrali M. Wowski, W. Winogradow i możliwe, że wielu innych oskarżonych.

Zofia Karpaj, lekarka ze szpitala kremlowskiego, aresztowana w 1950 roku, przy okazji przypadkowego spotkania latem 1953 roku w wielkim zdenerwowaniu opowiedziała mi o konfrontacji, jaka miała miejsce w więzieniu. Brali w niej udział M. Wowski, W. Winogradow, W. Wasilenko. Zeznali oni, że Karpaj realizowała ich „zbrodnicze” zalecenia w terapii chorych. Lekarka kategorycznie zaprzeczała nie tylko wykonywaniu podobnych poleceń, ale i temu, jakoby ktoś je wydawał. Konfrontacja wywarła na niej wrażenie nieprawdopodobnej bredni. Ale to nie były brednie, lecz wymuszone na „demaskatorach” zeznania w „sprawie lekarzy”. Oczywiście konfrontacja nastąpiła nie w przytulnym gabinecie, w którym odbywają się intymne rozmowy służbowe na wyższym szczeblu, jak to często pokazują w telewizji, lecz pod surowym nadzorem pracowników więzienia, którzy pilnowali, czy wyznaczone zadania wypełniane są zgodnie z planem przez „skruszonych”. Obecność strażników miała przypominać o tym, co ich czeka, jeśli niezbyt przyłożą się do wypełnienia zadania.

W ten sposób „skruszeni” stają się świadkami oskarżenia. Czy można ich za to winić albo potępiać? Po wyjściu z więzienia miałem do nich właśnie taki stosunek i nie wiedziałem, jak zachowam się przy spotkaniu z moimi „oskarżycielami”. Później jednak zmieniłem zdanie. Zrozumiałem, że nie mam prawa bezwarunkowo wymagać od ludzi bohaterstwa. Przecież nie można od wszystkich żądać, by z jednakową siłą przeciwstawiali się niezwykle silnemu oddziaływaniu. Zakres takiego sprzeciwu jest szczególnie szeroki — od całkowitego braku sprzeciwu do adekwatności oddziaływania, gdzie reakcja równa się sile akcji. Indywidualność przejawia się w wybiórczym stosunku do jakościowego charakteru oddziaływania. Ten sam człowiek jest w stanie stanąć do samotnej walki z czołgiem i drżeć na widok myszy czy strzykawki.

Jeden z moich bliskich przyjaciół, znany uczony, otwarcie wyznał, że gdyby go aresztowano, to wie, że rozkleiłby się już po pół godzinie, podpisał wszystko, co mu podsuną, i zrobił wszystko, czego by od niego zażądano.

Taka była ogólna psychoza i strach przed torturami, jakim poddawani byli więźniowie, o których informacje przenikały do

mas w pamiętnych latach 1937—1938. Panowała wtedy atmosfera beznadziejności, nikt nie wierzył, że wytrzyma tortury; uważał, że prędzej czy później spowodują one przyznanie się do winy. W. Winogradow opowiadał, że nie czekał na tortury, tylko od razu zdecydował się spełnić wszystkie żądania, między innymi przyznał się do szpiegostwa na rzecz Anglii i Francji.

Składamy hołdy i czcimy pamięć tych, którzy znosili gestapowskie tortury i nie zdradzili, a z uczuciem żalu i pogardy odnosimy się do tych, którzy nie wytrzymali. Ale bojownicy umierali za ideę. A represjonowani lekarze? W imię jakiej idei mieli ginąć? Co narodowi mogła dać ich śmierć w niesławie? Brakowało moralnego stymulatora, aby sprzeciwić się metodom „surowo zabronionym przez radzieckie prawo” (z komunikatu rządowego o uwolnieniu lekarzy). A cały czas majaczy złudna możliwość uniknięcia mąk, przesłuchań i nawet hańbiącej śmierci, jeśli tylko przyznasz się do tego wszystkiego, czego od ciebie żądają. Niezłotnicy, łudząc się nadzieją (która nie miała się ziścić), staczają się na drogę pomówień nawet bliskich przyjaciół, a czasem krewnych. Sam M. Wowski wydał o sobie świadectwo będąc więźniem MGB.

Po sześciu latach od uwolnienia, które spędził w zasłużonej chwale wybitnego naukowca, wspaniałego lekarza i dobrego człowieka, zachorował na nowotwór nogi. Trzeba było ją amputować, a wkrótce potem Wowski zmarł. Odwiedziłem go na drugi albo trzeci dzień po operacji. Był mocno podniecony, w niemal euforycznym nastroju. Powiedział mi: — Czyż mój obecny stan można porównać z tym, co się wtedy działo? Teraz straciłem tylko nogę, ale pozostałem człowiekiem, tam zaś przestałem nim być! — W ten sposób „ów system” pozbawiał uczonych, kulturalnych, całkiem przyzwoitych w normalnych warunkach ludzi, ich ludzkich cech. Jaki dramat trzeba przeżyć, żeby taki straszny przypadek, jak utrata nogi z powodu raka, uważać za głupstwo w porównaniu z koszmarem zrodzonym w dziwacznej fantazji organizatorów „Sprawy lekarzy”? Czy można osądzać ofiary systemu, którego surowości nie wytrzymywali zahartowani w carskich więzieniach i na katordze starzy rewolucjoniści? Ale i w stalinowskich lochach więzień chciał zachować godność człowieka. Bodźcem mogło być tylko twarde, bezkompromisowe i niezachwiane postanowienie wytrzymać wobec okrucieństwa, nie ustępować, nie przyznawać

się do tego, co podsuwała fantazja sędziów, nie zdradzić, tj. nie rzucić na nikogo podejrzeń. Ale oprócz mobilizacji sił moralnych potrzebna była mobilizacja sił fizycznych, których wielu aresztowanym, szczególnie starszym ludziom, po prostu brakowało. Nad wszystkimi więźniami wisiało dławiące przekonanie, że za pomocą sposobów „owego systemu” „wydrą im z gardła” (według zaleceń Mołotowa) potrzebne zeznanie, tak więc lepiej od razu przyznać się do wszystkiego i uniknąć cierpień.

Ci, którzy zeznawali, nie potrzebują usprawiedliwienia, jest ono bowiem antytezą oskarżenia. Trzeba ich zrozumieć i wybaczyć im.

Kiedy poddaję krytycznej ocenie moje zachowanie w więzieniu podczas śledztwa, nie wiem, czy zdołałbym wytrzymać do końca nawet przy silnej woli, przy całkowitej mobilizacji sił fizycznych. Przypominam sobie pewien epizod — było to w czasie, kiedy śledztwo wkroczyło w fazę napięcia, i przesłuchujący uprzedzał mnie, że nie zostało mi wiele czasu na złożenie zeznań i że jeśli do jutra nie zdecyduję się mówić, to on zrezygnuje z prowadzenia śledztwa i przekaże je w inne, zapewne surowsze ręce. Byłem przekonany, że to zapowiedź zastosowania surowszych metod przesłuchań. W przeddzień spodziewanego przeze mnie „dnia męczarni” z sąsiedniego pokoju dobiegło wycie torturowanego i wulgarne wyzwiska oprawcy, który chciał dowiedzieć się od więźnia, co ten przemyślał. Wycie nieszczęśnika przechodziło w charczące jęki człowieka umęczonego torturami. Może to była inscenizacja mająca na celu zastraszenie mnie? Kiedy następnego dnia przyprowadzono mnie na przesłuchanie, trząsłem się cały jak w febrze. W oczekiwaniu na męki starałem się zebrać wszystkie siły, żeby je wytrzymać. Śledczy zauważył, w jakim jestem stanie, i nawet chciał wezwać lekarza, ale odmówiłem. — Przecież zamierzacie mnie torturować, po co więc lekarz? — Oficer ironicznie zareplikował: — Myślicie, że będziemy was łamać kołem? — dając do zrozumienia, że tortury tego dnia mnie ominą. Czasami nerwy zawodziły i (co tu dużo mówić!) rozładowywałem się w płaczu, ale postanowienie, że wytrzymam i nie poddam się, nie opuszczało mnie nigdy. Często słyszałem upomnienia sędziego: — Co to za zeznania? Rzucacie kości na psią patelnię. — Była to obrazowa, ale trafna ocena materiałów z codziennej praktyki prosektoryjnej, jakich mu dostarczałem i jakie sam mógł zdobyć

na każdej kliniczno-anatomicznej konferencji w szpitalu. Stawiając mi za wzór innych oskarżonych, którzy być może zachowają życie, śledczy zarzucał mi: — Przecież was nie można wziąć na otwarty proces. — Zrozumiałem z tego, że będzie otwarty proces „przestępców w białych fartuchach”, na którym będą zeznawać o swoich zbrodniach i kajać się, jak wielu nieszczęśników z poprzednich procesów, którzy zostali osądzeni, skazani na śmierć, a potem pośmiertnie rehabilitowani. Na taką skrucę moi dozorczy nie liczyli. Ów zarzut rozpatrywałem wówczas jako kryterium mojego zachowania podczas przesłuchań i zarówno wtedy, jak i dziś uważam go za pochwałę pod moim adresem. Znaczyło to, że nie zmieniłem swojego twardego postanowienia, które powziąłem pod wpływem pełnego i aktywnego poparcia mojej niezapomnianej, odważnej i subtelnej żony Zofii — nie ustępować przemocy, która chce wydobyć fałszywe zeznania. Nie działały na mnie różne śledcze sztuczki (oprócz tych wyżej wspomnianych), jak na przykład obelgi pod moim adresem typu: — Ale łobuz, jak można było znosić takiego łobuza! — Nie robiło to na mnie żadnego wrażenia, odnosiłem się obojętnie do wszelkich prób przesłuchującego, który chcąc podrażnić moją dumę okazywał mi lekceważenie. Mawiał wtedy: — Was nawet nie można szanować. Bywają więźniowie — otwarci wrogowie, którzy nawet tu się z tym nie kryją i ja ich szanuję. A wy chytrze staracie się to ukryć. — Śmiałem się w duchu z takich ataków na moją dumę. Zawsze ceniłem sobie szacunek zacnych ludzi, byłem bardzo na to czuły i w więzieniu chciałem zachować szacunek do samego siebie. Niejednokrotnie w swej pojedynczej celi cytowałem słowa Rylejewa ze znanego czterowiersza: „Więzienie to zaszczyt, nie hańba...”, które wydrapał na ołowianej misce w kazamatach twierdzy Pietropawłowskiej. Nawiasem mówiąc, w więzieniu Lefortowskim nie udałooby się to. Kiedy pewnego razu próbowałem wydrapać na kawałku mydła jakieś słowo, natychmiast do celi wkroczył dozorca i zażądał ode mnie mydła. Spełniając to życzenie, musiałem zetrzeć wydrapane słowo.

Śledczy widać bardzo sobie cenił swój szacunek, skoro uważał, że powinienem zrezygnować z szacunku do samego siebie, by zasłużyć na jego pochwałę. Czasem zadawał mi nieoczekiwane pytanie, chcąc mnie zaskoczyć. Oto jedno z nich: — Dlaczego powiedzieliście do Topczana: „Możesz spać spokojnie!” — Przy-

pomniałem sobie sytuację, w której wypowiedziałem te słowa przez telefon. Ja i Topczan przyjaźniliśmy się ze znanym bakterio-
logiem, profesorem Synajem. Wiele lat chorował on na kamice
nerkową. Zimą albo wiosną (nie pamiętam dokładnie) 1951 lub
1952 roku przywiozło go pogotowie ratunkowe do kliniki urologi-
cznej, którą kierował profesor Topczan. Synaj był w ciężkim
stanie z powodu niedrożności moczowodów. Nie wydalał moczu
przez kilka dni i nic nie można było na to poradzić, pojawiły
się pierwsze symptomy uremii. Jediną nadzieją była natychmia-
stowa operacja, wydobyć moczowodów na zewnątrz w okolicy
lędźwiowej. Tę operację przeprowadził Topczan, ale było już
za późno. Synaj zmarł. Sam przeprowadzałem sekcję zwłok Syna-
ja i upewniłem się, że w chwili, gdy przywieziono go do kliniki,
był w beznadziejnym stanie. Obydwe miedniczki nerkowe miał
dosłownie zatkane kamieniami, a w samych nerkach zaszły nie-
odwracalne zmiany chorobowe, żadna operacja nie była w stanie
przywrócić im ich dawnej funkcji ani też nie wchodziły w grę
inne sposoby (sztuczna nerka, tzw. hemodializa, czy przeszczepie-
nie nerki) z powodu braku w tym czasie odpowiednich lekarstw
i metod. Do dziś w osobistym archiwum przechowuję zdjęcie
nerek Synaja.

Topczan bardzo przeżył śmierć Synaja. W ogóle był bardzo
nerwowy, miał wrażliwe sumienie lekarskie, a tu śmierć chorego,
do tego jeszcze dobrego znajomego i szanowanego naukowca.
Skrupulatnie analizował swoje chirurgiczne działania, zestawiał
je z wynikami sekcji zwłok — chciał wiedzieć, czy zrobił wszy-
stko, co w tej sytuacji nakazywały mu obowiązki lekarza i do-
świadczenie chirurga. Wielu chirurgów o podobnym sumieniu
lekarskim przeżywa takie wątpliwości i Topczan kilkakrotnie
zwracał się do mnie pytając, co myślę na ten temat. Z całym
obiektywizmem (nigdy nie ukrywałem przed chirurgiem błędów,
jeśli takowe się zdarzały) musiałem przyznać, że wszelkie poczy-
nania Topczana były prawidłowe, uzasadnione w danym przypad-
ku. Nie można było uratować chorego, który był skazany na śmierć
z powodu ciężkiego i nieodwracalnego porażenia. Ale Topczan,
ciągle poruszony śmiercią Synaja, wieczorem zadzwonił do mnie
do domu, żeby jeszcze raz podzielić się wątpliwościami co do tego,
że nie udało mu się uratować Synaja. Po raz kolejny wyjaśniłem
mu istotę patologii nerek, którą ustaliłem podczas sekcji, wyraziłem

swoje zdanie co do wypełnienia przez niego obowiązków chirurga i zakończyłem rozmowę słowami: — Zrobiłeś wszystko, co możliwe, twoje sumienie jako chirurga jest czyste; możesz spać spokojnie. — Wypełniłem swój obowiązek arbitra lekarskiej działalności, do którego często zwracali się otaczający mnie klinicyści. Odpowiedziałem przesłuchującemu wszystko tak, jak było, ale ten nie chciał wierzyć i wołał zostać przy swoich podejrzeniach: — Dlaczego powiedzieliście Topczanowi: możesz spać spokojnie? Czy to też było morderstwo? — Wtedy użyłem następującego argumentu: — Przecież Synaj był Żydem — na co śledczy odpowiedział: — Co z tego, że Żyd; czasami i Żyda trzeba zamordować! — Żelazna logika.

Podczas stereotypowych rozmów na tematy terrorystyczne nieoczekiwanie padło pytanie: — O czym rozmawialiście na oblewaniu mieszkania u J. G.? — I tu naprawdę byłem zaskoczony nie tylko istotą pytania, nie tym, że MGB było poinformowane o uroczystości, ale włączeniem J. G. do szajki przestępców politycznych, do organizacji „morderców w białych fartuchach”. J. G. miała w tym czasie około sześćdziesięciu lat, niedawno doznała wylewu, całe jej życie było wypełnione codziennymi prozaicznymi troskami związanymi głównie z jej dwiema dorastającymi wnuczkami. Była anatomopatologiem, a jednocześnie prosektorem w szpitalu, gdzie cieszyła się zawodowym autorytetem i miała osobiste kontakty z wieloma pracownikami szpitala, m.in. z M. Wowsim i L. Dunajewskim, słynnym urologiem. Charakter J. G. pozostawiał wiele do życzenia. Była to kobieta zawistna i nieżyczliwa, i w czasach mojej młodości miałem z jej powodu duże nieprzyjemności. Poza tym była nieuczciwa w sprawach finansowych, a ofiarą tej nieuczciwości w 1952 roku padł Wowski.

Osobiście nie miałem zawodowego, a tym bardziej duchowego kontaktu z J. G. Co prawda nie zapomniałem o krzywdzie, jaką mi wyrządziła (w 1929 r.), ale pamiętliwość nie jest dominującą cechą mojego charakteru. Dlatego też kiedy J. G. zwróciła się do mnie z prośbą, żebym pomógł jej dostać się do spółdzielni mieszkaniowej „Medyk”, nie odmówiłem i w miarę swoich możliwości ułatwiłem jej zdobycie przydziału. W efekcie dostała mieszkanie w tej samej klatce co ja.

Zimą 1951 roku (albo wiosną 1952, dokładnie nie pamiętam) J. G. zorganizowała coś w rodzaju oblewania mieszkania, na którą

to uroczystość zaprosiła mnie, M. Wowsiego z żoną, Dunajewskiego. Przyjęliśmy zaproszenie J. G. tylko z grzeczności, nie chcieliśmy obrazić jej odmową. Co prawda nie przyjaźniliśmy się z nią i samo zaproszenie nieco nas zdziwiło, ale niczego nie podejrzewaliśmy. Dalecy byliśmy wtedy od myśli o prawdziwej przyczynie tego zaproszenia. Oprócz nas była jeszcze jej przyjaciółka, rentgenolog J. Abarbanel. Uczestnicy tego „zgromadzenia”, oprócz Abarbanel, zostali później aresztowani.

Nie zapamiętałem jakoś szczególnie tego przyjęcia, potraktowałem je grzecznościowo — zwykła nuda. Tym bardziej zdziwiło mnie zainteresowanie śledczego tym spotkaniem towarzyskim, które w jego oczach urosło do rangi wydarzenia politycznego. Chociaż przywykłem już do różnych niedorzeczności ze strony MGB, to w żaden sposób nie mogłem skojarzyć J. G. — jej wyglądu zewnętrznego, kręgu zainteresowań, który w najmniejszym stopniu nie obejmował problemów politycznych i społecznych — z udziałem w politycznej, ba, terrorystycznej organizacji. W tej chwili przyszło mi na myśl, że profesorowie Wowski, Winogradow, Grinstein, Feldman i inni aresztowani to w przeważającej większości starsi, inteligentni ludzie. Mimo wszystko tworzyli oni kontrast z tą zniedołężniałą staruchą (tak ją sobie wyobrażałem), nawet wspomnienie jej nazwiska wydawało mi się niedorzeczne w zestawieniu z aresztowanymi.

Byłem wstrząśnięty i odpowiedziałem przesłuchującemu tymi słowami: — Jaki związek mogła mieć ta nieszczęsna schorowana staruszka, wiecznie zatroskana o swoje wnuczki, z jakąkolwiek organizacją polityczną? — Na co śledczy ryknął: — Nieszczęsna, schorowana staruszka? Ta łajdaczka zdechnie tu u nas. Wy może przeżyjecie, jesteście zdrowym mężczyzną, ale ona tu zdechnie! — Wydawało się, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, ale raz jeszcze wstrząsnął mną paradoks przekraczający ludzkie pojęcie: J. G. jako działaczka polityczna. Na powtórne pytanie, o czym rozmawialiśmy na „zgromadzeniu” u J. G., w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, jakie tematy poruszaliśmy. Powiedziałem, że piliśmy za zdrowie gospodyni, podziwialiśmy mieszkanie, prawiliśmy jak zwykle w takich sytuacjach banalne komplementy. Nie mogłem sobie przypomnieć żadnych rozmów na tematy polityczne, widocznie nie poruszaliśmy ich. W odpowiedzi na to oficer śledczy oświadczył, że beze mnie wiedzą, czyje zdrowie

piliśmy i jakie komplementy prawiliśmy. Więcej już podczas przesłuchań nie podejmowaliśmy tego tematu.

Byłem pewny, że J. G. aresztowano, i jedno z pierwszych pytań, jakie zadałem żonie po powrocie z więzienia, dotyczyło tego, czy J. G. też wypuszczono na wolność. Z początku żona nawet nie zrozumiała mojego pytania, a potem wyjaśniła, że J. G. nie była aresztowana i cały czas przebywa w domu. Moje zdziwienie nie miało granic, skoro nie tylko nie „zdechła” w więzieniu, jak przepowiadał śledczy, ale cały czas spokojnie siedziała sobie w domu. Powstrzymałem się od komentowania tego faktu, ale Wowski wraz z żoną odpowiednio go zinterpretowali, uważając, że J. G. odegrała w tym wydarzeniu niezbyt chlubną rolę. Zapewniali mnie, że zorganizowane „przyjęcie” było zalecane „odgórnie” i nieprzypadkowo znaleźli się na nim ci „goście” (oprócz Abarbanel), którzy wkrótce zostali aresztowani. Nawiasem mówiąc do codziennej praktyki MGB należało organizowanie takich domowych świąt jako jednej z metod „łowienia dusz”, ale czy spotkanie u J. G. spełniało taką rolę, z całą pewnością mogłaby stwierdzić tylko ona sama.

Wśród pytań zadawanych mi jakby przypadkiem zdarzały się i takie: — Znacie profesora Moszkowskiego, co o nim powiecie? Odpowiedziałem: — To wybitny uczony o światowej sławie, oddany swojej pracy i obywatel radziecki o nieposzlakowanej opinii. — W odpowiedzi zagrzmiało: — „Cooo?! Obywatel radziecki? Toż to jeszcze większy skurwysyn niż wy!” — Zrozumiałem, że jestem jednostką miary, metrycznym wzorcem skurwysyna, a Moszkowski liczy sobie więcej niż jedną jednostkę skurwysyna. Po powrocie z więzienia byłem bardziej ucieszony niż zdziwiony, zastawszy „większego ode mnie skurwysyna” w dobrym zdrowiu, tak samo zresztą jak i „żydowskiego nacjonalistę burżuazyjnego” Topczana. Albo ich kolej jeszcze nie nadeszła, albo te epitety były tylko błazenadą, która miała zdeorientować oskarżonego.

Przeważnie nie umiałem właściwie ocenić głębokiego sensu wielu zadawanych mi pytań. Na przykład: — Ile razy wyjeżdżaliście na daczę latem 1952 roku? — Tamtego roku nie mieszkaliśmy u siebie na daczce i większość lata całą rodziną spędziliśmy w Pjarnu, w Estonii. Na daczę wpadałem tylko na kilka godzin, jeśli miałem tam coś do zrobienia. Nie liczyłem, ile razy tam jeździłem, i nie przywiązywałem do tego takiej wagi jak mój kurator. Wytężywszy

pamięć naliczyłem dwa wyjazdy, ale tu zarzucono mi kłamstwo: nie dwa, ale trzy razy. Sprzeczki co do tego zagadnienia, którego sensu nie mogłem pojąć, trwały długo. W końcu przypomniałem sobie, że istotnie po raz trzeci pojechałem w końcu lata; odwiedziłem wtedy rodzinę M. Wowsiego, która wynajmowała dachę J. G. Ten trzeci wyjazd był widać tak ważny dla śledztwa. Oczywiście jeśli mógłbym zawczasu przewidzieć znaczenie takich ważnych wydarzeń w mojej przestępczej biografii jak liczba wyjazdów na dachę, wychodząc naprzeciw przyszłemu śledztwu sumiennie rejestrowałbym podobne wydarzenia. Jednak z powodu braku przenikliwości nie robiłem tego, dlatego na wiele pytań nie byłem w stanie odpowiedzieć, nawet wysilając pamięć, co zostało ocenione jako zapieranie się.

Długi czas gubiłem się w domysłach, w jaki sposób MGB zdobyło informację o liczbie moich wyjazdów na dachę latem 1952 roku i dlaczego tak się tym interesowano. Mało prawdopodobne wydawało się, aby śledzono mnie cały rok przed aresztowaniem (albo jeszcze dłużej). Całkiem niedawno (ktoś mi to zresztą podpowiedział) zrozumiałem niezwykle zainteresowanie MGB tymi wyjazdami, szczególnie zaś trzecim, i odkryłem źródło informacji. Przecież moja dacha znajdowała się naprzeciw domku J. G., który tego lata wynajmowała rodzina Wowsich. Stąd domyśliłem się, kto mógł informować MGB; nieustanne śledzenie nie było potrzebne. Moje podejrzenia co do roli, jaką J. G. odegrała w tej sprawie, stały się pewnikiem. Całkiem prawdopodobne, że wypowiedziana przy mnie groźba pod jej adresem, iż „zdechnie” w więzieniu, była tylko zasłoną maskującą jej prawdziwe oblicze. Zresztą w świetle losów licznych pracowników tej organizacji, których likwidowano po wykonaniu przez nich brudnych zadań, groźba pod adresem J. G. mogła być całkiem realna. W związku z zapewnieniami M. Wowsiego i jego żony co do podejrzanej roli J. G., jaką odegrała w sprawie lekarzy, przypomniał mi się pewien epizod, który przez całe lata był dla mnie zagadką. W zawodowej pamięci anatomopatologa powracałem do tego wydarzenia niejednokrotnie, jak prawie do każdej obserwacji z mojej praktyki, której natury do końca nie rozumiałem.

Mogę bezbłędnie ustalić czas tego epizodu, zestawiając jego chronologię z innymi pamiętnymi wydarzeniami.

Było to jesienią 1952 roku, tj. niedługo przed pamiętną „sprawą

lekarzy", w okresie fabrykowania zarzutów w łonie MGB. Pewnego razu zadzwoniła do mnie J. G. z prośbą, bym z nią przekonsultował niezrozumiały dla niej przypadek medyczny.

W środowisku anatomopatologów konsultowanie skomplikowanych obserwacji zawsze było i jest sprawą oczywistą, więc prośbę J. G. potraktowałem jako zupełnie naturalną.

J. G. opowiedziała mi o sekcji zwłok, jaką przeprowadziła ostatnio i nie mogła określić choroby, która spowodowała śmierć. Chodziło o młodą kobietę, którą poddano leczeniu na oddziale ginekologicznym. Będąc z początku w całkiem dobrej kondycji, niespodziewanie dostała biegunki, wystąpiły objawy ogólnego zatrucia organizmu i po upływie doby zmarła. Lekarze nie mogli dociec przyczyn biegunki i zatrucia. Wyniki wszystkich badań bakteriologicznych były ujemne. Sekcja zwłok również nie wykazała przyczyn zgonu, w związku z czym J. G. chciała wysłuchać mojej opinii na ten temat.

Referowany przez nią kliniczny i anatomopatologiczny obraz wskazywał na ostre zatrucie arszenikiem; objawy są szczegółowo opisane w podręcznikach medycyny sądowej. Pomyślałem, że J. G. nie przyszło do głowy zatrucie arszenikiem pacjentki przebywającej na leczeniu w szpitalu i dlatego nie zanalizowała tego przypadku pod tym kątem. Swoim uczniom i pracownikom zawsze radziłem, by w wątpliwych i podejrzanych przypadkach szukali pomocy w chemii sądowej.

Poradziłem J. G., żeby natychmiast wysłała do analizy sądowej wszelkie materiały, które zostały jej po sekcji (obecność arszeniku można wykryć nawet we włosach denata). Był to jej obowiązek i zapewniała mnie, że to zrobi. Zgodziwszy się z moim zdaniem co do możliwości kryminalnej przyczyny śmierci, J. G. potwierdziła tę wersję następującymi podejrzanymi szczegółami, które przypominały banalny kryminal.

Pielęgniarka z oddziału ginekologicznego w czasie pobytu tam pacjentki została kochanką męża chorej — pułkownika MGB. Sam pułkownik, pytając J. G. o wyniki sekcji, był bardziej nimi zainteresowany niż samym faktem śmierci żony i powiedział J. G. z ironiczną kpina: — Ech, wy, nie umiecie nawet rozpoznać przyczyny śmierci!

Jakiś czas później spotkałem J. G. i zainteresowałem się wynikami badania sądowego. Byłem wstrząśnięty, kiedy okazało się, że

nie wysłała materiałów do analizy. Nie godziło się to z elementarnymi zasadami postępowania anatomopatologa i zupełnie nie rozumiałem jej pobudek. Przypisałem to strachowi J. G. przed MGB, którego pracownikiem był mąż zmarłej. Na moje wątpliwości J. G. odpowiedziała jakoś mętnie. Jej postępowanie jako anatomopatologa pozostało dla mnie zupełnie niezrozumiałe.

W szpitalu, w którym J. G. była prosektorem, słynęła z tego, że czepiała się klinicystów, chcąc podważyć ich diagnozy i wykazać błędy, jakich dopuścili się w procesie leczenia. A w tym przypadku otwarcie nie chciała „dokopać się” do prawdy medycznej; przeciwnie starała się tego uniknąć, chociaż było to niezgodne z etyką zawodową. W dodatku J. G. w protokole z sekcji zwłok i we wniosku dotyczącym natury choroby i przyczyny śmierci musiała w jakiś sposób zatuszować prawdę, albo wręcz napisać, że przypadek pozostał nie wyjaśniony (prosektorzy rzadko korzystają z tej możliwości). Czyżby cień MGB, który w osobie pułkownika padł na ten przypadek, tak wpłynął na jej sumienie lekarskie?

Ciekaw byłem, jak J. G. wybrnęła z tej kłopotliwej sytuacji, jak opisała powyższy wątpliwy przypadek. To pytanie nurtowało mnie wiele lat.

Dopiero kiedy J. G. zmarła, pojawiła się możliwość wyjaśnienia tajemnicy, gdyż stanowisko prosektora w owym szpitalu zajął mój uczeń. Poprosiłem go, żeby przestudiował protokoły sekcji zwłok za cały okres, kiedy opisywane zdarzenie mogło mieć miejsce. Przy tym trzeba było pamiętać, że choć opis może być zniekształcony, to nigdy do tego stopnia, żeby za przyczynę choroby uznano jakąś przypadłość ginekologiczną. Nazwiska zmarłej nie znałem. Mimo wszystko po starannym prześledzeniu materiałów protokółowych nie natrafiliśmy na przypadek, który choć trochę przypominałby opisany przez J. G.; w ogóle nie zanotowano żadnego przypadku śmiertelnego na oddziale w tym czasie.

Niczego nie pojmowałem z tego zagadkowego epizodu.

Olśnienie nastąpiło dopiero po 30 latach.

Nagle zrozumiałem, że przypadek, o którym opowiadała mi J. G., interesując się, jak go zinterpretuję, faktycznie nigdy się nie wydarzył. Nie było takiej pacjentki na oddziale ginekologicznym ani jej dziwnej śmierci, nie było też pielęgniarce — kochanki pułkownika MGB. Wszystko to fikcja. Jediną realną postacią był prawdopodobnie pułkownik MGB, który opracował z J. G. ten

prymitywny scenariusz „konsultacji” i wyznaczył jej odpowiednią rolę. Było to „badanie” przed oczekującą mnie „sprawą lekarzy”, w której podstawowym zarzutem było trucie pacjentów.

Od razu wszystko stało się oczywiste. Niejasny pozostał dla mnie tylko cel tego „badania”. Do czego to było potrzebne? Bardziej lub mniej precyzyjną odpowiedź na to pytanie daje opracowany wówczas w MGB scenariusz planowanej „sprawy lekarzy” i mojej w nim roli. Zgodnie z tym scenariuszem, jak się później wyjaśniło, dokonując sekcji zwłok ofiar „lekarzy morderców” tuszowałem ich przestępstwa. Całkiem możliwe, że autorzy na wszelki wypadek postanowili upewnić się co do moich zawodowych kompetencji niezbędnych zarówno do wyjawienia, jak i ukrycia prawdziwej przyczyny śmierci nieszczęsnych ofiar „lekarzy zabójców”. Tak więc nie było już wątpliwości co do roli, jaką w całej sprawie odegrała J. G.

W żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć jakichkolwiek godnych uwagi faktów z mojej pracy w prosektorium, których wyjaśnienia żądał ode mnie śledczy. Pamiętam jego natarczywe zainteresowanie sekcją zwłok jakiegoś noworodka, przeprowadzoną przez moją współpracownicę R. Kogan (obecnie prosektora w I Szpitalu Miejskim). Nie pamiętam, co było przyczyną śmierci tego noworodka, ale w toku wymuszania zeznań kurator wpadł w iście histeryczny trans. Szarpał kołnierz kurtki, dusił się, charczący kaszel powodował skurcze wymiotne. Silny wciąż odruch lekarza sprawił, że przestraszyłem się o niego, chciałem rzucić się z pomocą, ale powstrzymał mnie gestem (pewnie bał się, że go uduszę). Pomny na uwagę, jakiej mi udzielił podczas jednego z przesłuchań, zapytałem, czy nie powinien wezwać lekarza. Dziś śmieszy mnie ta paradoksalna sytuacja — aresztowany martwi się o stan swojego oprawcy — ale wtedy nie myślałem o tym, współczułem mu jako lekarz: przecież ten człowiek się męczy!

Mojego kuratora opanowała powszechna w MGB idea wykrycia spisku. W istocie — jeśli wyższe kierownictwo wykryło spisek na wielką skalę w rodzaju „sprawy lekarzy”, to dlaczego nie wykryć (tzn. stworzyć) „swojego” spisku, którego autorem byłby on sam i który rozmiarem odpowiadałby ważności piastowanego przezeń urzędu. Było to przecież jednoznaczne z awansem o szczebel wyżej na drabinie służbowej. I oto pewnego razu mój kurator,

widocznie zapomniawszy, że znajduje się w towarzystwie jednego ze spiskowców, tzn. moim, z pasją zaczął prezentować ujawnienie (w perspektywie) spisku w I Szpitalu Miejskim. Jakby widząc przed sobą wielkie audytorium, z zaciekawieniem słuchające jego wykładu, wyrzucał z siebie słowa: — W centrum: Topczan, do niego prowadzą wszystkie nici... — Zaczął wymieniać nazwiska Żydów — pracowników I Szpitala Miejskiego (niektórzy z nich już zostali aresztowani). W ten sposób młody początkujący naukowiec może przeżywać w wyobraźni swój przyszły wykład przed zachwyconym audytorium o wielkim odkryciu, które na razie pozostaje w sferze marzeń. Oficer śledczy zapomniiał o mojej obecności, w ekstazy zaślepieniu widział generałów MGB, którzy słuchają go z uwagą i podziwem, gdy on puka wskaźnikiem w schemat rozwikłanego przez siebie spisku. Była to prawdziwa ekstaza twórcza. Nie mogłem się powstrzymać i wybuchnąłem szczerym śmiechem, do tego stopnia rozbawił mnie wzlot fantazji oficera śledczego MGB. Mój śmiech okazał się zaraźliwy i śledczy mimowolnie też zaczął się śmiać, ale szybko się spostrzegł i powróciwszy do rzeczywistości surowo zapytał: — Z czego się śmiejecie? — Odpowiedziałem: — Z taką pasją kreśliście obraz wymyślonego spisku, że trudno mi było powstrzymać się od śmiechu. — Przybrał urzędową minę i przeszedł do kolejnych nudnych pytań. Ta króciutka scenka w małej skali odsłania mechanizm fabrykowania i inscenizacji spisków na wielką skalę w murach MGB. Był to niczym nie skrępowany poryw kryminalnej fantazji, której ofiarami padły tysiące uczciwych obywateli radzieckich. Procesy związane z pośmiertną rehabilitacją ofiar odsłoniły mechanizm tej piekielnej dramaturgii, a tu na moich oczach rozgrywały się tajemne narodziny tej twórczości i techniki jej rozwoju. Była to prawie naukowo-badawcza obserwacja — zobaczyć spiszek *in statu nascendi*.

Wymuszanie zeznań o działalności terrorystycznej trwało dalej. Powinienem sam je fabrykować, ale nie wystarczyło mi ani pomysłowości, ani fantazji, ani ochoty. A czas na odpowiedź widać jeszcze nie nadszedł. Możliwe, że odkładano to do konfrontacji z bezpośrednimi wykonawcami aktów terrorystycznych, podobnej do tej, o jakiej opowiedziała mi S. Karpaj. Na razie mojego kuratora bardziej interesowały terrorystyczne wypowiedzi niż terrorystyczne działania. Między innymi zarzucano mi następującą wypowiedź pod adresem Malenkowa: „A niech go diabeł

porwie". W protokole zdanie to zinterpretowano jako groźbę śmierci i ujęto w odpowiedniej formie literackiej („W dzikiej złości i zwierzęcej nienawiści”). Na moje pytanie, dlaczego owo zdanie, które może być najwyżej traktowane jako obelga, jest wyrazem życzenia śmierci, kurator robiąc naiwną i zdziwioną minę powiedział: — Przecież po to, żeby diabeł kogoś porwał, trzeba najpierw umrzeć. — W twórczości aparatu śledczego MGB nic mnie już nie mogło zdziwić, ale włączyć diabła do udziału w przestępczych planach terrorystów żydowskich mógł tylko komunista z MGB. Widocznie jego partyjny ateizm nie pozwalał mu wierzyć w Boga, a w diabła tak. Na cały ten galimatias, obliczony na skończonego głupca, zareagowałem wyjaśnieniem, że wspominając diabła nie życzyłem nikomu śmierci. Oficer śledczy jednak uparcie powtarzał swoje: — Ale przecież po to, żeby diabeł mógł porwać, trzeba umrzeć; to znaczy, że życzyliście śmierci towarzyszowi Malenkowowi. — Jeszcze jeden przykład żelaznej logiki. Jak nie wspomnieć genialnego Swifta, który odkrył prototyp stalinowskich pracowników ochrony bezpieczeństwa państwa w Wielkiej Akademii w Lagado (Guliwer odwiedził ją podczas podróży do Laputy).

Wspominając stronicę Swifta w pojedynczej celi więzienia Lefortowskiego, znajdowałem w nich pewien ładunek humoru, który stanowił swego rodzaju ucieczkę przed koszmarem śledztwa. W całej tej sytuacji można było zapomnieć o istnieniu realnego świata poza granicami tego koszmara; za wszelką cenę trzeba było starać się nie stracić „łączności z czasem”, zachować w sercu i umyśle cały świat, w którym przeżyłem ponad pół wieku.

Sz szczególnie uciążliwe były godziny poobiednie i przedwieczorne, które upływały w przygniatającej ciszy więzienia, w całkowitym bezruchu z powodu kajdanków na rękach, w oczekiwaniu na kolejne niedorzeczne przesłuchanie.

Narastające napięcie w atmosferze śledztwa pozwalało domyślać się, że zbliżamy się do punktu kulminacyjnego. Pewnego razu (było to pod koniec lutego, albo w pierwszych dniach marca) oficer śledczy znów uprzedził mnie, że dobiegają końca dni, a nawet godziny, kiedy dobrowolnie mogłem przyznać się do wszystkiego. Powiedział wtedy: — Nie jestem waszym wrogiem — ale natychmiast się poprawił: — przyjacielem też nie, oczywiście. Chcę, żebyście wiedzieli, iż przebieg śledztwa obserwuje sam towarzysz Stalin i jest bardzo niezadowolony z waszych zeznań. Proszę to wszystko

rozważyć, żebyście potem nie mieli do mnie żalu. — Nie wiem dlaczego, ale powołanie się na Stalina potraktowałem dość sceptycznie, wydawało mi się, że nie odgrywam aż tak ważnej roli w „sprawie lekarzy”, żeby interesował się mną sam towarzysz Stalin. Dopiero po XX Zjeździe KPZR i referacie Chruszczowa o „kulcie jednostki” okazało się, że Stalin był osobiście zainteresowany przebiegiem śledztwa i możliwe, iż zwrócił uwagę na oskarżonych, którzy uparcie odmawiali przyznania się do winy. Ale wtedy byłem pewien, że śledczy chce mnie zastraszyć.

Podczas jednego z takich pełnych napięcia dni (a dokładniej wieczorów), kiedy zostałem wprowadzony do gabinetu na kolejne przesłuchanie, oficer śledczy poinformował mnie, że dziś jestem potrzebny jako ekspert, a nie jako podejrzany, i że mam odpowiedzieć na kilka pytań. — Co to takiego oddech Cheyne’a-Stokesa? — Odpowiedziałem, że jest to jedna z form tzw. oddychania okresowego i wyjaśniłem jego istotę. — Kiedy występuje taki oddech? — Odpowiedziałem, że fizjologicznie zdarza się u niemowląt, a u dorosłych powstaje podczas ciężkich porażań centrów oddychania w mózgu — np. przy nowotworach mózgu, wylewach krwi do mózgu, ciężkich toksycznych porażeniach mózgu, na przykład przy uremii, ciężkiej arteriosklerozie mózgu. — Jak można oddziaływać na oddech Cheyne’a-Stokesa, żeby go zlikwidować? — Wyjaśniłem, że należy usunąć przyczynę schorzenia, a nie objawy. — Czy człowiek z takim oddechem może wyzdrowieć? — Stwierdziłem, że to bardzo groźny, często agonalny symptom i w przeważającej większości przypadków kończy się śmiercią. Wszystkie odpowiedzi śledczy skrupulatnie zanotował. Przypuszczałem, że chodzi o historię choroby figurującą w aktach któregoś z aresztowanych. Następnie śledczy zapytał, którego z wybitnych specjalistów rekomendowałbym ciężko choremu. Powiedziałem, że nie wiem, czy specjalista, którego poleciłbym, jest na wolności. Przesłuchujący znalazł się w trudnej sytuacji, więzień bowiem w żadnym wypadku nie powinien wiedzieć, co dzieje się na wolności. Powtórzył swoje pytanie dodając: — No, mimo wszystko? — Zacząłem więc wyliczać nazwiska: — Znakomitym lekarzem jest Winogradow, ale on jest u was. Wowski to również świetny specjalista, ale jego też aresztowaliście. Duże doświadczenie ma Wasilenko — jego też zamknęliście. Wybitny diagnosta Etinger również przebywa u was. Bardzo dobrymi lekarzami są obydwaj

Koganowie, ale jeden z nich dawno zmarł, a drugiego macie u siebie. Jeśli potrzebujecie neuropatologa, to najlepszy jest Grinstein, ale i jego trzymacie. Jako otolaryngologa poleciłbym Preobrażenskiego albo Feldmana, ale ich też przymknęliście. — Wymieniłem wszystkich wybitnych specjalistów (była to długa lista), których mogłem polecić jako dobrych lekarzy, ale wszyscy okazali się „u nich”. Zaproponowałem wtedy, by śledczy podał nazwiska tych, którzy są na wolności, żebym mógł wyrazić opinię o ich zawodowych umiejętnościach. Po chwili namysłu wymienił cztery nazwiska. Ale o żadnym z nich (choć dwa były bardzo znane w świecie naukowym) nie mogłem powiedzieć tyle dobrego, co o wyżej wymienionych specjalistach. Oficer bardzo się zdziwił i nawet zaczął się ze mną spierać, powołując się na fakt, że jeden z nich jest członkiem Akademii Nauk. Odpowiedziałem, że prosił, bym polecił mu doświadczonego lekarza, nie zaś naukowca.

Kiedy wyszedłem na wolność i zapoznałem się z treścią gazet z lutego i marca 1953 roku, domyśliłem się, że ta cała „ekspertyza” dotyczyła komunikatów o chorobie Stalina i lekarzy, co je podpisali. Okazało się, że analogicznych „ekspertyz” dokonali uwięzieni profesorowie M. Wowski i E. Gelstein (może i inni oskarżeni) i obydwaj podobnie wyrazili się o profesjonalizmie leczących „ciężko chorego” profesorów. Powstało wrażenie, że kamraci i poplecznicy Stalina chcieli znać diagnozę dotyczącą jego choroby, czy może on wyzdrowieć, czy nie za dobrzy lekarze się nim zajmują i nie daj Boże jeszcze go wyleczą. Moja „ekspertyza” musiała ich uspokoić i najbliższe wydarzenia potwierdziły jej trafność. Chory zmarł 5 marca, ale ja w swojej pojedynce o niczym nie wiedziałem i nie podejrzewałem nawet, że ta śmierć uratowała życie moje i wielu innych oraz radykalnie zmieniła społeczno-polityczny klimat w Związku Radzieckim.

Po tej „ekspertyzie” moja sytuacja nie uległa zmianie: te same kajdanki, przesłuchania, tylko charakter przesłuchań i ich atmosfera nieco się zmieniły. To ostatnie bardziej intuicyjnie odczułem, niż sobie uświadomiłem. Przesłuchujący stał się bardziej leniwy, z mniejszą ekspresją zadawał swe głębokie pytania, często wychodził zostawiając tylko strażnika, który drzemał na kanapie i budził się z miną winowajcy.

9 marca (zapamiętałem tę datę) niespodziewanie wezwano mnie na przesłuchanie w dzień i zaprowadzono do innego niż zwykle

gabinetu, w którym siedzieli jakiś pułkownik i mój oficer. Twarz pułkownika uderzyła mnie całkowitą obojętnością i brakiem jakichkolwiek przejawów sympatii, która w jakimś stopniu zawsze widniała na twarzy mojego śledczego i jego młodych kolegów. Niskiego wzrostu, wątlý, z twarzą przypominającą pysk jakiegoś małego drapieżnego zwierzątka, ni to tchórze, ni szczura, na której malowała się złość i nienawiść do wszystkiego, co ludzkie. Pomyślałem: „Nie daj Boże wpaść takiemu w łapy”. Prowadził przesłuchanie przy akompaniamencie usłużnego potakiwania mojego kuratora.

Nie mogę dokładnie przytoczyć treści przesłuchania, w którym pytania były obficie przeplatane wulgarnymi przekleństwami. Głównym tematem był mój stosunek do Malenkowa, a nie akty terrorystyczne, co mnie nieco zdziwiło. Według informacji agentów miałem powiedzieć, że Malenkow to „kanalia i sukinsyn”. Nie zaprzeczałem możliwości użycia przeze mnie takich epitetów. Przyszłe wydarzenia w dziejach partii i państwa radzieckiego mogły nadać tym epitetom proroczy charakter; mógłbym się wtedy pochwalić, że dawno przewidziałem, iż Malenkowa będą charakteryzowały podobne epitety. Klnąc wściekle pułkownik potępił mój stosunek do Malenkowa, który tyle uczynił dla zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami, a tu taka wdzięczność. Siedziałem z ponuro zwieszoną głową — co mogłem na to odpowiedzieć?

Następnie miał miejsce dialog, który mogę przytoczyć prawie dosłownie, takie wywarł na mnie wrażenie. — Wielu Żydów przeszkolił? — pytanie do śledczego. Ten usłużnie odpowiedział: — Nie, nie zdążył. — Wtrąciłem się: — Jak to nie zdążyłem: przez tyle lat pracy mogłem zdążyć. — Pułkownik: — Nazwiska współpracowników. — Wymieniłem Archangielską. Pułkownik: — Imię, patronimik? — Nadieżda Wasiliewna. — Pułkownik: — Żydówka! — Oniemiałem: — Archangielska Żydówką!? — Tak, tak, Żydówka. — Zwątpiłem: czyżby Archangielska była ukrytą Żydówką i nie wiedziałbym o tym znając ją dwadzieścia lat? Pomyślałem: „Rzeczywiście nie wygląda na rdzenną Rosjankę, nos ma garbaty, może naprawdę jest Żydówką i MGB o tym wie, a ja nie”. Pułkownik: — Dalej, nazwiska współpracowników. — Bieriozowska. — Pułkownik: — Imię i patronimik? — Jelena Konstantinowna. — Pułkownik: — Żydówka. — Znów osłupiałem: „Przecież jej mąż jest Żydem, a więc może ona też jest ukrytą Żydówką?”. Pułkownik: —

Kto następny? — Gornak. — Pułkownik: — Imię, patronimik? — Kaleria Aleksiejewna. — Pułkownik: — Żydówka. — Tu zrozumiałem, że przed moimi oczami rozgrywa się jakaś farsa, i nie zareagowałem na tę „Żydówkę”. Pułkownik: — Kto jeszcze? — Baranow. — Pułkownik: — Imię i patronimik. — Aleksiej Iwanowicz. — Pułkownik: — Żyd. — (Ojciec Baranowa, rdzenny moskwianin, przed rewolucją miał traktiernię na Placu Kałużskim) Powiedziałem więc: — Jeśli Baranow jest Żydem, to jedna z moich pracownic na pewno jest Rosjanką: Rachela Kogan. — Pułkownik: — Czy ciebie tu przywieźli, żebyś z nas kpił? (tu wulgarne przekleństwo). Zdradziłeś nas, kiedy proponowaliśmy ci współpracę, a teraz jeszcze sobie drwisz?! — Rzeczywiście, w mojej sytuacji pozostawało tylko kpić. Tego raczej moja rola nie przewidywała. Do dziś nie rozumiem sensu odegranej wówczas farsy ze współpracownikami Żydami.

Przeniesienie środka ciężkości moich przestępstw z terroryzmu na obrażanie Malenkowa stało się dla mnie zrozumiałe dopiero po ujawnieniu całej sytuacji podczas XX Zjazdu KPZR, ale o tym później. Intuicja powiedziała mi, że teraz moja wina polega na tym, że złżyłem Malenkowa, co również wedle kanonów tych czasów było przestępstwem. Dlatego niespodzianką był dla mnie finał „rozmowy” z pułkownikiem, kiedy rozkazał mojemu kuratorowi, by zdjął mi kajdanki.

Gubiłem się w domysłach, co to wszystko znaczy, dlaczego pułkownik zaszczycił mnie wizytą w biały dzień? Czy tylko po to, by wyjaśnić mój stosunek do Malenkowa? Przecież o tym wiedział mój śledczy. Zrozumiałem wszystko, dopiero gdy znalazłem się na wolności.

W głuchych ścianach więziennej celi nie mogłem wiedzieć tego, o czym wiedział pułkownik — że tego dnia chowano Stalina, że machina „sprawy lekarzy” kręci się już w przeciwną stronę, eksperci odwołują swoje oskarżenia. Wiedział, że na czele nowego rządu stoi Malenkow, i z służalczą gorliwością chciał mu się podlizać. Wersja o żydowskich nacjonalistach burżuazyjnych rozwiała się jak cuchnący dym, a pułkownik, który brał aktywny udział w jej spreparowaniu, tracił mnie jako jeden z podmiotów w tej sprawie. Trzeba więc było wykorzystać mnie w charakterze surowca do sporządzenia drugiego dania, może spodoba się ono nowemu szefowi rządu? Ale kalkulacje zawiodły,

danie utraciło już swój smak i pikantność razem „z kucharzem specjalistą od pikantnych dań”.

Uwolnwszy się od kajdanków, a jednocześnie od wszelkich utrudnień związanych z ich noszeniem, wróciłem do celi i natychmiast poprosiłem, by mnie ogolono. Zwykle goleniem zajmował się któryś z dozorców, wyposażony w maszynkę do golenia. W ślad za nim przyszedł do mnie „sklepik”, który zaopatrzył mnie w dodatkowe produkty — kielbasę, masło i herbatniki. Moje życie więźnia wróciło „do normy”, łącznie z okresowymi spacerami na betonowym poletku. Przyjąłem te wszystkie dobrodziejstwa, nie pojmując, czym sobie na nie zasłużyłem. Dlaczego pułkownik „smutno zaczął, a wesoło skończył” i przemienił swoją agresję w amnestię — nie mogłem tego pojąć, ale rozumie się, nie odrzuciłem tej „amnestii”.

W śledztwie również nastąpił przełom. Chociaż po rozmowie z pułkownikiem oficer poinformował mnie, że śledztwo będzie kontynuowane, ale znikła gdzieś uprzednia gorliwość. Były rozmowy na wolne tematy, kiedyś nawet wyłożyłem biologiczno-filozoficzne podstawy mojego optymizmu. Oficer „pracował”, ale bez uprzedniego natchnienia, bez ekspresji, jakby ktoś pozbawił go ideowego kręgosłupa. Jego nocne nieobecności wydłużały się, przybiegał nad ranem i na chybcika skrobał coś w rodzaju protokołu z przesłuchania na pół strony. Bez epitetów, bez koloryzacji — aż mi się potem nie chciało podpisywać takich protokołów.

Muszę przyznać, że niecierpliwie oczekiwałem na finał śledztwa, po którym niczego dobrego nie mogłem się spodziewać. Miałem nadzieję, że w najlepszym wypadku czeka mnie obóz koncentracyjny, gdzie mógłbym liczyć na to, że doczekam lepszych czasów. Była to bardzo radosna perspektywa. Ale zmiany, których oczekiwałem, przyniósł mi sam los.

Rozdział VII

Zwiastuny końca „sprawy lekarzy”. Wezwanie na Łubiankę 14 marca do generała, a 21 marca do komisji rządowej. Zdemonstrowanie oskarżeń. Przerwanie śledztwa.

Wieczorem 14 marca do celi wszedł dozorca więzienny, ale zamiast stałą trasą na przesłuchanie zaprowadził mnie na dół, do pokoju, w którym mnie tak gościnnie przyjęto po przybyciu do więzienia Lefortowskiego. Tu przywitała mnie znów owa miła lekarka i powtórzył się rytuał badania, ale już bez zaglądania do odbytu. Następnie wsadzono mnie do znajomej karety. Kiedy po długiej przejażdżce wyszedłem z „czarnej wrony”, od razu rozpoznałem podwórze Łubianki, z którego zaprowadzono mnie do boksu. Nawiasem mówiąc z tym stałym elementem architektonicznym trzeba czytelnika zapoznać bliżej i miejmy nadzieję, że ta znajomość ograniczy się tylko do literatury.

Boks to po prostu zwykła szafa, dokąd wpycha się aresztowanego po drodze dokądkolwiek, strzegąc go i idących w przeciwnym kierunku od przypadkowego spotkania z innym więźniem prowadzonym przez więzienne korytarze. Sygnał o zbliżającym się spotkaniu daje towarzyszący strażnik strzelając palcami (w Lefortowskim) lub postukując kluczem o sprzączkę od pasa (na Łubiance). Po rodzaju sygnału z zawiązanymi oczami więzień może rozpoznać, w jakim więzieniu się znajduje. Ten dźwięk to swoiste zakłócenie grobowej ciszy więzienia, nieodłączna jego część, świadectwo aktywności.

Wróćmy jednak do boksu (tym razem to nie była szafa, ale

komórka z ławeczką, na której można było usiąść). Siedziałem tu sam nie myśląc o tym, co mnie czeka. Zdawałem sobie sprawę, że nic dobrego nie może mi się przydarzyć. Za drzwiami boksu usłyszałem telefon, dyżurny powtórzył moje nazwisko, drzwi boksu otworzyły się i w towarzystwie strażnika pojechałem windą na któreś z wyższych pięter. Przeszliśmy przez niezliczoną ilość korytarzy i drzwi, w końcu wprowadzono mnie do gabinetu, gdzie na wprost drzwi, zwrócony do nich twarzą, za dużym biurkiem siedział krępy, siwy generał ubrany po cywilnemu. Od razu go poznałem; kiedyś w milczeniu przysłuchiwał się jednemu z moich przesłuchań. Przed biurkiem w fotelu z lewej strony rozparł się pułkownik o twarzy tchórza, który 9 marca przesłuchiwał mnie w dzień i udawał mi, że wszyscy moi współpracownicy to Żydzi. W głębi gabinetu w mroku przycupnął mój oficer śledczy (początkowo nawet go nie zauważyłem). Generał przywitał się ze mną niespodziewanie życzliwie: — Dzień dobry, Jakowie Lwowiczu! — W ten sposób lekarz wita w sanatorium nowego pacjenta, wyrażając swój szacunek do niego. Na jego powitanie odpowiedziałem lakonicznym: — Dzień dobry. — Byłem bardziej zaskoczony niż uradowany samą formą powitania, gdyż w tym budynku mogło to być tylko drwiące preludium do czegoś groźniejszego, zabawą w kota i myszkę. Zaniepokoiło mnie współczujące i życzliwe spojrzenie generała i słowa, z jakimi zwrócił się do pułkownika: — Dlaczego profesor tak wygląda? — Wstrząsnęło mną i słowo „profesor” w sytuacji, gdy byłem tylko wrogiem narodu, i ukryta nagana dla pułkownika, jeśli oczywiście nie był to żart. Rzeczywiście profesor nie wyglądał zbyt okazale: byłem ostrzyżony do gołej skóry, nieogolony, z wydatnym nosem na wychudłej twarzy. Miałem na sobie aresztancką koszulę bez guzików i marynarkę też bez guzików, spodnie trzymające się na jednym guziku. Czasem patrząc na swe odbicie w misce wypełnionej wodą, która zastępowała mi lustro, dochodziłem do wniosku, że nie mogę być ideałem męskiej urody. Na pytanie zadane pułkownikowi odpowiedziałem ze wzburzeniem: — Jaki wygląd? Na pewno odrażający, a jak powinien wyglądać żydowski terrorysta? — Jakby odpowiadając na moją replikę zawierającą tyle złości i urazy, generał zwrócił się do mnie mówiąc: — Jakowie Lwowiczu, proszę zapomnieć o śledztwie. Śledztwo to śledztwo i wszystko się może zdarzyć (w tych słowach wyczułem jakby usprawiedliwienie):

proszę mi szczerze powiedzieć, co zaszło. Proszę się nie bać żadnych konsekwencji, daję słowo, że bez względu na to, co powiecie, nie zastosujemy wobec was żadnych sankcji! — Nie zastanawiając się odparłem: — Nic się nie stało. Byli sami porządni ludzie, oddani radzieckiej ojczyźnie i sprawie, której służą. Jedyne, co się wydarzyło, to rozwarstwienie środowiska profesorskiego pod względem narodowości, które rozniecali i podsycali czarnosecińcy, niekiedy z legitymacjami partyjnymi. To oni przede wszystkim nakręcali atmosferę wrogości, przyczynili się do autentycznych cierpień profesorów żydowskiego pochodzenia, sprzyjali powstawaniu u nich poczucia przemocy i buntu, tym bardziej, że ci jeden po drugim byli z różnych powodów zwalniani z Instytutu. — Na to generał: — Ale przecież byli oni obywatelami radzieckimi? — na co z zapalem odpowiedziałem: — Oczywiście byli to znakomici pedagodzy i wybitni uczeni, którzy w swą pracę wkładali całe serce, wychowali tysiące lekarzy, a ich aktywna działalność naukowa w dużym stopniu przyczyniła się do znakomitej reputacji II Moskiewskiego Instytutu Medycznego jako najlepszej medycznej szkoły wyższej w ZSRR. — Dalej przytaczałem fakty dyskryminacji Żydów oskarżonych tylko z powodu narodowości o „żydowski nacjonalizm burżuazyjny”. Później padło pytanie o Wowsiego — co mogę o nim powiedzieć. Odpowiedziałem, że znam Wowsiego wiele lat i to co o nim wiem, nie ma nic wspólnego z żadną działalnością polityczną, ponieważ on zawsze trzymał się z daleka od tych spraw. Brak zainteresowania polityką wynikał z pewnych cech jego charakteru. Powiedziałem, że wiem o ciężkiej sytuacji, w jakiej znalazł się M. Wowski, który przyznał się do działalności terrorystycznej i szpiegowskiej. Niemniej to przyznanie jest zupełnie sprzeczne z moimi wyobrażeniami o Wowsim (w tym momencie pułkownik i generał wymienili spojrzenia). Dlatego też zupełnym zaskoczeniem był dla mnie komunikat z 13 stycznia 1953 roku, w którym przedstawiono Wowsiego jako lidera antyradzieckiej organizacji terrorystycznej, ponieważ ta rola zupełnie do niego nie pasowała. Poza tym w czasie II wojny światowej był naczelnym internistą w Armii Czerwonej i pierwszym organizatorem służby internistycznej w wojsku. Zadanie, jakie mu powierzono, świadczyło o zaufaniu władz do niego i o tym, że został sprawdzony pod względem politycznym; dlatego też wiadomość o dokonaniu przestępstw, do których się przyznał, spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

Wstrząsający był nie tylko charakter wykroczenia, ale fakt, że wiązano z nim M. Wowsiego.

Generała zainteresowała moja działalność anatomopatologa (w aspekcie przypisywanych działań przestępczych). Pokróćce opowiedziałem mu o zasadach i formach w stosunkach między anatomopatologiem i klinicystą, które wymagają od anatomopatologa szacunku dla pracy klinicysty. Sam nigdy nie przybierałem roli prokuratora, ponieważ zadaniem anatomopatologa jest wyjaśnienie istoty procesu chorobotwórczego i wyjaśnienie natury błędu lekarza, jeśli dopuścił się takiego, a nie oskarżanie uczciwego lekarza, który nie jest łobuzem i ignorantem. Poważne pomyłki popełniali wybitni klinicyści o światowej sławie i jeśli chciałbym ich o to oskarżać, przeciążyłbym organa sądowo-śledcze rezultatami swojej działalności.

Wszystko to opowiedziałem generałowi. Wysłuchał mnie życzliwie i z uwagą. Mówiłem szczerze, nie miałem nic do ukrycia. Wyłożyłem mu moje polityczne i zawodowe credo. Wydawało mi się, że mi współczuł. Tylko twarz pułkownika wyrażała całkowitą obojętność. Zresztą i tak nie zwracałem na niego uwagi czując, że nie on jest tu najważniejszy. Po pierwsze dlatego, że zganiono go za mój wygląd, po drugie z tego powodu, że w jego pozie znać było resztki służalczości. Zapytano mnie także o Izrael, ale w ogólnym kontekście było to pytanie drugorzędne. Pamiętam, że mój rozmówca nie przejawiał większego zainteresowania tym tematem: w tym czasie nie było to już takie ważne. Powiedziałem, że moje współczucia były oczywiście po stronie Izraela w okresie jego walki o niezależność.

Nie pamiętam już, jak długo trwał mój wzburzony „raport”. Zresztą nie powiedziałem w nim niczego nowego, czego bym nie powiedział w śledztwie. Nie było już literackiego ubarwiania zeznań w rodzaju „dzikiej złości”, „zwierzęcej nienawiści do radzieckiego ustroju” itd. W swą wypowiedź włożyłem wiele ekspresji; przecież broniłem nie tylko siebie, ale i radzieckiej medycyny, radzieckich Żydów i w ogóle zdrowego rozsądku. Wykorzystałem pozwolenie generała, bym mówił, co myślę, i nie przebieierałem w słowach. Zresztą nie miałem nic do stracenia...

Wysłuchawszy tego wszystkiego generał zadał mi pytanie, na które wydaje mi się, że sam znał odpowiedź: — No, a co z Ameryką? Były jakieś rozmowy? — Zrozumiałem, że chodziło mu

o mój stosunek do amerykańskiego stylu życia, do chęci zamieszkania tam. Wybuchnąłem i odpowiedziałem krótko: — Całe życie oddałem swojej ojczyźnie, moje córki należą do Komsomołu, a ja jestem komunistą i nigdy nie marzyłem o Ameryce.

Na tym nasza rozmowa się zakończyła. Generał zwrócił się znacząco do pułkownika: — No cóż, wydaje mi się, że wszystko jest jasne (było to i pytanie, i stwierdzenie). Pułkownik odpowiedział: — Tak, jasne.

Generał powiedział do mnie: — Jakowie Lwowiczu, zatrzymamy was, żebyście napisali wszystko, o czym tu mówiliście — i pożegnał się ze mną. Kiedy wychodziłem z gabinetu w towarzystwie kapitana i mijałem pułkownika, ten zwrócił się do mnie: — No proszę, do tego jeszcze kajdanki! — Były to jakby przeprosiny za kajdanki, które widocznie założono mi z jego rozkazu. Spoglądając na niego z góry, nie tylko dlatego, że ja stałem, a on siedział, ale też dlatego, że chciałem dać mu odczuć całą swoją pogardę, powiedziałem: — Każdy posługuje się swoją techniką: ja mam mikroskop, a wy kajdanki. Tylko że z ich pomocą niczego nie osiągnęliście. — Z mieszanymi uczuciami opuściłem gabinet, bardziej czując niż uświadamiając sobie, że stało się coś ważnego, jakiś zasadniczy przełom, że w tę fantasmagorię wdarł się zdrowy rozsądek.

Wszystko, co się potem wydarzyło, pamiętam jak przez mgłę, straciłem poczucie czasu. Znalazłem się w obszernym pomieszczeniu bez okien w kształcie nieforemnego trapezu z niewysokim sufitem. Pośrodku celi stało łóżko, stół ze zwykłym więziennym wyposażeniem i krzesło. Miałem takie wrażenie, że nie jest to standardowa cela, a jakieś pomieszczenie piwniczne, spieszenie przygotowane na przyjęcie niespodziewanego więźnia na krótki okres. Na stole leżało kilka kartek papieru podaniowego, pióro i atrament. Jednakże nie byłem w stanie natychmiast przystąpić do literackiego opracowania mojego „raportu” przed generałem. Byłem jednocześnie wyczerpany nocnymi wydarzeniami i podniecony do granic. Zastukałem do drzwi. Zjawił się dozorca, któremu powiedziałem, że nie mogę teraz pisać, że muszę odpocząć i żeby pozwolili mi się przespać w dzień (był już dzień). Dozorca wrócił po chwili z pozwoleniem. Ale nie mogłem spać, podniecenie było silniejsze od zmęczenia i musiałem dać mu upust. Zabrałem się do pisania, zapętniałem stronicę jedna za drugą (wyobrażam sobie, ile się namęczyli,

by odczytać te bazgroły). Zapiisałem wszystkie kartki, których nie dano mi zbyt wiele, nie przewidując ataku grafomanii. Zapamiętałem zdziwioną i niezadowoloną zarazem minę dozorca, kiedy poprosiłem o papier. Widocznie przywykli tu do literackiej lakoniczności protokołów i wyroków. Nie pamiętam już dokładnie, co napisałem na osiemnastu stronicach mojego „reportażu”, ale przede wszystkim to, o czym mówiłem generałowi. Wspomniałem także o roli, jaką w całej tej historii odegrali niektórzy kierownicy II Moskiewskiego Instytutu Medycznego, i nazwałem ich czarnosecińcami i łajdakami.

Napisałem także o ogólnej sytuacji w więzieniu, o pozbawianiu więźniów snu, o kajdankach i wykręcaniu rąk przy nakładaniu ich, o wymuszaniu fałszywych zeznań i moim sprzeciwie, o „literackim” opracowaniu protokołów dotyczących błahych i nie mających żadnego znaczenia faktów. Wszystkie zapisane przeze mnie kartki oddałem dozorca i nie wiem, co się z nimi stało.

Miałem nadzieję, że w ślad za tym reportażem nastąpi moje zwolnienie. Dlatego też byłem bardzo rozczarowany i zaniepokojony, kiedy następnego dnia zapakowano mnie do „czarnej wrony” i znalazłem się znów w mojej celi w więzieniu Lefortowskim. Czyżby to wszystko było kolejną inscenizacją pomysłowych „organów?!”. Znane było ich zamiłowanie do dziecięcych zabaw w kotka i myszkę z banalnym finałem dla myszki i wielką twórczą różnorodnością, jaką do tej gry wnosił kotek. A może byłem tylko łatwowierną myszką? Jednakże takie myśli w tym momencie wymagały skrajnego sceptycyzmu, a ja nie mam go ani odrobiny. Wszystko wypadło zbyt naturalnie. Obawy jednak utrzymywały się, chociaż na lefortowskim południku nastąpiła zasadnicza zmiana klimatu, co powinno uwolnić mnie od sceptycyzmu. Przede wszystkim skończyły się przesłuchania. Początkowo każdego wieczoru czekałem na nie o zwykłej porze, ale godziny mijały, słychać było sygnał do snu, a wezwanie na przesłuchanie nie następowało. Zachowywałem się jak pewien bardzo nerwowy człowiek, którego sąsiad, kładąc się do łóżka, z łoskotem zrzucał z nóg buty, a neuraastenik nie mógł zasnąć, dopóki sąsiad nie zdjął obuwia. Zupełnie odzwyczaiłem się od snu. Wiedziałem, że wezwanie na Łubiankę miało jakieś znaczenie i coś powinno z tego wyniknąć. Nie ma żadnej możliwości przeniknięcia w mechanizm przełomu i upewnienia się, że rzeczywiście miał on miejsce, jeśli się nie zna konsekwencji.

Ale w dalszym ciągu znajdowałem się w ciężkim więzieniu, odizolowany od świata zewnętrznego. Nie miałem nawet kontaktu z dozorcami, którzy przedtem zaglądali do mnie trzy razy dziennie, żeby zdejmować i zakładać kajdanki, a czasem i częściej, gdy naruszałem rygory panujące w więzieniu. Nie spotykałem się już z oficerem śledczym, zniknął gdzieś, wspólne rozmowy skończyły się, chociaż zawsze oczekiwałem na nie w takim stanie emocjonalnym, w jakim skazany oczekuje na nieuniknioną egzekucję.

Jak się dowiedzieć, co się dzieje? Zdecydowałem się na wybieg. Stukaniem w drzwi wezwałem strażnika i powiedziałem mu, że potrzebuję okularów, a pozwolenie na noszenie okularów może wydać tylko oficer śledczy — mój pan i władca, jak mnie poinformował na pierwszym spotkaniu. Dozorca powiedział, że przekaże oficerowi moją prośbę. Na wszelki wypadek powiedziałem strażnikowi, że poza prośbą o okulary (o tym mogli zdecydować bez oficera), chciałbym zobaczyć się z przesłuchującym, w celu złożenia dodatkowych wyjaśnień. Spokojnie czekałem na wezwanie najbliższego wieczoru, ale nikt po mnie nie przyszedł. Dopiero następnego dnia zjawił się strażnik mówiąc, że oficer chce ze mną rozmawiać. Zastałem go na zwykłym miejscu, siedział za biurkiem w płaszczu, jakby wpadł tylko na chwilę, przerzucał jakieś papiery, niektóre darł i wrzucał do kosza. Powitał mnie z nieprzyjemną miną i podkreślił, że to nie on mnie tu wezwał, ale sam domagałem się tego spotkania i żebym łaskawie o tym pamiętał. Zrozumiałem w tym momencie, że nie jest on już moim śledczym, że nie jestem mu już więcej potrzebny i że jego rola jako mojego „kuratora” skończyła się. Najdobitniej świadczył o tym fakt, że w mojej obecności porządkował szuflady biurka, pozbywając się niepotrzebnych dokumentów. Wszystko to odebrałem jako niezwykle ważne potwierdzenie zaistniałych wydarzeń. Następnie zapytał mnie, czy czegoś potrzebuję. Nie on ode mnie, ale ja od niego! Zamiana ról także była ważnym rysem. Powiedziałem mu, że znajduję się w ciężkim stanie psychicznym, na granicy psychozy, że nie rozumiem, co się wydarzyło, dlaczego przerwano śledztwo i czym mi to grozi. Do dziś z wdzięcznością wspominam jego odpowiedź; nie myliłem się, miał on zadatki na człowieka, do tego niegłupiego i bystrego. Ze złością skarcił mnie za jakąś rzekomą nieprawidłowość co do jego roli w moim „reportażu”, z czego zrozumiałem, że czytał moje sprawozdanie, że oberwało mu się od kierownictwa za

ubarwianie moich zeznań i że bardziej wierzono mnie niż jemu. Był to także powiew świeżego wiatru z Łubianki. Potem przyjął zwykły w ostatnich dniach życzliwy i wesoły ton i powiedział, że wkrótce znów zostanie wezwany na Łubiankę i wszystko dobrze się skończy. Byłem mu za to głęboko i szczerze wdzięczny! Zachował się prawie jak człowiek! Oczywiście wydał także zezwolenie na okulary.

Wróciłem do celi jeszcze bardziej zdezorientowany. Czyżby to wszystko było prawdą? Serce może pęknąć w oczekiwaniu na szczęśliwe zakończenie. Nie byłem już półproduktem w fabryce trupów na Łubiance, znów mogłem być żywym człowiekiem. Nic dziwnego, że nie mogłem spać. Kiedy wyobrażałem sobie różne warianty finału, nie marzyłem nawet o możliwości rehabilitacji, nie zdarzało się to mieszkańcom więzienia Lefortowskiego, tym bardziej, że wedle stalinowskiego prawa nie byłem zupełnie niewinny: ubliżałem Malenkowowi (chwała Bogu, że nie Stalinowi, bo na pewno zostałbym rozstrzelany), potwierdzałem występowanie przypadków nieprawidłowego traktowania Żydów. Dlatego też myśląc o optymalnych wariantach zakończenia wybierałem tylko miejsca zesłania i najczęściej zatrzymywałem się w mieście Guriowie (nie wiem dlaczego). Jedno tylko dobrze pamiętam! Wiedziałem o hałasie, który zrobiono na całym świecie wokół „sprawy lekarzy”. I jeśli ktoś zaproponowałby mi wybór — wyjazd za granicę czy zesłanie — nie miałem wątpliwości: wybrałbym zesłanie, z którego mógłbym powrócić do życia w moim kraju, kiedy sytuacja się zmieni, a w to, że zmiana nastąpi, nie wątpiłem. Trzeba było tylko tego dożyć. Emigrantem, do tego przymusowym, nie chciałem zostać, mając na względzie porewolucyjnych emigrantów i ich ciężkie życie. Cóż to za paradoks epoki stalinowskiej — „przestępca” w marzeniach sam wybiera zesłanie za czyn, którego nie popełnił! Były to majaczenia fantazji, które mogły narodzić się tylko w pojedynczej celi!

Po pełnych napięcia pojedynkach słownych w czasie nocnych przesłuchań, w oczekiwaniu na tragiczny koniec, po wstrząsającej nocnej rozmowie na Łubiance, po powrocie do celi, spotkaniu z oficerem śledczym i jego optymistycznym zakończeniu nastąpiły szare dni więziennego reżymu, którego nie zakłócały żadne ekscesy. Więzień stał się „rzeczą samą w sobie”, nikomu niepotrzebną, pozostawioną swemu własnemu światu, którego spokój zakłócano

kilka razy dziennie, kiedy o określonych porach wdzierał się reżym: pobudka, poranna herbata, obiad, kolacja, sen. Długie dni wypełniałem czytaniem na głos dawno znanych mi książek i wierszy, a czasem wsłuchiwałem się w milczeniu w dźwięki muzyki, które zachowałem w pamięci.

Pewnego razu usłyszałem nie znany mi do tej pory stukot wózka, który zatrzymał się pod drzwiami celi. Nagle otworzyło się okienko, przez które zwykle podawano strawę cielesną, i ukazała się w nim ręka trzymająca dwie książki. To podjechała biblioteka, która dostarczała więźniom strawy duchowej — wzruszająca troska pracowników więzienia o stan moralny aresztantów. Z chciwością rzuciłem się na to duchowe wsparcie. Książki w większości były bardzo ciekawe — dzieła klasyków i utwory niektórych pisarzy radzieckich nie znane mi do tej pory. Zwróciłem uwagę na dość nieoczekiwany jak na więzienie asortyment książek i ich wygląd zewnętrzny. Asortyment świadczył o wysokim smaku literackim, nie spodziewanym u więziennego bibliotekarza, a i szata graficzna książek była często bardzo atrakcyjna. Zdziwiło mnie również to, że wśród książek wsuwanych przez okienko nie było literatury politycznej, która, zdawałoby się, była konieczna w celu wychowania lefortowskich lokatorów.

W taki sposób w więzieniu Lefortowskim uzupełniałem swoją erudycję. Szczególnie zapamiętałem spotkanie z polską pisarką Marią Konopnicką. Wstyd się przyznać, ale nie znałem do tej pory tej wspaniałej kobiety oraz znakomitej pisarki i poetki. Dosłownie zakochałem się w niej, jak w człowieku o bratniej duszy, i w jej twórczości. Nauczyłem się na pamięć wielu jej wierszy, a do niektórych wymyśliłem nawet melodię jak do romansu czy hymnu (nie odważyłbym się ich zaśpiewać nawet w pojedynczej celi). Po wyjściu na „wolność” moje pierwsze kroki skierowałem do antykwariusza i kupiłem tomik jej wierszy, który w mojej bibliotece zajął honorowe miejsce.

Oczywiście nie było mowy o wyborze lektury, odbywało się to zgodnie z zasadą, „bierz, co dają”. Kiedyś poprosiłem bibliotekarza przez okienko, żeby zamienił książkę na inną, bo tę już czytałem. Zapytał: — Gdzie czytałeś? Tutaj? — Odpowiedziałem: — Nie, w domu. — No to tutaj przeczytasz. — Dla niego książka była odpowiednikiem pożywienia; całkiem możliwe, że strawę cielesną i duchową rozwoził ten sam karmiciel.

Zakratowane okienko pod sufitem celi wychodziło na wschód. Nastaly słoneczne marcowe dni i o świetle sufit celi oświetlały promienie słońca, zataczały po nim krąg, by zniknąć w przeciwnym kącie. To był prawdziwy „promień światła w mrocznym królestwie”.

I tak mijał dzień za dniem aż do 21 marca, kiedy po porannym spacerze czekała na mnie „czarna wrona”, którą zawieziono mnie na Łubiankę. Znow korytarze i korytarze ozdobione boksam, z krótkimi „odpoczynkami” w niektórych z nich; w końcu wprowadzono mnie do sali, gdzie bez szczególnego porządku siedziało, częściowo przy stołach, a częściowo na fotelach, dziesięć — dwanaście osób w cywilnych ubraniach. W centrum tej grupy za stołem zasiadał pułkownik ze znaczkim „Honorowy czekista” na piersi. Przewodniczył on zebraniu, ale nie było to zwykłe zebranie prowadzone zgodnie z szablonowym planem: wystąpienia, pytania, końcowe uwagi przewodniczącego itd. Była to swobodna rozmowa z przestępcą, w której brali udział bez żadnych ograniczeń wszyscy obecni oraz oskarżony.

Rozmową kierował pułkownik (wydaje mi się, że nazywał się Kozłow) i nadawał jej ogólny kierunek. Nie pamiętam już, od czego zaczęła się rozmowa, ale chyba od tego, że pułkownik zwrócił się do mnie „z prośbą”, bym opowiedział o wszystkim, co ma związek z moim aresztowaniem i ze śledztwem. Powiedziałem o moim oburzeniu spowodowanym przejawami dyskryminacji, której byłem świadkiem i obiektem, o znanych mi licznych wypadkach, kiedy zdolnym ludziom odmówiono przyjęcia do pracy na wyższych uczelniach. Dla przykładu przytoczyłem historię z zatrudnieniem w moim laboratorium na stanowisku młodszego asystenta mojej bardzo zdolnej uczennicy T. Iwanowskiej (dziś jest wybitną uczoną, profesorem, szefem katedry anatomopatologii w II Moskiewskim Instytucie Medycznym). Jej panińskie nazwisko brzmiało Maruches. Ojciec był ochrzczonym Żydem, który ożenił się z chrześcijanką. Przed rewolucją zawieranie małżeństw między Żydami i chrześcijanami było zabronione i jeden z wstępujących w związek małżeński (Żyd) musiał przejść na chrześcijaństwo. Kierownik działu kadr — profesor Ziłow — zwrócił uwagę na jej panińskie nazwisko, które zdradzało żydowskie pochodzenie, i z uporem odmawiał przyjęcia jej do pracy. Ale okazało się, że Iwanowska została ochrzczona zaraz po urodzeniu i miała świa-

dektwo chrztu wydane przez proboszcza. Dowiedziawszy się o tym pikantnym szczególe namówilem Iwanowską, mimo jej sprzeciwu, żeby zaniósła Ziłowowi ten dokument i przekazała mu, że prosiłem o włączenie go do akt personalnych. Ziłow zmieszał się i powiedział, że ten dokument nie jest mu do niczego potrzebny, niemniej następnego dnia Iwanowską przyjęto do pracy. Przytoczyłem również wiele innych przykładów potwierdzających fakt dyskryminacji obywateli żydowskiego pochodzenia przy przyjmowaniu ich do pracy na wyższych uczelniach i przy redukcji etatów, co budziło moje oburzenie jako komunisty internacjonalisty. Rozmowa na ten temat była bardzo ożywiona, wzięło w niej udział wielu z obecnych, padały różne opinie, ale kiedy okazało się, że trudno zaprzeczyć faktom, wtedy pułkownik zadał mi zasadnicze pytanie: — Czy uważacie, że to pozytywne zjawisko, iż w niektórych instytutach 50% pracowników to Żydzi? — Odpowiedziałem mu na to: — Gdyby mnie zapytano, czy uważam, że to dobrze, iż są instytuty, w których 50% pracowników to idioci, odpowiedziałbym, że to nie-dobrze, lecz ja zawsze starałem się oceniać pracowników tylko z punktu widzenia ich przydatności nauce. — Dodałem jeszcze, że sprawa pochodzenia pracowników naukowych zaczęła się w momencie wprowadzenia wysokich stawek wynagrodzenia; do tej pory nikt nie liczył Żydów. Ja sam po skończeniu instytutu medycznego wybrałem mało dochodową specjalność teoretyczną; moja pensja asystenta wynosiła 27 rubli miesięcznie i w tym czasie moja narodowość nikogo nie interesowała oprócz tradycyjnych antysemitów, jacy zdarzali się w gronie profesorskim.

Kontynuując rozmowę opowiedziałem o epizodzie z wydaniem podręcznika histopatologicznej diagnostyki nowotworów i wykluczeniem mnie i profesora Szabady z zespołu autorskiego. Ze szczególnym wzburzeniem opowiadałem o drwinach, na jakie byli narażeni chłopcy i dziewczęta podczas egzaminów wstępnych do szkół wyższych, które oblewali wśród szyderstw egzaminatorów. Nie zapomniałem również powiedzieć o lekcji geografii w szkole, do której chodziła moja młodsza córka, kiedy to zarzucono jej antypatriotyzm i służalczość wobec Ameryki. Zebrani żywo reagowali na moje opowiadanie, utwierdzając mnie w tym, bym nie zwracał uwagi na wystąpienia „jakieś idiotki”.

Ogólnie próbowali przekonać mnie, że moje wypowiedzi nie są zasadne, a fakty świadczące o dyskryminacji były przypadko-

we. Wszystko to odbywało się w formie luźnej rozmowy. Było to dla mnie wstrząsające. Nie wiedziałem, w jakim towarzystwie się znajduję, w jakim celu zgromadzili się zebrani i jaki będzie efekt końcowy. W swej naiwności myślałem, że to proces i byłem mile zaskoczony sądem, w którym oskarżony był jednocześnie stroną demaskującą, a sędziowie stroną przekonującą, dążącą do tego, aby upewnić oskarżonego, że się myli, zmienić jego nastawienie do omawianych problemów. Ponieważ z powodu uporu oskarżonego owe próby spełzły na niczym, a szczególną zapalczywość przejawiałem opowiadając o dyskryminacji młodzieży żydowskiej, przewodniczący zebraniu pułkownik spróbował mnie „ugadać” słowami: — Dlaczego tak się martwicie o żydowską młodzież? Przecież wychowano was w kulturze rosyjskiej i waszym językiem ojczystym jest rosyjski? — Zrozumiałem, że był to życzliwy gest, który miał mnie nakierować na przyjęcie ogólnej linii w „problemie żydowskim”, nawrócenie na „chrześcijaństwo”; był to kij podany mi, bym wyciągnął się z cuchnącego bagna „żydowskiego nacjonalizmu burżuazyjnego”. Ale obstawałem przy moim prawie do oburzenia się na niesprawiedliwe i raniące serce postępkę wobec żydowskiej młodzieży. W sumie do tego pomocnego kija odniosłem się z rezerwą.

Trzeba powiedzieć, że w tym czasie nie miałem zbyt jasnego pojęcia, co to takiego „żydowski nacjonalizm burżuazyjny”, i utożsamiałem go z syjonizmem. Dopiero później dowiedziałem się, że w Związku Radzieckim Żydzi nie mieli prawa jawnie szczycić się wybitnymi przedstawicielami swojego narodu — uczonymi z różnych dziedzin nauki, kompozytorami, malarzami itd., że to właśnie jest przejawem „żydowskiego nacjonalizmu burżuazyjnego”. Żydzi nie mieli prawa do dumy z tych przedstawicieli swojego narodu, którzy brali udział w walce rewolucyjnej o zasadniczą przemianę stosunków społecznych na ziemi; to również był przejaw „żydowskiego nacjonalizmu burżuazyjnego”. Żydzi nie powinni zaznaczać swego udziału w śmiertelnym starciu z faszyzmem podczas II wojny światowej, szczycić się swoimi bohaterami od żołnierza do pułkownika, albowiem to przejaw „żydowskiego nacjonalizmu burżuazyjnego”. Radzieckim Żydom odebrano prawo do otwartego wyrażania swojego szacunku dla bezprzykładnego bohaterstwa w walce z faszystami w warszawskim getcie. Nawet *Pamiętnik Anny Frank*, który był wydany we wszystkich krajach świata, z dużym

opóźnieniem ukazał się u nas i natychmiast na zawsze zniknął z księgarni. Inaczej mówiąc Żydom, jako szczególnej grupie etnicznej, odmówiono tego prawa, z którego korzystają wszystkie narody na ziemi, prawa do posiadania własnych bohaterów i szczytowania się nimi — bo traktowano to jako „żydowski nacjonalizm burżuazyjny”.

Dzięki mojemu wychowaniu wchłonałem całą potężną kulturę rosyjską — literaturę, poezję, malarstwo, muzykę, dramat. Wypełniła ona całe moje życie duchowe i fizyczne, które było produktem tej kultury, i tak samo jak ogół żydowskiej inteligencji podzielałam uzasadnioną dumę całego narodu radzieckiego, z tego dziedzictwa. Ale dlaczego wszystkie narody Związku Radzieckiego, oprócz Żydów, mogły być otwarcie dumne ze swoich przodków? Chciałbym mieć do tego prawo, ale jestem z pochodzenia Żydem i przez całe życie przypomina mi się o tym jak o poniżającym fakcie. Uważam, że byłoby sprawiedliwe, żeby wkład Żydów w rozwój naszej wielonarodowościowej ojczyzny, oczywiście bez szczególnego podkreślania i afiszowania, nie był przemilczany i żeby nie uważano go za „żydowski nacjonalizm burżuazyjny”. Duma to najwyższe poczucie godności zarówno indywidualnej, jak i społeczno-narodowościowej. Oczywiście nie ma to nic wspólnego z chwaleniem się, a tym bardziej z cwaniacką pychą.

Kiedy już omówiliśmy „problem żydowski”, zapytano mnie o Wowsiego, co mogę o nim powiedzieć. Powiedziałem to wszystko, o czym rozmawialiśmy z generałem nocą 19 marca, rozszerzywszy nieco ową charakterystykę.

Ogólnie „sąd” wywarł na mnie wrażenie wyjątkowo korzystne, tak bardzo kontrastował z uprzednim przeświadczeniem o procedurze sądów w tym budynku. Zupełnie nie czułem się jak oskarżony i z „sędziami” rozmawiałem jak równy z równymi. Dopiero później, kiedy wyjaśniło się wiele okoliczności związanych z likwidacją „sprawy lekarzy”, zrozumiałem, że nie był to proces, lecz rządowa komisja powołana w celu przeglądu materiałów dotyczących owej sprawy sfabrykowanej w MGB; celem komisji była oczywiście likwidacja tej brudnej sprawy. Powołanie komisji stanowiło jedną z pierwszych decyzji nowego rządu ZSRR, który zastąpił reżim stalinowski; pierwszym krokiem na drodze do likwidacji następstw terroru stalinowskiego i przywrócenia normalnego życia radzieckich obywateli.

Po zebraniu miałem wrażenie, że nie wychodzę jako oskarżony, chociaż nie ogłoszono żadnej uchwały ani postanowienia co do rezultatów naszej rozmowy. Musiałem opuścić salę bez jakiegokolwiek formalnego zakończenia sprawy czy decyzji co do mojego w niej udziału. Sądząc po ogólnej atmosferze panującej podczas dyskusji miałem wrażenie, że perspektywa nie powinna być mroczna; wynikało to również z końcowej wypowiedzi pułkownika. Niemniej zadałem mu pytanie: — Czy powrócę do radzieckiego społeczeństwa jako obywatel radziecki? — Odpowiedział mi na to: — To zależy tylko od was, jak potraktujecie wszystko to, co się wydarzyło. — Tę nieoczekiwaną odpowiedź można było interpretować i rozszyfrować na różne sposoby. Co mogła ona oznaczać? Więzienie, zesłanie do obozu koncentracyjnego czy odosobnienie w celu zrewidowania swoich poglądów? Zgodnie ze stalinowskimi normami myśl o wolności była czymś zupełnie nieprawdopodobnym, fantastycznym. Przecież nie wiedziałem, że nadszedł już koniec tych norm. Przez następne dni próbowałem odgadnąć, co pułkownik miał na myśli, ale na odpowiedź trzeba było czekać uzbroiwszy się w cierpliwość.

Jeszcze dwa razy spotkałem się przelotnie z pułkownikiem. Nie pamiętam dokładnie gdzie, ale wydaje mi się, że w więzieniu Lefortowskim, dokąd wróciłem po „procesie”. Podczas jednego z tych spotkań pułkownik powiedział mi, żebym napisał o tym, iż zawsze byłem obywatelem radzieckim. Nie skonkretyzował tego zadania, rzucił to hasło jako temat wolny: „sami wiecie, co trzeba napisać”. Domyśliłem się, że jest to potrzebne do mojej rehabilitacji, i pokrótce napisałem o swojej pracy naukowej i pedagogicznej, o satysfakcji, jaką z tego czerpałem, i o tym, że tę szczęśliwą możliwość otworzyła przede mną władza radziecka. W czasie drugiego spotkania otrzymałem listę z nazwiskami kilku osób, z propozycją, bym pokrótce na piśmie odżegnał się od zeznań, które na temat tych osób złożyłem podczas śledztwa. W spisie figurowały nazwiska, które nawet nie padły w czasie śledztwa; poza tym w ogóle nie składałem zeznań oczerniających kogokolwiek. Ale nie dyskutowałem i wypełniłem zadanie, ponieważ rozumiałem, że tak będzie najlepiej dla rehabilitacji tych osób.

Czekałem. Nie mogę powiedzieć, że byłem cierpliwy, ale nie miałem innego wyjścia. Płynęły „przejrzyste” dni wypełnione czytaniem książek, w które zaopatrywała mnie więzienna bibliote-

ka. Napięcie nerwowe w oczekiwaniu na rozwiązanie ani na chwilę mnie nie opuszczało. Nasilało się szczególnie podczas bezsennych nocy, które stały się przyzwyczajeniem. Kiedyś, a było to pod koniec marca albo w pierwszych dniach kwietnia, w dzień przyszła do celi młoda i dość miła lekarka w towarzystwie strażnika, o którym wspomniałem wcześniej, że w granicach swoich profesjonalnych możliwości przejawiał ludzkie odruchy. Często namawiał mnie, bym spróbował zasnąć, widząc, jak się męczę po nocach zamiast wykorzystać czas przeznaczony na odpoczynek. Pomyślałem, że to on wezwał do mnie lekarkę (okazało się, że była neurologiem) mając na względzie mój stan psychiczny, ale widocznie jej wizyta była podyktowana czym innym. Wszedłszy do celi zwróciła się do mnie z pewną nonszalancją: — Na co się skarżymy? — Odpowiedziałem jej: — Moja dolegliwość pozostaje poza waszymi kompetencjami i możliwościami. — Nic nie odpowiedziała na to i przyjąwszy oficjalną minę przystąpiła do elementarnego badania neurologicznego wedle skróconego programu klinicznego. Podprowadziła mnie do okna sprawdzając reakcję źrenic na światło, po czym zadała pytanie: — Czy chorowaliście kiedyś na syfilis? — Odpowiedziałem jej pytaniem na pytanie: — A co, reakcja źrenic na światło nie jest jednakowa, występuje anizokoria? — Odpowiedziała twierdząco. Wyjaśniłem jej, że od trzydziestu lat codziennie po wiele godzin patrzyłem w mikroskop (głównie lewym okiem) i to na pewno jest przyczyną niejednakowej reakcji źrenic, a nie syfilis, na który nigdy nie chorowałem. Poprosiłem, żeby przepisała mi środek na sen. Lekarka zapytała mnie, czy mi to pomaga, i obiecała zatroszczyć się o lekarstwo. Słowa dotrzymała, od tej pory bowiem dostawałem codziennie po dwie tabletki nasenne.

Później, kiedy wyszedłem z więzienia i zapoznałem się z różnymi okolicznościami, zrozumiałem cel jej wizyty, która przypominała oględziny w komendzie wojskowej niedługo przed aresztowaniem. Celem pierwszego badania było określenie stopnia mojej fizycznej zdolności do aresztowania i uwięzienia. Natomiast celem drugich oględzin było z pewnością stwierdzenie stopnia mojego fizycznego i psychicznego przygotowania do opuszczenia więziennych murów. Czy stan mojego zdrowia nie będzie kompromitujący dla sytuacji, w której się znalazłem, tym bardziej, że w komunikacie mówiono o środkach oddziaływania na aresztowanych lekarzy, „surowo zakazanych przez prawo”.

Rozdział VIII

Zwolnienie. Komunikat rządowy o likwidacji „sprawy lekarzy”. Reakcja w świecie na tę wiadomość.

W końcu nastąpił niezapomniany wieczór 3 kwietnia. Zmierchało się. Siedziałem w celi na łóżku i z zainteresowaniem czytałem jakąś książkę. Tytuł i autora szybko zapomniałem; widocznie późniejsze wydarzenia zatępiły te informacje. Pamiętam tylko, że kiedy strażnik wtargnął do celi, z żalem oderwałem się od lektury. Wpadł jak meteoryt, w pośpiechu i podnieceniu kazał mi szybko spakować rzeczy do opuszczenia więzienia, pomagał mi przy tym, żeby było szybciej. Przyniósł poszewkę z moimi rzeczami, które zabrano mi podczas aresztowania, i zaczęliśmy pakować do niej resztki zapasów żywności, mydło, szczotkę do zębów. Wśród resztek jedzenia był kawałek wędzonej kielbasy, paczka ciastek, pół bochenka razowego chleba, kilka cebul. Cały ten gastronomiczny zbytek kupiłem jako dodatkowy przydział w „sklepiku”, który zajeżdżał do celi raz na dziesięć dni. Prawo do korzystania z usług sklepu przywrócono mi po zdjęciu kajdanek 9 marca i po zmianie mojej sytuacji dyscyplinarnej. Dozorca nie miał pojęcia o moich dalszych aresztanckich losach. Na pewno jednak nie przypuszczał, że wychodzę na wolność; widocznie jego doświadczenie z więzienia Lefortowskiego mówiło mu, że takie rzeczy się nie zdarzają. Na moje pytanie, czy mam zabrać chleb, odpowiedział: — Wszystko zabieraj, zabieraj, tam ci się wszystko przyda.

Zebrawszy skromny aresztancki dobytek zeszliśmy na dół, gdzie

odbyła się procedura wymiany więziennej bielizny na moją osobistą, którą zabrano mi przy przyjmowaniu mnie do tego sanatorium. Efekt przebywania w nim szybko się ujawnił, kiedy się przebierałem w swoje ubranie. Wisiało ono na mnie jak na wieszaku (jak się później okazało, schudłem w więzieniu czternaście kilogramów). Skwitowałem to słowami: — Zgubiłem tutaj brzuch — na co towarzyszący mi strażnik zareplikował: — O, to, to, nie trzeba jeździć do kurortów. Zachciało się dobrego życia!

Wszystkie przygotowania świadczyły o tym, że opuszczam więzienie Lefortowskie i swoją „przysłanną” celę bezpowrotnie, a przynajmniej na pewien czas. Rozstając się z celą byłem pełen mieszanych myśli. Miałem jakieś dziwne, nieokreślone uczucie. Było ono bardzo skomplikowane i składało się na nie wiele elementów: ciężkie przeżycia wewnętrzne w czasie przebywania w celi, wiele różnorodnych wrażeń, które nagromadziły się podczas pobytu w tym „martwym domu”, niepewność tego, co mnie teraz czeka. Na to skomplikowane uczucie składał się jeszcze jeden element, dziwny na pierwszy rzut oka — dławiące uczucie przy pożegnaniu z miejscem, gdzie niewątpliwie zostawiłem jakąś część swej duszy i serca. Przecież wszystko, co przeżyłem tutaj, w tej ciasnej celi, z trudem mogło pomieścić się w jednym życiu. Ale tutaj naturalny cykl poszedł w innym kierunku: od widma nieuniknionej gwałtownej śmierci, poprzez całe nierealne piekło, do powrotu ku życiu, jeszcze złudnego, ale już świtającego. Z całą tą gamą uczuć wcisnąłem się do pionowej skrzynki „czarnej wrony” przy świetle odchodzącego dnia. Jego realne światło, a nie to odgadywane w celi, jakby oświeślało trwożną nadzieję, z którą pogrążyłem się w wewnętrznym mroku „czarnej wrony”.

Wyszedłem z niej na znajomym podwórzu Łubianki, skąd trafiłem do znajomego holu, a stamtąd do komórki. Minęło trochę czasu, nie wiem ile, odliczało go tylko gorączkowe bijące serce. Na korytarzu zadzwonił telefon, usłyszałem swoje nazwisko wypowiedziane przez dyżurnego. Drzwi komórki otworzyły się i kapitan z nieco posępną, ospołą twarzą, wezwał mnie na przesłuchanie. Przy tym dyżurny komendant troskliwie poradził mi, żebym skorzystał z toalety na dole, ponieważ przesłuchanie może się przeciągnąć do piątej rano, a skorzystać z toalety na górze będzie trudno. Widocznie tylko nieliczni pracownicy Łubianki znali prawdziwy powód mojego przybycia i wezwania. W towarzystwie

dziobatego kapitana pojechałem windą na któreś z wyższych pięter, po czym wprowadzono mnie (kapitan został za drzwiami) do przestronnego gabinetu, gdzie przy wejściu powitał mnie krępy, tęgi, szpakowaty generał: — Dzień dobry, Jakowie Lwowiczu — i podał mi dłoń do uściśnięcia, którą oczywiście przyjąłem. Po takim powitaniu mogłem sobie wiele obiecywać. W głębi gabinetu, z prawej strony, stało biurko, przed nim dwa fotele, na wprost drzwi wejściowych pod ścianą — nieduży stół, a na nim karafka z wodą i szklanka, po obydwu stronach krzesła. Generał poprosił mnie, bym usiadł; na moje pytanie, gdzie mogę usiąść, wykonał szeroki gest ręką, którym ogarnął cały gabinet, nawet własny fotel przed biurkiem, dając mi całkowitą dowolność wyboru. Skromnie usiadłem nie za jego biurkiem, a na krześle przy stoliku z karafką. Stojąc naprzeciwko mnie generał życzliwie zapytał: — Jak się czujecie, Jakowie Lwowiczu? — Nieco wzburzony odpowiedziałem: — A jak może się czuć człowiek w mojej sytuacji? — Generał ze współczującym zainteresowaniem (tak mi się wydawało) popatrzył na mnie, przespacerował się po gabinecie i powiedział: — Tak więc zaprosiłem (!) was tutaj, żeby poinformować, iż śledztwo w waszej sprawie zostało przerwane, zostaliście zrehabilitowani i dziś zostaniecie zwolnieni. — W tym momencie rozplakałem się. Całą gorycz tego, co przeszedłem, i zaskoczenie z powodu takiego zakończenia wylałem w tym spazmatycznym płaczu. Szybko jednak wziąłem się w garść, wypilem pół szklanki wody, którą troskliwie podał mi generał. Chcąc rozładować sytuację, nadać jej bardziej radosny charakter, powiedział: — Zarządziłem, żeby was odprowadzono, wkrótce będziecie w domu, ale około półtorej godziny zajmą nam jeszcze wszystkie biurokratyczne formalności (w jego tonie przebijał jakiś żal, pewnie sztuczny, że owe formalności są nieuniknione). Przed odjazdem proszę na dole zadzwonić do domu i uprzedzić o swoim powrocie. — Wciąż jeszcze nie wierząc i chcąc się upewnić, czy nie ma tu jakiejś pomyłki albo gry (ciągle się tego obawiałem), chciałem wyjaśnić raz jeszcze stosunek do „sprawy żydowskiej”: — Ale przecież były jakieś „żydowskie sprawy” — na co generał wykonał lekceważący gest, że niby wszystko to głupstwo. Zapytałem go więc, jak powinienem zachowywać się na wolności, mając na myśli utrzymanie w tajemnicy wydarzeń, jakie miały miejsce podczas mojego aresztowania, na co generał uspokoił

mnie: — Powinniście się zachowywać jak człowiek, który padł ofiarą bezprawnego i nieuzasadnionego aresztowania. — Po tych słowach pożegnał się ze mną, życząc mi czegoś, czego nie zapamiętałem. Z taką radą na drogę wyszedłem z gabinetu i podążyłem nie kończącymi się korytarzami w towarzystwie tego samego kapitana. Widocznie mruczałem coś pod nosem i musiałem mieć głupią minę, albowiem nawet na kamiennej i ponurej twarzy kapitana pojawił się uśmiech.

„Biurokratyczne formalności” zawiodły mnie znów do jakiegoś boksu-komórki na którymś z wyższych pięter, gdzie w stanie błogosławionego roztargnienia czekałem, aż wszystko zostanie załatwione do końca, nie rozumiejąc i nie wiedząc, na czym te formalności polegają. „Wygryzłbym biurokratyzm z korzeniami” i siedząc w komórce nie pożałowałbym zębów. Czas płynął powoli. Zza drzwi komórki dobiegały odgłosy rwetesu i krzątania, słyszałem czyjeś głosy i w napięciu czekałem, kiedy otworzą się drzwi boksu. W końcu doczekałem się tego i w towarzystwie jakiegoś urzędnika wprowadzono mnie do dużego gabinetu, który wielkością przypominał salę, gdzie za bezładnie ustawionymi biurkami siedziało wielu wojskowych (wydali mi się młodymi pułkownikami). Jeden z nich na oczach ciekawskich, jak gdyby biorących udział w interesującym widowisku, wręczył mi napisane na maszynie zaświadczenie ze stemplem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRR, z datą 3 kwietnia 1953 roku. Przytaczam treść dokumentu w całości, gdyż był on pierwszą jaskółką w następującej po nim serii podobnych zaświadczeń. Ale w odróżnieniu od mojego zaświadczenia, które było napisane na maszynie, co podkreślało jego niepowtarzalność, następne były już gotowymi drukami. A oto treść owego dokumentu:

Zaświadczenie

wydane obywatelowi Rapoportowi Jakowowi Lwowiczowi ur.
w 1898 r.

W dniach od 3 lutego 1953 roku do 3 kwietnia 1953 w byłym Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR przeciwko wyżej wymienionemu obywatelowi toczyło się śledztwo.

Zgodnie z artykułem 5 Kodeksu Karnego RFSRR, śledztwo w sprawie J.L. Rapoporta zostało umorzone.

J.L. Rapoport został zwolniony i całkowicie zrehabilitowany.

Naczelnik Oddziału MSW ZSRR
A. Kuzniecowa

Ujrzałem jakby oświetlone reflektorem słowa: „W byłym Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego...” — to znaczy, że MGB zlikwidowano, a więc zaszły jakieś ogromne zmiany podczas mojego pobytu w więzieniu, które spowodowały radykalną odmianę mojego losu. Zrozumiałem to natychmiast, ale sens, istota i przyczyny tych zmian były dla mnie oczywiście w dalszym ciągu zagadką. Po przeczytaniu przeze mnie zaświadczenia wręczono mi wszystkie skonfiskowane podczas rewizji dokumenty: paszport, dyplom doktora nauk medycznych, nominację profesora, książeczkę odznaczeń i legitymację partyjną. Ten ostatni dokument był dla mnie bardziej znaczącym symbolem uwolnienia niż zaświadczenie: symbolizował rehabilitację nie tylko w sensie kryminalnym, ale społeczno-politycznym, partyjnym. Zrozumiałem, że przywrócono mnie w szeregi partii.

Z tymi wszystkimi dokumentami, rzeczywistymi oznakami zwolnienia, znów zaprowadzono mnie do boksu. Biurokratyczna machina kontynuowała swą działalność. Mimo całej wiarygodności zachodzących wydarzeń i ich dokumentalnego potwierdzenia, wisił nade mną latami wpajany strach: a może nagle w ostatniej chwili ktoś zmieni decyzję, czyjaś wszechmocna dłoń zawróci koło, wszystkie dokumenty przejdą powrotną drogę, a za nimi ja. Takie oto miałem zaufanie do ścian, które mnie otaczały. Dwukrotnie otworzyły się drzwi do mojej komórki, dwukrotnie byłem gotów z niej wyskoczyć i dwukrotnie zamykano je znów na klucz. Za pierwszym razem przyniesiono mi węzełek z moimi rzeczami, który zostawiłem na dole w boksie. Po raz drugi chcieli się koniecznie dowiedzieć, czy w tym węzełku był futerał na okulary, bo nie mogą go nigdzie znaleźć. Wydaje mi się, że rzeczywiście miałem taki i zniszczony tekturowy futerał, który mogli wyrzucić, oglądając zawartość węzełka, jako strzęp papieru. Żeby nie komplikować sytuacji (ktoś mógłby jeszcze mnie zatrzymać, aż znajdzie się fu-

terał) i nie marnować troskliwej uwagi na moje śmieci, powiedziałem, że wydaje mi się, iż nie było futerału. Interesujący jest wszakże sam fakt, że zajmowano się takim szczegółem: w tym budynku panował porządek, drobiazgów tu nie było, a stróżów porządku ponad miarę!

Moja cierpliwość wyczerpywała się w miarę narastania napięcia. Chciałem jak najszybciej wyrwać się stąd, póki koło nie przekręci się w odwrotną stronę. Zebrałem się więc na odwagę; pamiętając obietnicę generała, że biurokratyczne formalności będą trwały nie więcej niż półtorej godziny (a minęło już o wiele więcej czasu), zacząłem walić pięściami w drzwi. Drzwi otworzyły się i jakiś urzędnik próbował mnie uspokoić: — Zaraz, zaraz! — Postraszyłem go, że tak długie napięcie psychiczne może spowodować u mnie atak serca. — Cierpliwości, już niedługo — rozległo się w odpowiedzi. Sądząc z jego zafrasowania i pośpiechu był bardzo zajęty; nawet poprzez drzwi cały czas odczuwałem bieganie przeciążonych obowiązkami ludzi. Na jeden z moich uporczywych stukotów (wydaje mi się, że nogą) jakiś wojskowy otworzył drzwi i powiedział mi, że chcą mi zwrócić przedmioty wartościowe, które skonfiskowano podczas rewizji, żebym nie musiał przyjeżdżać po nie po raz drugi, i że to trochę potrwa. Nie rozumiałem, o jakich przedmiotach wartościowych mowa, nic takiego nie miałem w domu, ale musiałem zadowolić się logiką takiej motywacji. I rzeczywiście, po pewnym czasie drzwi znów się otworzyły, zaprowadzono mnie do pokoju, w którym siedział urzędnik z naszywkami pułkownika intendenty, zwrócił mi pakiet z obligacjami pożyczek i ordery zarekwirowane podczas przesłuchania. To właśnie były te kosztowności, z których powodu mnie zatrzymano. Przypiąłem do marynarki order Lenina. Wydawało mi się, że kiedy żona go zobaczy, od razu uwierzy w moją wolność, widząc jej symbol, zanim przeczyta zaświadczenie o rehabilitacji. W ten sposób przystrojony orderem Lenina, z pozostałymi odznaczeniami w kieszeni, znów poszedłem do boksu. Być może po raz pierwszy od czasu istnienia tego boksu przyjmował on więźnia z orderem Lenina na piersi (podczas aresztowania odznaczenia zwykle od razu są konfiskowane). To także symbol głębokich przemian w klimacie radzieckim.

W końcu (było to na pewno około drugiej w nocy) w drzwiach boksu stanął starszy pułkownik, który przywitał się ze mną i powie-

dział mi, że ma polecenie odprowadzić mnie do domu. Za nim stał młody człowiek w standardowym cywilnym ubraniu pracownika MGB tamtych czasów (niebieskie palto z szarym karakułowym kołnierzem i czapka uszanka z tego samego futra). Opuściłem boks chcąc wziąć swój węzełek, ale pułkownik wydał młodemu człowiekowi polecenie: — Weźcie węzełek — które ten z pośpieszną gotowością wypełnił. W ten sposób ruszyliśmy we trójkę, na czele pułkownik z jakimś dokumentem w ręku, na którym zauważyłem naklejone swoje zdjęcia z profilu i en face, wykonane w więzieniu, w środku szedłem ja, a za mną młody funkcjonariusz z moim węzełkiem w ręku. Na każdym pięttrze pułkownik pokazywał dyżurującemu strażnikowi ten dokument, zapewne zezwolenie na bezpowrotne wyjście. Nie otrzymałem zezwolenia, by zatelefonować do domu. Na dobrze znanym mi podwórzu Łubianki czekała na nas szara pobieda, do której wsiedliśmy wszyscy trzej, ja z pułkownikiem z tyłu, młody pracownik z węzełkiem z przodu obok kierowcy. Brama Łubianki otworzyła się, a koła pobiedy zaczęły toczyć się w przeciwną stronę, symbolizując zwrot w historii „sprawy lekarzy”.

Niełatwo opisać, co przeżywałem podczas tej bajkowej przejażdżki nocą po Moskwie, powracając ze świata po drugiej stronie muru, pełnego mrocznych tajemnic, osnutego w ciągu dziesiątków lat strasznymi legendami; świata, w który pogrążyłeś się bezpowrotnie, jak w otchłań oceanu. Wydawać by się mogło, że wyjście z tego koszmaru powinno wywołać jakiś silny wstrząs emocjonalny, ale nic podobnego się nie wydarzyło. Delektowałem się tylko ciszą opustoszałych nocą, oświetlonych ulic Moskwy, widokiem znajomych budynków, świetlnymi reklamami ulicy Gorkiego, jak spotkaniem ze starymi, bliskimi sercu przyjaciółmi. Cieszyłem się, że wszystko jest jak dawniej i że bezbłędnie mogę przewidzieć spotkanie z placem przed budynkiem Mossowietu, z pomnikiem Puszkina i tak dalej. Spotkania te były jak gdyby potwierdzeniem niewzruszonej wieczności zwykłego życia, za którego granicami pozostała fantasmagoria. Gdzieś w podświadomości kołatała myśl, że to nie mnie wiozą samochodem, ale że sam jadę i kiedy tylko zapragnę, mogę się zatrzymać i wysiąść. Było to wyjście ze strasznych nocnych zwidów w rzeczywisty, codzienny świat, który rozciągał się przede mną w drodze z Łubianki na Nowopieczaną, poprzez ulicę Gorkiego i Prospekt Leningradzki.

Kiedy się upewniłem, że droga ta wiedzie do mojego domu, chciałem jak najdłużej delectować się nią i byłem zadowolony, że samochód posuwa się stosunkowo wolno, jak gdyby kierowca odgadł moje życzenie.

Zawsze lubiłem Moskwę nocą z jej cichymi ulicami, rzadkimi przechodniami, i spotkanie z nią po więzieniu Lefortowskim i Łubiance bez jakichkolwiek przejściowych i pośrednich stadiów nadawało jej szczególnie mityczną oprawę. Nie wiem dlaczego przypomniła mi się rada Błoka. Często powtarzałem sobie końcowy fragment poematu Błoka *Odwet*, pełny głębokiego sensu. I wracając do domu wypowiadałem w myślach te słowa:

Gdy po pustyni miejskiej, chory,
Złamany, nocą się wałęsasz,
Kiedy do domu wracać pora...
...Wówczas — zaczekaj, stań bez ruchu
I tylko słuchaj nocnej ciszy:
A pojmiesz inne życie uchem,
To, czego za dnia nie usłyszysz...
...Powitasz wszystko sercem wdzięcznym,
Zrozumiesz to, że więcej znaczy
Życie, niż Branda quantum satis,
A świat — jest tak jak zawsze — piękny... *

Dziwne może się wydać szybkie psychiczne przejście w realny świat ze świata łubiańskich misterii. Te rozplynęły się prawie natychmiast w miarę utwierdzania się w przekonaniu, że istnieje świat realny. Zdumiewająca jest siła zdolności przedstawienia ludzkiej świadomości z jednego poziomu na inny. Formalna pamięć zachowała jeśli nie wszystko, to w każdym razie wiele z tego, co się wydarzyło w ostatnich miesiącach, ale ze sfery emocjonalnej zostały one szybko wyparte przez nowe wrażenia. Bez tej zdolności przedstawiania się życie prawdopodobnie byłoby nie do wytrzymania. Ciężaru negatywnych emocji nie można długo zachowywać w pamięci.

Ale nie jechałem sam, towarzyszyli mi dwaj odprowadzający jako wyraz szczególnego szacunku dla niewinnie poszkodowanego profesora. Niemłody już pułkownik, który siedział obok

* przełożył Adam Galis.

mnie na tylnym siedzeniu, trzymał się za serce i uskarżał się na bóle. Ze współczuciem udzielałem mu fachowych porad. Miał ze sobą walidol. Nie wiem dlaczego, ale z wyglądu przypominał mi pułkownika, który wiozł mnie na Łubiankę pamiętnej nocy 3 lutego. Również funkcjonariusz MGB siedzący z przodu wydał mi się znajomy. Podejrzywałem, że jest to pracownik wydziału operacyjnego, który powitał nas w przedpokoju, kiedy pamiętnej nocy wróciliśmy z żoną do domu, i z zawodową wprawą zrewidował moje kieszenie. Widocznie pełnił on specjalną funkcję w grupie, która wtargnęła do mego domu w celu aresztowania mnie. Na moje pytanie, czy to on był wtedy w moim mieszkaniu, odpowiedział twierdząco. Zapytałem go też, czy nie dokuczał mojej żonie, czemu kategorycznie zaprzeczył. Żona opowiedziała mi potem, że to właśnie on zachowywał się jak wściekły pies i że jego ferwor próbowali ostudzić nawet inni członkowie grupy operacyjnej. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego był taki niezadowolony, czemu na jego twarzy malowała się ukryta złość i zmieszanie, kiedy z moim wężelkiem w dłoniach odprowadzał mnie do domu. Można było mu współczuć! Takie kontrasty i przejścia w działalności gorliwego żandarma także wymagają umiejętności adaptacji, a pozytywnych przeżyć ten spacer ze mną oczywiście mu nie dostarczył.

Samochód powoli skręcił w ulicę Nowopieczaną, wjechał przez żelazną otwartą bramę na znajome podwórko i zatrzymał się przy znajomym skrzydle. Wysiedliśmy z samochodu, drzwi do klatki schodowej były otwarte. Była może trzecia w nocy, ale nocnych windziarzy u nas nie było. Weszliśmy do przedsionka, gdzie był telefon. Pierwszy sygnał z mojego mieszkania na trzecim piętrze dał mój pies — czarna pudlica Topsy. Była to niezwykle czuła, mądra i wrażliwa suka. Za każdym razem, kiedy wracałem do domu, witała mnie w przedpokoju i padałem ofiarą jej gwałtownego zachwyty i czułości, którym towarzyszyły radosne skomlenia i skowyt z nadmiaru uczuć oraz wywołana emocjami kałuża na podłodze. Ledwo wszedłem do klatki i nie zdążyłem jeszcze wspiąć się na parter, a już usłyszałem entuzjastyczne szczekanie Topsy, które obudziło moją żonę. Zadzwoiłem do niej z dołu, żeby uprzedzić jej o moim powrocie z całkowitą rehabilitacją i żeby nie przestraszyła jej moja nieoczekiwana wizyta w towarzystwie dwóch wojskowych — pracowników MGB. Lecz obudził ją nie dzwonek telefonu, a szczekanie Topsy, która jako pierwsza ob-

wieściła światu o zakończeniu „sprawy lekarzy”. Bez pośpiechu weszliśmy na trzecie piętro — oszczędzałem serce pułkownika. Rozpiąłem palto, żeby żona mogła zobaczyć order Lenina na piersi jako symbol mojego powrotu do życia, i rzeczywiście była to pierwsza rzecz, jaką zauważyła, kiedy otworzyła nam drzwi. Ale przywitać się z nią mogłem dopiero wtedy, kiedy wyrwałem się z objęć Topsy i jej pocałunków, i przeskoczyłem przez tradycyjną kałużę na podłodze. Razem ze mną weszli moi towarzysze, ale porucznik gdzieś zaraz zniknął. Trudno sobie przypomnieć, jakimi słowami witaliśmy się z żoną w obecności pułkownika, który był nieco zmieszany udziałem w takim wydarzeniu, niewątpliwie po raz pierwszy w czasie swej wieloletniej działalności. Poprosił, bym pozwolił mu skorzystać z telefonu, i byliśmy świadkami następującej rozmowy: — Towarzyszu generale, melduję z mieszkania Jakowa Lwowicza. — I widocznie odpowiadając na pytanie generała: — I łzy, i radość. — Po czym zwrócił się do nas obojga, przekazując pozdrowienia od generała (do dziś nie wiem, kto to był), najlepsze życzenia i radę, żeby była tylko radość bez łez. Wzruszające! Żona zapytała mnie wtedy: — Czy wiesz, że zmarł Josif Wissarionowicz? — Jej pytanie jak błyskawica oświeciło cały, do tej pory niepojęty mechanizm nagłej odmiany mojego losu jako aresztowanego w związku ze „sprawą lekarzy”. Od razu stało się dla mnie jasne, dlaczego Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego stało się „byłym”, jak zaznaczono w świadectwie zwolnienia, i że nie jest to jedyna zmiana w radzieckim systemie, a początek nowej epoki, spowodowany śmiercią jednego człowieka. Nieoczekiwaną wiadomość o jego śmierci przyjąłem nawet z niejakim zdziwieniem. To zjawisko wydało mi się słuszne w ogólnym łańcuchu wydarzeń, zupełnie logicznie z nimi związane, właściwym i jedynym warunkiem ich rozwoju. Mignęła mi myśl o fatum, które w potrzebnym i ostatnim momencie skierowało swe uderzenie w celu ratowania mojego życia. Gdzież ów los podziewał się wcześniej?! Miliony ludzi nie dożyły tej chwili! Na ostrożne pytanie żony, co dzieje się z Mironem Siemionowiczem (Wowsim), odpowiedziałem z całkowitą pewnością, że wszyscy zostali uwolnieni. Tę pewność dał mi proces odbudowy, w którym, jak wykazała cała sytuacja i cała treść tego procesu, nie byłem jedynym obiektem. Poza tym kiedy siedziałem zamknięty w boksie, oczekując wyjścia na wolność i słysząc nieustanną bieżącą za drzwiami, wydało mi się, że ktoś szeptem

wymówił nazwisko: „Wowski”. Pomyślałem wtedy, że w tym momencie idąc korytarzem mijał mój boks i ktoś szeptem wskazał na niego jako na głównego bohatera „sprawy”, na największego bandytę w historii ludzkości, którego ćwiartować to mało.

Krępowala nas obecność pułkownika, chociaż ten zachowywał się wyjątkowo skromnie i niewątpliwie sam czuł się zbędnym świadkiem rodzinnej radości. Musiał jednak poczekać na porucznika, który gdzieś przepadł. Wkrótce zjawił się z gospodarzem domu, żeby w jego obecności otworzyć zapieczętowane po moim aresztowaniu dwa pokoje i oddać mi je znów w posiadanie razem ze znajdującym się w nich dobytkiem. To także było przejawem uprzedzającej grzeczności, którą niewątpliwie zalecano pułkownikowi i porucznikowi. Zwykle nikt się z tym nie spieszył w MGB, nawet jeśli zdarzały się rzadkie wypadki, w których było to niezbędne. W tej sytuacji niewątpliwie zamierzano jak najszybciej zlikwidować następstwa aresztowania i wszystko, co się z tym wiązało, łącznie ze zwrotem odznaczeń jeszcze przed wyjściem „na wolność”.

Gospodarz domu, starszy człowiek, opowiadał mi później, że kiedy nocą obudził go porucznik, którego już znał z mojego aresztowania, i zaprosił go do mieszkania numer 103, to pomyślał, że przyszedł po moją żonę. Ze zdenerwowania w żaden sposób nie mógł trafić w nogawkę spodni, ale kiedy porucznik nie pytany powiedział: — Zwracamy wam (w jego tonie nie było radości!) — to gospodarz domu odpowiedział: — No to biegnijmy. — I pobiegli. Pieczęcie zostały zdjęte, zajrzałem do pokoiów, w których z całkowitą nieprzyzwoitością zachował się bałagan po rewizji. Kiedy procedura mieszkaniowa została zakończona, pułkownik bardzo uprzejmie pożegnał się z nami, składając nam wzruszające życzenia wszystkiego najlepszego.

W końcu zostaliśmy sami i dopiero teraz poczułem, że jestem w domu. Mogłem chodzić z pokoju do pokoju, zaglądać bez potrzeby do łazienki, kuchni. Wreszcie w pełni odczułem, że jestem wolny. Żona namawiała mnie, bym położył się spać, ale ja nie mogłem stracić dla snu tego niewyrażalnego uczucia wolności, powrotu do normalnego życia, spotkania ze zwykłymi rzeczami. Podniecenie spowodowane wszystkimi tymi przeżyciami było tak wielkie, że o śnie nie mogło być mowy. Poszedłem do łazienki, żeby się ogolić nie tylko z powodu kosmetycznej konieczności, ale

głównie po to, by nacieszyć się możliwością korzystania ze swojej brzytwy, swego lustra i ręcznika. To także były symbole wolności. Telefonicznie nadałem błyskawiczny telegram (takie telegramy dostarczano w ciągu godziny) do mojej starszej córki, która po skończeniu instytutu medycznego podjęła pracę w Toropcu (okręg wielkołucki). W telegramie informowałem, że wróciłem z delegacji. Ale tę błyskawiczną depeczę doręczono jej dopiero po dwunastu godzinach. Córka dowiedziała się z komunikatu radiowego o uwolnieniu lekarzy i sama zadzwoniła do domu, żeby sprawdzić tę informację. Wstrzymanie telegramu świadczyło o dezorientacji miejscowych władz spowodowanej nieoczekiwanym komunikatem o likwidacji „sprawy lekarzy”; władze nie wiedziały, jak mają postąpić, czy przekazać telegram, którego sens był dla wszystkich jasny, czy też zatrzymać go, dopóki uwolnienie lekarzy, wczoraj jeszcze potworów w ludzkim ciele, zostanie oficjalnie potwierdzone.

Nastąpił niezapomniany ranek 4 kwietnia. O godzinie 6 rano, w porze kiedy zwykle nadawano poranne informacje, radio nadało pełny tekst rządowego komunikatu o likwidacji „sprawy lekarzy”. Myślę, że należy ten komunikat przytoczyć w całości razem z oficjalnymi komentarzami do niego.

**„Komunikat Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRR,
(4 kwietnia 1953 roku)**

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSRR przeprowadziło drobiazgową kontrolę wszystkich materiałów wstępnego śledztwa i innych danych związanych ze sprawą lekarzy oskarżonych o szkodliwą działalność, szpiegostwo wymierzone przeciwko państwu radzieckiemu. W wyniku rewizji ustalono, że pociągnięci do odpowiedzialności w tej sprawie: profesor M. Wowski, profesor W. Winogradow, profesor M. Kogan, profesor B. Kogan, profesor P. Jegorow, profesor A. Feldman, profesor J. Etinger, profesor W. Wasilenko, profesor A. Grinstein, profesor W. Zielenin, profesor B. Preobrażenski, profesor N. Popowa, profesor W. Zakusow, profesor N. Szerszewski, lekarz G. Majorow zostali aresztowani przez byłe Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR bez żadnych podstaw prawnych.

Rewizja dokumentów wykazała, że oskarżenia wysunięte prze-

ciwko wymienionym osobom są fałszywe, a dane, na których opierali się prowadzący śledztwo — bezpodstawne. Ustalono również, że zeznania aresztowanych rzekomo potwierdzające oskarżenia zostały uzyskane przez pracowników wydziału śledczego byłego MGB w drodze niedopuszczalnych i surowo zabronionych przez radzieckie prawo metod.

Na podstawie decyzji komisji rządowej, specjalnie powołanej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSRR w celu zbadania tej sprawy, aresztowani M. Wowski, W. Winogradow, B. Kogan, P. Jegorow, A. Feldman, W. Wasilenko, A. Grinstein, W. Zielenin, B. Preobrażenski, N. Popowa, W. Zakusow, N. Szerszewski, G. Majorow i inni oskarżeni w tej sprawie zostają całkowicie uniewinnieni od zarzucanych im oskarżeń o działalność szkodliwą, terrorystyczną i szpiegowską, zgodnie z art. 4 § 5. Kodeksu Postępowania Karnego RFSRR, i uwolnieni.

Osoby odpowiedzialne za nieprawidłowy przebieg śledztwa zostały aresztowane i pociągnięte do odpowiedzialności karnej”.

Pod tym historycznym komunikatem zamieszczono w *Prawdzie* trzy nieduże notatki pod trywialnymi tytułami: „Wiosna w sadach Miczurina”, „Podróże po ziemi ojczystej”, „Robotnicy podnoszą swoje kwalifikacje”. Pod tymi notatkami, które jak gdyby oddzielały komunikat MWD, zwykłym drukiem opublikowano następującą informację pod tytułem: „W Prezydium Rady Najwyższej”: „Prezydium Rady Najwyższej ZSRR postanowiło cofnąć decyzję z 20 stycznia 1953 r. o nadaniu orderu Lenina lekarce L. Timaszuk jako błędną, w związku z ujawnionymi w ostatnim czasie ważnymi okolicznościami”.

Tak więc L. Timaszuk została zdegradowana z godności wielkiej córki narodu rosyjskiego i nowo objawionej Joanny d’Arc.

Rozmieszczenie obydwu informacji na gazetowej kolumnie było niewątpliwie przemyślane, ponieważ identyczny układ był w *Prawdzie* i w *Izwiestiach*. Tylko treść rozdzielających te informacje artykułów i ich tytuły były inne. Takie usytuowanie dwóch historycznych komunikatów na kolumnach różnych gazet było oczywiście celowe i miało określony sens. Polegało ono zapewne na tym, żeby obydwie informacje pozbawić sensacyjnego wydzźwięku, nadać im stereotypowy charakter bieżących działań nowego

rządu. Jednakże taki zabieg nie mógł zamaskować szczególnego znaczenia obydwu komunikatów nie mających precedensu ani w poprzedzającej, ani w przyszłej historii radzieckiego państwa. Szczególnie dotyczy to pierwszego komunikatu. Trudno przecenić jego znaczenie historyczne i wszechogarniający sens. Chodzi nie tylko o to, że komunikat informował o zwolnieniu ludzi, którzy w toku śledztwa w MGB przyznali się do dokonania najcięższych przestępstw, a jednak zostali uniewinnieni. Chodzi nie tylko o to, że duża grupa ludzi została oczyszczona z podejrzeń i dosłownie wyrwana ze szponów haniebnego śmierci. Komunikat ten był jednocześnie surowym oskarżeniem całego trzydziestoletniego reżimu stalinowskiego. Jak promień ogromnego reflektora oświetliło ono najbardziej mroczne jego strony, monstrualną samowolę, cały mechanizm licznych „spisków” ujawnionych dzięki „czujności” organów bezpieczeństwa, co zakończyły się śmiercią ogromnej liczby najlepszych przedstawicieli partii i narodu radzieckiego, którego wrogami zostali oni ogłoszeni, i jeszcze większej liczby ofiar pokrzywdzonych przez los. Ten historyczny akt był oskarżeniem reżimu stalinowskiego, świadczył o początku radykalnej przebudowy wewnątrz radzieckiego społeczeństwa, która rozpoczęła się po śmierci Stalina.

Wyjątkowo interesujące były komentarze w *Prawdzie* do komunikatu MWD z 4 kwietnia, opublikowane 6 kwietnia i przedrukowane bez zmian 7 kwietnia przez *Izwestia* i inne gazety. Komentarze te ukazały się pod tytułem: „Radziecka socjalistyczna praworządność jest niewzruszona”. Powtórzono jeszcze raz pełny tekst komunikatu MWD o uwolnieniu aresztowanych lekarzy i likwidacji całej sprawy, a potem zadano pytanie: „Jak doszło do tego, że w łonie Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, które powinno stać na straży interesów państwa radzieckiego, została sfabrykowana prowokacyjna sprawa, której ofiarami padli uczciwi obywatele radzieccy, wybitni przedstawiciele radzieckiej nauki?”. Autor artykułu starał się odpowiedzieć na to pytanie w sposób wyczerpujący; sprowadza się to do następujących wniosków, które przytaczam prawie dosłownie:

1. Kierownictwo MGB okazało się zupełnie nie na poziomie, oderwało się od narodu, zapomniało, że mu służy.

2. Były minister MGB Ignatiew wykazał polityczną ślepotę i niedbalstwo, na pasku wodził go były zastępca ministra i szef

wydziału śledczego Riumin, bezpośrednio kierujący śledztwem, obecnie aresztowany. Riumin postępował jak ukryty wróg państwa i narodu. Zamiast zajmować się demaskowaniem prawdziwych szpiegów i dywersantów wstąpił na drogę kłamstwa i awanturnictwa, drwił z prawa i z konstytucji.

3. Nieuczciwa okazała się również, powołana w związku z oskarżeniem grupy lekarzy, komisja lekarzy specjalistów, która wydała nieprawidłowe orzeczenia w związku z metodami leczenia stosowanymi w swoim czasie wobec A. Szerbakowa i A. Żdanowa. Zamiast zgodnie z sumieniem naukowym i obiektywną prawdą przeanalizować historie chorób i inne materiały, komisja uległa wpływowi sfabrykowanych w śledztwie materiałów dowodowych i swoim autorytetem poparła oszczercze, sfałszowane oskarżenia przeciwko wielu wybitnym działaczom nauki.

Autor artykułu próbuje nieco zmniejszyć ciężar tego zarzutu pod adresem komisji twierdząc, że w toku śledztwa zatajono przed jej członkami niektóre istotne strony procedury terapeutycznej, wykazujące prawidłowość przeprowadzonego leczenia.

Dalej artykuł piętnuje nikczemnych awanturników typu Riumina, którzy próbowali rozpałić w społeczeństwie radzieckim obce mu uczucia narodowościowej wrogości (tj. antysemityzmu), nie wahali się przed pomówieniami, a następnie wzywali do przestrzegania praworządności i Konstytucji ZSRR. Trudno przecenić najwyższy stopień obywatelskości i męstwa, jakie wykazał nowy rząd po zmianie stalinowskiego kierownictwa. Szczególnie trzeba wziąć pod uwagę społeczny klimat w czasie przygotowywania „sprawy lekarzy” i w okresie jej rozwoju, a także pełną gotowość narodu do rozwiązania „sprawy” w sposób dość radykalny. Trzeba było teraz wyjaśniać narodowi, jak powstała ta „sprawa” i kto bezpośrednio za to odpowiada.

Wyjaśnienie pochodzenia „sprawy” złą wolą awanturnika Riumina, ślepotą i niedbalstwem ministra bezpieczeństwa Ignatiewa i złą pracą medycznej komisji ekspertów może się wydać pozbawione głębi. Ale wyjaśnienie trzeba było dać natychmiast, nie czekając na głębsze analizy historyczne, jako efekt reżimu, samowoli i bezprawia epoki stalinowskiej.

Otwarcie przyznano się do tego na XX Zjeździe KPZR, a także zwalniając z więzień wielu aresztowanych, masowo rehabilitując niewinnie oskarżonych, w znacznej części — pośmiertnie.

Szczególne znaczenie dla głównej treści książki ma surowa i sprawiedliwa ocena działalności medycznej komisji ekspertów, która ukazała się w redakcyjnych komentarzach gazet *Prawda* i *Izwestia*. Służalcza ugodowość komisji ekspertów, w której skład weszli pozostali na wolności specjaliści w randze profesorów, co na ołtarzu służalczości złożyli hańbę i życie wielu swoich kolegów, wywołuje uczucie głębokiej pogardy. W czym owi specjaliści byli lepsi od Riumina i jemu podobnych? Ten był zawodowym szubrawcem, którego kariera urzędnicza zależała od liczby ludzi skazanych przez niego na śmierć. A ci przedstawiciele najbardziej humanitarnego z zawodów — medycyny — co nimi kierowało? Ich zachowanie to najbardziej jaskrawy przykład głębokiego upadku wszystkich norm moralnych, stopnia rozkładu społeczeństwa radzieckiego, prostytuowanego przez stalinowski reżim. Nie uniknęła tego i medycyna. Uczucie obrzydzenia wzrosło, gdy ci kapłani medycyny łatwo odwołali swe oskarżające wnioski, kiedy nowy rząd udowodnił im kłamstwo. Czy mogą oni liczyć na zaufanie do ich medycznych kompetencji i obiektywizmu?

Nie mające precedensu odebranie orderu niedawnej laureatce i opublikowanie w prasie tego faktu i jego motywacji zrodziło różne plotki co do dalszych losów Timaszuk. Najbardziej powszechną była wersja o jej śmierci w wypadku samochodowym wkrótce po tym wydarzeniu, która krąży po dziś dzień. Przyczyną powstawania takich plotek było powszechne przekonanie społeczeństwa o tym, że MGB pozbywała się w ten sposób niewygodnych ludzi. Nic podobnego nie przydarzyło się Timaszuk. Jakiś czas po kwietniowych wydarzeniach przystąpiła ona do swej normalnej pracy w tym samym szpitalu kremłowskim, gdzie odegrała niechlubną rolę. Po jakimś czasie przy kolejnym nagradzaniu pracowników medycznych za długą i wzorową pracę uhonorowano ją orderem Sztandaru Pracy, drugim wedle ważności odznaczeniem po orderze Lenina. Widocznie na jej życiorysie nie zaciążyła rola Joanny d'Arc. Rolę tę oceniono jako przejaw gorliwości i patriotycznego żaru, które zawsze zasługują na pochwałę, a kto przy tym nie błądzi!

Wróćmy jednakże do mojego mieszkania pamiętnego ranka 4 kwietnia.

W ślad za komunikatem radiowym, mimo wczesnych godzin rannych rozpoczęła się pielgrzymka sąsiadów. Jako pierwsza wpadła nasza sąsiadka z dołu Nina Beklemiszewa. Pisałem już o niej i o jej mężu Włodzimierzu Nikołajewiczu. Nie spali całą noc, słyszeli hałas w naszym mieszkaniu, kroki wielu ludzi. Wiedzieli, że w domu jest tylko żona z młodszą córką, i byli pewni, że przyszli, by aresztować żonę. Tym bardziej wstrząsnął nimi nadany przez radio komunikat i sąsiadka przybiegła, by powiedzieć żonie o radosnej nowinie. Kiedy mnie zobaczyła, tak się rozplakała, że długo nie mogłem jej uspokoić. Wiadomość o moim powrocie szybko rozniosła się nie tylko dzięki informacji w radiu, ale także poprzez gospodarza domu, który był świadkiem wszystkiego. Widziałem przez okno, jak na podwórzu gromadzili się wokół niego ludzie, którym opowiadał o wydarzeniach minionej nocy. Raz po raz ktoś dzwonił do drzwi i słyszałem, jak żona chroniąc mnie mówiła, że jestem bardzo zmęczony, i jak ludzie prosili ją, by pozwoliła chociaż na mnie popatrzeć, czego nie mogła im odmówić. Przecież byłem symbolem, a i dla mnie spotkanie z ludźmi było radosnym przeżyciem. Niemało też szczęścia wylali goście. Wśród nich byli i Rosjanie, i Żydzi, którzy znajdując się na wolności odczuwali jej złudność, żyli w ciągłym strachu i chcieli zobaczyć namacalny dowód komunikatu radiowego.

Rankiem, jeszcze przed rozpoczęciem zajęć w szkołach wyższych, zadzwoniłem do dyrektora instytutu S. Didenki, żeby powiadomić o moim powrocie, ale on wiedział już o wszystkim. Bardzo mnie prosił, żebym przyjechał do instytutu chociaż na pół godziny; chciał widocznie, żeby wszyscy mnie zobaczyli i upewnili się, że rehabilitowany i wolny Rapoport to nie plotka, a rzeczywistość. Miałem przyjechać nie wcześniej niż o dwunastej; dopiero później domyśliłem się dlaczego. Podczas mojej nieobecności zlikwidowano moje laboratorium, pomieszczenie przekazano komuś innemu i dyrektor — wspaniały, uczciwy i wrażliwy człowiek — chciał zyskać kilka godzin, żeby przywrócić laboratorium i mój mały gabinet, a także pracowników do stanu sprzed dnia mojego aresztowania. Rzeczywiście zastałem laborantów na stanowiskach, gabinet w niezmienionym stanie, tylko parkiet jeszcze nie wysechł po pastowaniu. Na biurku leżała decyzja o przywróceniu mnie na poprzednio zajmowane stanowisko kierownika laboratorium patomorfologii i o wypłacie poborów za okres pobytu w więzieniu.

Tak więc rankiem pojechałem do instytutu. Kiedy znalazłem się na miejscu, zdziwiła mnie nieco obojętność, z jaką po drodze do laboratorium witali mnie pracownicy instytutu, nawet ci, którzy zawsze byli w stosunku do mnie przyjaźnie nastawieni. Przyczynę tego faktu wyjaśnił mi Didenko. Okazało się, że rankiem, jeszcze przed zajęciami, do rejonowego komitetu KPZR wezwano sekretarza organizacji partyjnej instytutu A. Tiebiakinę, którą poinformowano, że zostałem zwolniony z aresztu i żeby w związku z tym poinstruowała wszystkich członków partii, a przez nich cały zespół, iż przy spotkaniu ze mną mają zachowywać się obojętnie, jak gdybym wrócił z krótkiej delegacji, nie witać się ze mną serdecznie i nie płakać. Polecenie zostało wykonane, a zachowanie współpracowników ostro kontrastowało z szacunkiem, jaki po zwolnieniu okazywali mi urzędnicy MWD na Łubiance. Atmosfera wokół mojej osoby świadczyła o dezorientacji komitetu rejonowego, który nie wiedział, jak zareagować na nieoczekiwane wydarzenie. Widocznie w rejkomie postanowiono przestrzegać francuskiej zasady: jeśli wątpisz — wstrzymaj się! Trudno było zrozumieć komunistom z instytutu i z komitetu, że wroga, którego jeszcze wczoraj lżyli obraźliwymi epitetami, dziś trzeba przyjaźnie powitać.

Didenko, którego poinformowałem telefonicznie o przybyciu do instytutu, prosił mnie, bym poczekał chwilę, aż mnie zaprosi, ponieważ chciał się ze mną spotkać sam na sam, żeby uniknąć świadków i nie być zmuszonym do przestrzegania instrukcji komitetu. Przywitaliśmy się bardzo serdecznie, były też i łzy. Didenko opowiedział mi, że dosłownie w przeddzień, czyli w piątek, odbyło się zebranie biura partyjnego, na którym rozpatrywano personalnie sprawę komunisty S. Didenki oskarżonego o popieranie przez długi czas wroga narodu. Zebranie przedłużało się, wniosków nie wyciągnięto i przeniesiono je na poniedziałek, kiedy to postanowiono podjąć ostateczną decyzję (prawdopodobnie zawczasu już przygotowaną i nic dobrego go nie czekało). A tu następnego dnia „wróg narodu” zjawił się w instytucie z dokumentem całkowitej rehabilitacji. Kierownictwo partyjne miało od czego doznać szoku jak według Czechowa kurek pistoletu, który spuszczone nie spowodował wystrzału. Podobnie czuli się amatorzy silnych wrażeń i ludzkich ofiar, którymi do syta karmiła ich stalinowska ludożercza epoka. Córka opowiadała, że rano, zaraz po rozpoczęciu pracy, do

polikliniki w Toropcu, gdzie pracowała, wpadła rozwścieczona sekretarz organizacji partyjnej krzycząc w podnieceniu: — Słyszeliście, zwolnili ich, to nikczemna prowokacja, nie ujdzie im to na sucho! (?)

Chcąc więc skomentować reakcję narodu na nieoczekiwane umorzenie „sprawy lekarzy”, trzeba powiedzieć, że nie u wszystkich fakt ten wywołał westchnienie ulgi. Wielu żądnych krwi „bestii w ludzkim ciele” miało zepsute nadchodzące święta wielkanocne. Przypadek zrządził, że bezpośrednio po zwolnieniu „potworów”, które miało miejsce w nocy z piątku na sobotę, nadszedł pierwszy dzień Wielkanocy — Zmartwychwstanie Chrystusa. Dla wielu ludzi, nie tylko tych uwolnionych i ich krewnych, było to wspaniałe święto, które odebrali symbolicznie. Dla niektórych zaś — ponury dzień z powodu nieoczekiwanej odmiany.

Podczas pobytu w instytucie zadzwonił do mojego gabinetu portier, informując że jakiś wojskowy czeka na mnie w holu. Już się tym nie przestraszyłem — oto jaki psychologiczny zwrot nastąpił w mojej świadomości w ciągu tak krótkiego czasu. Poprosiłem portiera, by przyprowadził gościa do gabinetu. Był to pułkownik bezpieczeństwa, który przywiózł wszystkie dokumenty skonfiskowane podczas rewizji w moim gabinecie już po aresztowaniu. Zastał mnie pochylonego nad mikroskopem i wyraźnie fakt, że w ciągu kilku godzin przemieniłem się z więźnia w uczonego, zrobił na nim duże wrażenie. Słyszałem, jak informując generała przez telefon o przekazaniu mi dokumentów powiedział, że zastał mnie przy pracy; nie skrywał przy tym swego zdziwienia, a nawet podziwu. Cieszyłem się, że dzięki S. Didence zupełnie przypadkowo mogłem zademonstrować wyższym funkcjonariuszom organów bezpieczeństwa, że mieli do czynienia z uczonymi, których oddania nauce nie mogły złamać nawet kajdanki. Ale nie była to demonstracja — rzeczywiście nie mogłem wyrzec się przyjemności obejrzenia pod mikroskopem kilku ciekawych preparatów histologicznych wykonanych podczas mojej nieobecności. Znow usiąść przy mikroskopie — toż to spełnione marzenia lefortowskiego więźnia!

Nie tylko mnie więzienie, i wszystko co się tam wydarzyło, nie odebrało chęci do normalnej działalności naukowej. M. Wowsiego pierwszego dnia po zwolnieniu, mimo dużego wyczerpania, nie można było powstrzymać od wygłoszenia wykładu dla słuchaczy Instytutu Doskonalenia Kadr Medycznych.

W żaden sposób nie mogłem zerwać kontaktu z pracownikami bezpieczeństwa i ograniczyć go do pułkownika. Nie pozwolili, bym pozostał osamotniony w swych troskach i kłopotach. Wkrótce po powrocie z instytutu do domu otrzymałem telefon z owej organizacji z zapytaniem, czy jestem w domu, gdyż jeden z pracowników chciałby mi złożyć wizytę. Oto jak się zmieniła sytuacja: jeszcze dwa miesiące temu wiedzieli, gdzie przebywam, i nikt nie pytał mnie o zgodę, kiedy chcieli mi złożyć wizytę! Oczywiście zgodziłem się bez zastanowienia, choć nie znałem celu wizyty. Pracownikiem bezpieczeństwa okazał się sympatyczny z wyglądu i uprzejmy młody porucznik, który w worku przywiózł całą dokumentację skonfiskowaną podczas rewizji w domu. Było tego dużo i zaproponowałem mu, by wyrzucił zawartość worka wprost na podłogę w moim gabinecie, żeby łatwiej, mi się było zorientować co do ich treści. Tak też zrobił i na podłodze utworzył się niewielki stosik. Pochłonięty bieżącymi wydarzeniami nie przejrzałem owych dokumentów, ale poupychałem je po szufladach biurka i biblioteczki. Dłuższy czas nie zaglądałem do tych papierów i dopiero wiele lat później, porządkując je, natrafiłem na wiele interesujących i zapomnianych materiałów. Z porucznikiem odbyliśmy krótką i miłą pogawędkę, w której dał się odczuć szacunek młodego człowieka do zasłużonego profesora i uczonego (taką reputację miałem w MWD). W toku rozmowy wspomniałem swego oficera śledczego i wyraziłem przypuszczenie, iż musi on teraz chyba żałować, że mi nie wierzył. Na to porucznik odpowiedział nieoczekiwanym, pełnym głębokiego sensu zdaniem, że jeśli oficer śledczy uwierzyłby mi, to nie byłby obecnie w takiej sytuacji, w jakiej się znalazł. Ponadto proponował, że może ułatwić mi spotkanie ze śledczym. Oczywiście nie miałem na to najmniejszej ochoty i zdecydowanie odmówiłem. Nie przejawiałem też większego zainteresowania jego sytuacją, ale domyśliłem się, że nie jest ona zbyt korzystna i że zamieniliśmy się, jeśli nie miejscami, to uczuciami i nastrojami. Byłem naprawdę wzruszony troskliwością organów MWD bezpośrednio po uwolnieniu.

Wieczór pierwszego dnia wypełniły mi drobne codzienne czynności związane z powrotem do normalnego życia; między innymi złożyłem też daninę medycynie. Żona zadzwoniła do polikliniki pracowników naukowych, która zaraz po aresztowaniu odmówiła świadczenia usług mojej rodzinie, aby przysłali do domu lekarza,

gdyż mój stan wymaga opieki medycznej. Lekarz przyszedł natychmiast i po oględzinach stwierdził ostre podwyższenie ciśnienia krwi i oznaki wychudzenia. Miałem leżeć w łóżku, ale trudno mi było pogodzić to zalecenie z ogólnym podnieceniem i pragnieniem aktywności, dlatego też nie zastosowałem się do niego.

Nadszedł wieczór pierwszego dnia i nasze mieszkanie wypełniło się przyjaciółmi, którzy przyszli, by razem z nami uczcić to radosne wydarzenie. Przywitałem ich puszkim listem do przyjaciela, którego początek wydał mi się w pełni adekwatny do obecnego wydarzenia i jego bohatera: „Wymknąłem się eskulapowi chudy, ogolony, ale żywy. Jego dręcząca łapa nie ciąży już nade mną”. Wielu z przyjaciół, biorąc pod uwagę niezwykłość sytuacji, przyniosła ze sobą skromne uzupełnienie niebogatego stołu, a produkty zabrane z więzienia (więzienna kielbasa, więzienny czarny chleb, cebula i herbatniki) bardzo się przydały. Przypomniały mi się słowa dozorczy: „Wszystko bierz, tam wszystko może ci się przydać”. Rzeczywiście wszystko się przydało, ale nie „tam”, gdzie on myślał. Uczta, bynajmniej nie wyszukana, przeciągnęła się prawie do zorzy paschalnej. Było to zaiste zmartwychwstanie po symbolicznym ukrzyżowaniu. Wstrząsająca symbolika dla rozmyślań mistyczno-filozoficznych!

Po dniach odurzenia wolnością stopniowo przyszło otrzeźwiający wpływ otaczającego środowiska. „Sprawa lekarzy” w jej prawnò-karnym kontekście została zakończona. Ale byłoby błędem formalnym zakończenie relacji w tym momencie. „Sprawa” istniała w świadomości społeczno-politycznej i jej echo rozlegało się jeszcze przez długi czas zarówno w planie ogólnym, jak i indywidualnym.

Przede wszystkim zostałem zalany falą informacji dotyczących wydarzeń, jakie nastąpiły podczas mojego pobytu w więzieniu. W tym czasie kontynuowano ataki na lekarzy pochodzenia żydowskiego, którzy jeszcze przebywali na wolności. Wyjątkowo szalał *Medicinskij rabotnik*, którego stronice roiły się od zajadłych oszczerstw rzuconych na tego czy innego lekarza narodowości żydowskiej, niczym nie ograniczonych, choćby kryteriami prawdopodobieństwa.

Brak pieniędzy zmusił moją żonę do sprzedania niektórych rzeczy, ale natychmiast do MGB doniesiono, że żona sprzedaje przedmioty, które podlegały konfiskacie po wydaniu wyroku na

mnie. W związku z tym w moim mieszkaniu pojawili się pracownicy MGB, ale upewniwszy się, że żona sprzedała to, co pozostawiono do jej dyspozycji, na wszelki wypadek zalecili jej, by nie robiła tego, żeby nie rozdrażniać donosicieli.

Początkowo byłem objęty okresem ochronnym jako chory na hipertonię; nadciśnienie utrzymywało się nie tylko z powodu więziennych przeżyć, ale także w wyniku oddziaływania środowiska zewnętrznego. Kilka dni po „ekshumacji” zadzwoniła do mnie sekretarz techniczny organizacji partyjnej instytutu i z polecenia sekretarza biura partyjnego zaprosiła mnie na zamknięte zebranie partyjne, na którym miała być rozpatrywana kwestia ponownego przyjęcia mnie do partii. Odpowiedziałem, że wyrzucono mnie z partii, ale już przywrócono w szeregi jej członków, i że legitymację partyjną wręczono mi przy zwolnieniu. Dlatego też uważam, że nie ma żadnej konieczności przywracania mnie jako członka partii w organizacji instytutu. Na to moja rozmówczyni zaoponowała, iż organizacja partyjna instytutu także skreśliła mnie z listy członków i teraz zgodnie ze statutem powinna oficjalną uchwałą przyjąć mnie z powrotem. Byłem (i do tej pory jestem) towarzyszem nie bardzo zorientowanym w rytuałach statutowych, ale wiedziałem, że żadna sprawa personalna, a tym bardziej wykluczenie, nie może być rozpatrywana zaocznie. Dlatego starałem się wykręcić złym stanem zdrowia i odmówiłem przybycia na zebranie twierdząc, że skoro wyrzucili mnie z partii pod moją nieobecność, to i przyjąć mogą beze mnie. Jednakże w tym wypadku, nie wiadomo dlaczego, trzeba było ściśle przestrzegać rytuału i usilnie proszono mnie, bym przybył na to zebranie, na którym rozpatrywano tylko tę jedną sprawę. Nie miałem wyjścia — musiałem pójść. Poczulem się osaczony przez wrogów, jakbym im coś ukradł, pozbawił ich czegoś cennego, czymś mocno obraził. Wyraz twarzy komunistów (w większości kobiet) był taki, jakby brali oni udział w pogrzebie, a nie w przywracaniu do życia pokrzywdzonego towarzysza. Sekretarz organizacji partyjnej ze strachu w twarzy poinformowała mnie (konfidencko) o tym, że po instytucie krążą moje wypowiedzi. Przypisywano mi (nie bez podstaw) słowa, że tylko śmierć Stalina uwolniła mnie i innych z więzienia i uchroniła od nieuniknionego stracenia. Była wstrząśnięta takimi myślami i niebezpieczeństwem związanym z ich rozpowszechnianiem. Tak silny był stalinowski duch w atmosferze, którą wiele lat oddychali

ci towarzysze i od której nie mogli bezboleśnie uwolnić swojego na wskroś przenikniętego nią organizmu. Sekretarz organizacji partyjnej oświadczyła, że jest tylko jedna sprawa — przywrócenie mnie w prawach członka partii w wyniku mojej całkowitej rehabilitacji i ponownego przyjęcia do pracy i zaproponowała, by przegłosować tę propozycję. Wszyscy bez wyjątku podnieśli ręce „za”.

Po krótkim odpoczynku odwiedziłem A. Abrikosowa i to spotkanie zapamiętałem bardziej niż inne. Wysłuchałem jego relacji o tym, jak spędził okres „sprawy lekarzy”, i chciałbym ją szczegółowo przekazać. Jest ona reprezentatywna dla epoki, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że jej bohaterem nie jest zwykły profesor, a wybitny uczony o światowej sławie, akademik uhonorowany tytułem Bohatera Pracy Socjalistycznej, laureat Nagrody Stalinowskiej. Na ścianie domu, w którym mieszkał, po jego śmierci umieszczono tablicę pamiątkową, jego imieniem nazwano ulicę, na której znajduje się budynek kierowanej przez niego katedry, a przed wejściem do gmachu stoi jego popiersie. Dla niego „sprawa lekarzy” zaczęła się wcześniej, niż zaczęła ona zataczać szersze kręgi. Jego żona F. Wolf, Żydówka z pochodzenia, pracowała jako prosekutor w szpitalu kremlowskim, jej mąż natomiast był konsultantem w tym samym szpitalu. Kiedy zaczęły się aresztowania kierownictwa kliniki, niektórych lekarzy i konsultantów, zwolniono ich oboje z pracy. Nie rozumieli przyczyn takiej decyzji, w zwyczajach tego czasu nie leżało jednak wyjaśnianie komukolwiek czegokolwiek. Tym bardziej groźnym objawem był sam fakt, i zwolnieni gubili się w domysłach, czym rozgniewali surowe kierownictwo i czy nie jest to początek poważniejszych represji. W takim nieumotywowanym zwolnieniu było zawsze coś złowieszczonego.

Dalsze wydarzenia nie tylko nie rozwiąły wątpliwości Abrikosowa, ale wywołały jakąś wewnętrzną obawę, mimo jego zrównoważonego charakteru i filozoficznego stosunku do otaczającego świata. Z epickim spokojem, bez jakichkolwiek emocji opowiadał mi, jak wyglądało jego życie w tym okresie. Mieszkali przy ulicy Nowosłobodzkiej w domu zasiedlonym przez profesorów medycyny, ale z otoczenia coraz to ubywał ktoś, zmuszony przeprowadzić się do mniej komfortowych pomieszczeń więziennych. Sytuacja, jaka się wytworzyła, nie sprzyjała utrzymywaniu normalnych kontaktów przyjacielskich z przedstawicielami tego światka, albowiem każdy z nich mógł być potencjalnym kandydatem do prze-

prowadzki. Do tego jeszcze Abrikosow i jego żona stali się osobistościami podejrzanymi, na ich politycznej reputacji ciążyło piętno pracy w szpitalu kremłowskim. Żyli praktycznie w całkowitej izolacji od społeczeństwa i zastraszonego otoczenia. Sytuacja nie uległa zmianie, kiedy Abrikosow zjawił się w katedrze, którą kierował ponad trzydzieści lat. Pracownicy wręcz demonstrowali swój niechętny stosunek do profesora. Rzadziej zwracali się do niego po konsultacje, a jeśli to już robili, to jakby ze strachem. Zwykle stale szeroko otwarte drzwi do gabinetu były teraz zamknięte i większą część dnia pracy Abrikosow spędzał w całkowitej samotności. Faktycznym gospodarzem katedry stał się jego najbliższy współpracownik, profesor A. Strukow. Zdaniem Abrikosowa, zazdrośnie strzegł on swego autorytetu. Wszelkim kontaktom z Abrikosowem nadawano znaczenie niemal wykroczenia. Strukow, człowiek wyczulony na atmosferę polityczną, niewątpliwie kierował się nią (a prawdopodobnie odpowiednią instrukcją) w stosunku do Abrikosowa.

Pewnego, jak mówią, pięknego dnia Abrikosow po przyjeździe rano do katedry zastał na biurku w swoim gabinecie telefonogram od rektora Instytutu Medycznego, profesora Tałyzina, który zapraszał go do siebie na godzinę trzecią. Abrikosow powiedział mi, że domyślał się, w jakim celu został zaproszony, więc na wszelki wypadek napisał podanie z prośbą o zwolnienie go ze stanowiska kierownika katedry.

Kiedy zjawił się u profesora Tałyzina, ten natychmiast wezwał sekretarza organizacji partyjnej instytutu, w którego obecności miała miejsce następująca rozmowa: — Aleksieju Iwanowiczu, wspominaliście kiedyś, że chcielibyście opuścić katedrę. Czy nie zmieniliście zamiaru? — Pytanie to miało związek z plotkami, jakie krążyły w świecie medycznym kilka lat temu. Dotyczyły one projektu wprowadzenia, na wzór niektórych zagranicznych uniwersytetów, tytułu honorowego profesora. Wyróżniony tym tytułem byłby zwolniony z funkcji kierownika katedry z zachowaniem dotychczasowego wynagrodzenia i możliwości pracy w katedrze. Chodziły słuchy, że jako pierwsi będą mogli skorzystać z tego przywileju W. Winogradow oraz A. Abrikosow, który otwarcie wypowiadał się, że z ochotą przyjąłby taką propozycję; była to przecież, i tak wszyscy to rozumieli, forma nagrody dla uczonego za wieloletnią owocną działalność. Ale nie miało to nic wspólnego

z pytaniem zadany przez profesora Tałyzina. Abrikosow zrozumiał, że grzecznie proponuje mu się opuszczenie katedry, i na pytanie profesora wyjął z teczki przygotowane podanie, które wręczył mu mówiąc, że nie zmienił zamiaru. Oczywiście w warunkach realizacji tego zamierzenia były zasadnicze różnice: chodziło nie o honorowe odejście ze znacznymi przywilejami materialnymi, a po prostu o przejście na emeryturę, ale trzeba było robić dobrą minę do złej gry. Zobaczywszy tę dobrą minę w postaci podania o zwolnienie, rektor i sekretarz organizacji partyjnej wymienili porozumiewawcze spojrzenia i nie mogli, jak powiedział Abrikosow, ukryć swojego zadowolenia tak nieoczekiwane szybkim rozwiązaniem problemu. Abrikosow powiedział rektorowi, że zapewne może on się zwolnić tylko za zgodą Komitetu do Spraw Szkół Wyższych (przyszłe Ministerstwo Szkolnictwa Średniego i Wyższego), w którego gestii było powoływanie i zwalnianie profesorów. Rektor i sekretarz pośpiesznie zapewnili Abrikosowa, że dopilnują wszystkiego sami i żeby o nic się nie martwił. Rzeczywiście wszystko załatwili w błyskawicznym tempie — ledwie Abrikosow zdążył wrócić do katedry (minęło nie więcej niż pół godziny), a na swoim biurku zastał decyzję rektora o odwołaniu go z kierownictwa katedry na własną prośbę. Prośba była przykrywką, ale w istocie było to wygnanie; Abrikosow w katedrze więcej się nie zjawił, a jej kierownikiem został profesor A. Strukow. Działo się to na przełomie stycznia i lutego 1953 roku.

Wiadomość o odejściu Abrikosowa z I Instytutu Medycznego obiegła środowisko profesorów i wykładowców (jednocześnie z kłamliwymi plotkami o jego aresztowaniu). Na zebraniu rady profesorskiej jedna z członkiń rady (profesor J. Dąbrowska) wystąpiła z informacją o nieoczekiwanym odejściu z instytutu jednego z najbardziej szanowanych profesorów i uczonych, najstarszego profesora instytutu, i zaproponowała, by został on w składzie członków rady naukowej. Propozycję przyjęto, nie było bowiem powodów do odmowy, gdyż nikt otwarcie nie zdyskredytował Abrikosowa. Dowiedziawszy się o tym, że nie będąc kierownikiem katedry pozostaje w składzie rady naukowej, Abrikosow nie przeczuwając niczego zjawił się na najbliższej obronie jakiejś pracy doktorskiej. Po obronie sekretarz zaczęła obchodzić członków rady wręczając im karteczki do głosowania. Kiedy doszła do Abrikosowa, spojrzała na listę i pominęła go. Abrikosow zrozumiał, że przy-

jęcie propozycji Dąbrowskiej było fikcją, i więcej nie pojawił się na zebraniu rady, zresztą nikt go o nich oficjalnie nie powiadamiał.

Następnym aktem naukowo-społecznego ostracyzmu Abrikosowa było usunięcie go z redakcji pisma *Archiwum patologii*, którego był założycielem i jedynym redaktorem. Kiedyś, zaraz po zwolnieniu z I Instytutu Medycznego, otrzymał do domu telefonogram, w którym zapraszano go do Ministerstwa Zdrowia na spotkanie z zastępcą ministra do spraw kadr Bielousowa. Przejawiając wzruszającą troskę o zdrowie Abrikosowa, minister zwrócił się do niego: — Aleksieju Iwanowiczu, skarżyliście się kiedyś na zdrowie (Abrikosow chorował na bóle nerwu potrójnego), czy nie jest wam zbyt ciężko pełnić obowiązki redaktora *Archiwum patologii*, przecież to takie męczące? — Opowiadając przebieg tej rozmowy Abrikosow z właściwym sobie subtelnym poczuciem humoru powiedział: — Chociaż nigdy nikomu nie żaliłem się, że trudno mi sprostać obowiązkom redaktora *Archiwum*, ale skoro kierownictwo mówi, że trudno, to znaczy, że tak jest. — I zgodził się z Bielousowem, że praca w redakcji *Archiwum*, choć nietrudna, to zawsze jest kłopotliwa. Wtedy Bielousow poinformował Abrikosowa, że biorąc to pod uwagę postanowił uwolnić go od owego kłopotu, to znaczy od obowiązków redaktora *Archiwum patologii*, i że czasowo powierzył je sekretarzowi *Archiwum*, temu samemu Strukowowi. Tak Abrikosow został odsunięty od ważnej działalności społeczno-naukowej. Ale Strukow zachorował, redakcja została bez kierownictwa i kierowniczka redakcji będąc w sytuacji bez wyjścia często zwracała się do Abrikosowa z prośbą o radę czy rozstrzygnięcie jakichś wątpliwości. Abrikosow dla dobra pisma nigdy nie odmawiał pomocy.

Kiedyś akademik N. Aniczkow, prezes Akademii Nauk Medycznych, w czasie przypadkowego spotkania z Abrikosowem na klatce schodowej domu, w którym obydwaj mieszkali, wyraził swoje oburzenie z powodu odsunięcia go od kierowania *Archiwum*, że jest to niedopuszczalne, że pismo nie może istnieć bez Abrikosowa jako redaktora i że w tej sprawie porozmawia z Bielousowem. O wyniku rozmowy poinformował Abrikosowa. Bielousow powiedział Aniczkowowi, że sam nie może podjąć decyzji, dopóki nie omówi tego problemu w KC KPZR. Po wyjaśnieniu sprawy w tej wyższej instancji Bielousow prosił, aby Aniczkow przekazał Abrikosowi,

że na czas choroby Strukowa może przejąć kierowanie pismem.

Wysłuchałem tej relacji i żartem powiedziałem Abrikosowowi: — Postępowano z wami jak z Żydem. — On zaś zupełnie poważnie przytaknął: — Tak, tak; jak z Żydem... — Trudno powiedzieć, jak zakończyłaby się odyseja Abrikosowa, gdyby nie szczęśliwe zakończenie „sprawy lekarzy”. Możliwe, że wszystko, co go spotkało, było tylko preludium do czegoś bardziej groźnego, że jego los był z góry przesądzony. Przypadek Abrikosowa to przykład nie błyskawicznej rozprawy, ale systematycznego represjonowania, doprowadzonego jednakże do logicznego zakończenia dzięki okolicznościom niezależnym od reżyserów. Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że wszystko, co spotkało Abrikosowa, było przedłużonym, opóźnionym włączeniem go do grona „lekarzy zabójców” podobnie jak aresztowanie akademika Liny Sztern poprzedziły długie przygotowania. Z jakiego powodu nad głową Abrikosowa zawisł karzący miecz organów bezpieczeństwa, gotowy spaść w odpowiednim momencie?! Podobne pytanie można by postawić w stosunku do wszystkich zamieszanych w „sprawę lekarzy”, a jeśli chodzi o Abrikosowa, to z punktu widzenia MGB miał on wszelkie dane, by go do niej włączyć. Dokonywał sekcji zwłok wielu wybitnych działaczy państwa radzieckiego, między innymi przewodniczącego OGPU Menżynskiego, i nie znalazł żadnych śladów działania „kazakowskiego ziela”, czego domagał się obecny przy sekcji generał OGPU. Stwierdzono jedynie miażdżycę arterii serca, która spowodowała zejście śmiertelne. Nawiasem mówiąc, zgodnie z oficjalną wersją Menżynskiego nikczemnie zamordowali lekarze, którzy wypełniali polecenia „wrogów narodu”, a Abrikosow nie umiał, albo nie chciał tego zauważyć. Znał on też prawdziwą przyczynę śmierci S. Ordżonikidze — samobójstwo. Trudno było liczyć na jego dyskrecję, lepiej byłoby, żeby swoją tajemnicę zabrał do grobu. Wszystko to sprawiło, że Abrikosow był łakomym kąskiem dla MGB, który mieli ochotę połknąć. Ale dla tego ludożerczego aktywu w tym przypadku niezbędne było społeczno-polityczne przygotowanie gruntu, biorąc pod uwagę pozycję zajmowaną przez Abrikosowa w społeczeństwie radzieckim. Zapewne w niektórych przypadkach ten czynnik hamował prostolinijność działań, analogicznie do anegdotycznego zachowania pewnego gruzińskiego fryzjera. Przyszedł do niego klient, aby się ogolić, a fryzjer, nie mogąc znaleźć pędzla, napluł na dłoń i namydliwszy ją zaczął

smarować policzki klienta. Na jego oburzony protest, fryzjer odpowiedział: — Czego się obrażasz? Okazujemy ci szacunek, innym plujemy prosto w twarz. — Widocznie Abrikosowowi okazali taki szacunek jak gruziński fryzjer klientom.

Nie dla wszystkich aresztowanych w związku ze „sprawą lekarzy” zakończyło się ono powrotem w nocy 4 kwietnia do *status quo ante*. Działały typowe paradoksy MGB. Obiektem jednego z nich stał się profesor Mark Sierejski. Był to znany psychiatra, wszechstronnie wykształcony naukowiec, znakomity pianista. Aresztowano go nieco później niż całą główną grupę „morderców w białych fartuchach” — jeśli pamięć mnie nie myli, to na początku marca, tj. krótko przed rozwiązaniem „sprawy lekarzy”. Według jego relacji oficer śledczy domagał się od niego przede wszystkim przyznania się do przestępczych związków z profesorem W. Zieleninem, jego bliskim przyjacielem, jednym z aktywistów grupy „lekarzy morderców”. Śledczy nie dał za wygraną nawet wtedy, kiedy profesor Zielenin, wypuszczony na wolność i całkowicie zrehabilitowany, odpoczywał w sanatorium nie podejrzewając nawet, że jest mordercą w białym fartuchu i że od M. Sierejskiego żądają potwierdzenia tego faktu. Przy tym śledczy nie szczędził odpowiednich epitetów pod adresem Zielenina, co sprawiło, że Sierejski nie miał wątpliwości co do losu profesora, który jego zdaniem został już rozstrzelany, albo znajdował się na najlepszej drodze ku temu. Dlatego też finał tego piekła był dla Sierejskiego pełnym zaskoczeniem. Pod koniec kwietnia zamiast kolejnego przesłuchania śledczy zadał mu pytanie: — Tak więc zaprzeczacie, że jesteście kanalia? To wynosić się stąd. Won! — Wypisano mu przepustkę i wypuszczono za bramę Łubianki. Miał takie uczucie, jakby go nie zwolnili, a wygnali jak chłopca, który coś przeszkrobał. Nie obraził się i komunikacją miejską udał się do domu, do końca nie rozumiejąc sensu rozegranej farsy, której był biernym uczestnikiem. Ale pisałem już o tym, że teatralne przedstawienia, czasami w stylu prymitywnego kryminału, były zwykłą metodą pracy w byłym MGB. Dla jego pracowników była to rozrywka niczym zabawa w kotka i myszkę, w której mieli możliwość wykazania się swoją inwencją twórczą. Jeśli ktoś zebrałby wszystkie te inscenizacje, to byłoby to wielotomowe wydanie, literacki nagrobek dla niezliczonych ofiar tych spektakli. Ale na razie uchyłono tylko rąbka kurtyny.

Po dwutygodniowym okresie „aklimatyzacji” 20 kwietnia udali-

śmy się (ja i moja żona) do Soczi do sanatorium Ministerstwa Kultury ZSRR. Towarzyszyli nam nasi bliscy przyjaciele — małżeństwo Gelsteinów.

Mimo radykalnych zmian, jakie zaszły w kraju i w naszym życiu osobistym, strach przed prześladowaniem i śledzeniem, w którym żyliśmy dziesiątki lat, nie mógł zniknąć tak szybko. Zupełnie przypadkowe zdarzenia budziły naszą czujność. Na przykład kiedy wsiadaliśmy do wagonu, usłyszeliśmy szcęk aparatów fotograficznych i wydawało nam się, że to my jesteśmy fotografowanymi obiektami i że odprowadzają nas agenci bezpieczeństwa, chociaż nie byliśmy sami przy wejściu do wagonu i niekoniecznie my musieliśmy być „ofiarami” fotoamatorów z grona odprowadzających. Tym niemniej „kompleks życia pod nadzorem” nie przestawał działać.

Podczas podróży w wagonie miał miejsce incydent, który napędził nam stracha, szczególnie mojej żonie. Był to wyraźny symptom owego kompleksu. Drugiego dnia naszej podróży do przedziału weszła konduktorka wagonu, która ostrożnie zapytała, czy nazywam się Rapoport. Nieprzyjemnie było usłyszeć nagle swoje nazwisko z ust konduktorki. W pierwszej chwili zdziwiłem się, skąd zna moje nazwisko, dlaczego interesuje się mną bez powodu. Znaczy to, że ktoś jej o mnie powiedział, i nie miałem wątpliwości, kim był ten „ktoś”. Odpowiedziałem, że nazywam się Rapoport, i zapytałem, dlaczego ją to interesuje. Okazało się, że pewien człowiek podróżujący w tym samym wagonie poprosił ją, by sprawdziła, jak się nazywam. Podobno był kiedyś moim uczniem i korzystając z przypadkowego spotkania chciał złożyć mi wizytę w przedziale i porozmawiać. Kamień spadł mi z serca i oczywiście kazałem przekazać zaproszenie sąsiadowi z wagonu. Niedługo zjawił się sam. Okazało się, że istotnie jest moim byłym studentem, obecnie lekarzem sądowym zajmującym wysokie stanowisko. Znał mnie nie tylko jako swojego profesora, lecz także jako autora prac naukowych z pokrewnych dziedzin patologii. Spotkanie było bardzo przyjemne i nie mogliśmy odmówić sobie uczczenia takiej okazji koniakiem mimo protestów żony (przecież w dalszym ciągu cierpiełem na nadciśnienie). Do koniakowej uroczystości dołączyli się także pasażerowie w przedziale — świadkowie radosnego i nieoczekiwanego spotkania.

Miesiąc spędzony w Soczi był okresem spotkania z wiosną

w przyrodzie i przekrzykującą się z nią wiosną osobistego ponownego narodzenia.

W połowie naszego pobytu w sanatorium dostałem list od S. Didenki, dyrektora Instytutu im. Tarasewicza, w którym pracowałem. Pisałem już o tym wspaniałym człowieku. Szczegółowo nakreślił sytuację panującą w instytucie, milczący sprzeciw organizacji partyjnej wobec nowych prądów, niechęć do aktywnego wcielenia ich w życie i przebudowania partyjnej i społecznej świadomości, wykształconej wedle norm epoki stalinowskiej. Przygotowywał mnie do sytuacji, którą zastanę po powrocie, do podjęcia walki z nią, nieuniknionej dla mnie i dla niego.

Szczerze mówiąc nie miałem najmniejszej ochoty podejmować jakiegokolwiek walki, pragnąłem tylko spokoju, ale sytuacja nie była po temu sprzyjająca. Siemion Iwanowicz wtajemniczył mnie w to, że po moim aresztowaniu organizacja partyjna powołała komisję, której zadaniem było przetrząśnięcie laboratorium i ujawnienie mojej szkodliwej działalności. Komisja wypełniła zadanie włącznie z przygotowaniem odpowiedniego aktu zatwierdzonego przez organizację partyjną. Siemion Iwanowicz radził mi, bym zażądał tego dokumentu w celu zapoznania się z nim, a także anulowania go. Po zrehabilitowaniu przez wyższe instancje i przywróceniu do partii mogłem spokojnie zignorować ten akt. Jednakże wiązała się z tym rozpoczęta i nie dokończona sprawa S. Didenki, którego oskarżono o popieranie „wroga narodu”. Chociaż cała sprawa zawisła w próżni, ale jej likwidacja była związana z anulowaniem dyskryminującego mnie aktu. Ten argument był przekonujący, a ja zupełnie nie wziąłem go pod uwagę z powodu słabej orientacji w subtelnościach partyjnego biurokratyzmu. Po powrocie z Soczi skierowałem pismo do organizacji partyjnej, w którym powołując się na statut partii zażądałem zapoznania mnie ze wszystkimi dotyczącymi mnie decyzjami, podjętymi podczas mojego pobytu w prowokacyjnym areszcie. Decyzje trzeba było albo cofnąć, albo jeszcze raz rozpatrzyć je w mojej obecności.

Byłem pewien, że organizacja partyjna automatycznie uchyli ów akt; wierzyłem naiwnie, że anuluje go sam fakt rehabilitacji. Nie wziąłem jednak pod uwagę tego, że stalinowska machina partyjna jeszcze działa i nie ma zamiaru się poddać. Kierownictwo organizacji partyjnej instytutu widocznie po konsultacji w rejonowym Komitecie KPZR poinformowało mnie, że aktu nie uchyli, a ponow-

nie rozpatrzy dokument w mojej obecności. Jak się potem okazało, podczas owej konsultacji zasugerowano, żeby podczas rewizji aktu dążyć do potwierdzenia stawianych mi zarzutów, a co za tym idzie, uzasadnić całkowitą obiektywność dokumentu. Interesujący paradoks epoki: wyższe instancje rządowe i partyjne miały odwagę zdyskredytować nieomylność najbardziej nieomylnego aparatu władzy — organów bezpieczeństwa, miejscowy aparat natomiast jeszcze walczył o swą reputację najwyższej pryncypialności i nieskazitelności, w które dawno nikt już nie wierzył. Mój przypadek nie był odosobniony w tej walce. Negowanie rehabilitacji i sprzeciw wobec zwolnienia niewinnie aresztowanych lekarzy (i nie tylko lekarzy) w pierwszym okresie były zjawiskami powszechnymi.

„Sprawa lekarzy” nie skończyła się dla mnie na Łubiance, ale była kontynuowana przez organizację partyjną Instytutu im. Tarasewicza. W kolejny piątek odbyło się zebranie biura partyjnego w mojej obecności, na którym odczytano protokół z kontroli w moim laboratorium. Zasadniczą część protokołu poprzedziły dane osobowe członków komisji: „Komisja w składzie (tutaj wymieniono trzy nazwiska) na polecenie biura partyjnego przeprowadziła kontrolę w laboratorium patomorfologii instytutu i stwierdziła: były kierownik laboratorium J. Rapoport, doktor nauk medycznych, ur. w 1898 r., Żyd, jest zatrudniony w instytucie od 1947 r.”. Dalej punkt po punkcie następowało wyliczenie wszystkich moich grzechów ujawnionych przez komisję, które mogłyby świadczyć o szkodliwej działalności. Zarzuty były sformułowane w sposób bardzo niejasny i dotyczyły wydumanych błahych faktów o charakterze formalnym, a ich forma literacka była na miarę możliwości członków komisji. Wszystkie te zarzuty nie były warte złamane-go grosza, ale biuro partyjne nie pogardziło nimi z powodu braku konkretów i podczas rozpatrywania protokołu punkt po punkcie udowodniano słuszność zarzutów. Jedynym jasnym punktem i prawdopodobnie koronnym dowodem oskarżenia, było stwierdzenie mojego szkodliwego kierownictwa w przygotowywaniu kadr, dlatego też omówię to szczegółowo.

Jedyną „kadrą” w moim laboratorium była aspirantka I., której byłem opiekunem naukowym. Leniwa z natury, do tego młoda mężatka, w drugim roku aspirantury zaszła w ciążę i swoje zainteresowania kierowała głównie na życie prywatne. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie wspomniał, że czasami współczuła

mi, widząc moją zasmuconą twarz i domyślając się przyczyn tego smutku (przecież były to lata 1952—1953). Nie przeszkadzało jej to obojętnie odnosić się do swojej aspirantury, która powinna zakończyć się obroną pracy doktorskiej. Znakomicie wyczuwała atmosferę polityczną i rozumiała, że aby uniknąć zarzutu o umyślnie złym pokierowaniu aspirantką narodowości rosyjskiej, sam dołożę wszelkich starań i pomogę jej zakończyć doktorat. W miarę rozwoju walki z kosmopolityzmem takie motywy w różnych aspektach i w różnych warunkach były przedmiotem agresywnej uwagi; nawet prasa naświetlała je tendencyjnie. Moja aspirantka nie pomyliła się. Zdławiłem w sobie moje zasady pedagoga i opiekuna naukowego, i pomogłem w dokończeniu pracy doktorskiej, której termin obrony mijał latem 1953 r. Wiele stronic w brudnopisie napisałem sam, a i na maszynopisie naniosłem mnóstwo uwag ołówkiem na marginesie i w tekście. Dlatego też byłem wstrząśnięty, kiedy przeczytano punkt protokołu, w którym zarzucano mi, że nie tylko nie kierowałem przewodem, ale nawet nie wysiliłem się, by przeczytać pracę.

Trzeba tu nadmienić, że oprócz mnie nie było w instytucie żadnego specjalisty z dziedziny patomorfologii (a praca dotyczyła tego tematu), który mógłby pomóc tej ignorantce choć w minimalnym stopniu opracować pracę pod względem metodycznym i merytorycznym. Moje wzburzenie nie miało granic. Zażądałem, by doprowadzono do konfrontacji z I. Zaproszono ją, ale sądząc po zmieszanym wyrazie twarzy, nie była przygotowana na taką ewentualność. Na pytanie przewodniczącego, czy potwierdza ona punkt protokołu dotyczący jej pracy, pociągnęła nosem (widocznie było jej wstyd) i przez napływające łzy, nie patrząc na mnie, w pełni potwierdziła stawiany mi zarzut. Wtedy poprosiłem ją, by przyniosła brudnopis pracy, w którym było wiele moich własnoręcznych poprawek, a nawet całych stron napisanych przeze mnie. Pochlipując odpowiedziała, że nie dysponuje tym egzemplarzem, gdyż mąż go spalił. Zabrzmiło to niewiarygodnie; ja sam zachowałem rękopisy prawie wszystkich moich prac, nawet tych najwcześniejszych, chociaż miałem ich już około setki, a ona pozwoliła spalić mężowi rękopis swojej pierwszej i jedynej, do tego nie ukończonej pracy! (Później ten jakoby spalony rękopis odnalazł się). Przytoczyłem te wątpliwości. Sądząc, że będą one wiarygodne, ale „sędziowie” nie mieli ochoty wziąć ich pod uwagę;

zgodnie ze scenariuszem uwierzyli w kłamstwa I., czego zresztą nie omieszkali zademonstrować. Wtedy zażądałem, by przyniosła drugi wariant pracy, na co odpowiedziała, że ma go na dacy. Rozpatrzenie protokołu odłożono do poniedziałku, ale atmosfera, w jakiej się to odbywało, nie pozostawiała wątpliwości co do finału sprawy. Zażądałem od I. maszynopisu dysertacji, na którym było wiele moich uwag. Okazało się, że moje poprawki ktoś pośpiesznie startł, ale nie udało się usunąć śladów nacisku ołówka na papier. Każdy, nawet niedoświadczony obserwator, z łatwością mógł zauważyć ślady mojego charakteru pisma.

Postanowiłem więcej nie brać udziału w poniżającej komedii „rewizji” protokołu. Kiedy w poniedziałek przyszła po mnie sekretarz techniczny biura partyjnego, żeby zaprosić mnie na posiedzenie, wręczyłem jej pismo następującej treści: „Udział w przeglądzie protokołu rewizji w laboratorium upewnił mnie, że jest on dokonywany z tymi samymi tendencjami, które legły u podstaw powstania tego dokumentu w okresie mojego prowokacyjnego aresztowania. Dlatego też stanowczo odmawiam dalszego udziału w rozpatrywaniu tego kłamliwego dokumentu i nie mam nic przeciwko temu, jeśli odbędzie się to bez mojej obecności”.

Nie było żadnej reakcji na pismo; uznałem ten temat za wyczerpany. Powstrzymując swój wstręt do postępków I., podjąłem niezbędne działania w celu doprowadzenia do obrony pracy. Jeśli bym pozwolił zawładnąć nad sobą uczuciom, nie zrobiłbym tego i jej praca, bez mojego aktywnego udziału i pomocy, nigdy nie ujrzałaby światła dziennego, a I. nie znalazłaby się w gronie kandydatów nauk. Ale złość i mściwość to źli doradcy i zrozumiałem, że mój negatywny stosunek przede wszystkim obróci się przeciwko mnie. Byłoby to potwierdzeniem tezy, jak to nieszczęśliwy aspirant miał pecha z opiekunem. A zresztą czego można było spodziewać się po tej naiwniaczce, jeśli bardziej dojrzały ludzie z trudem wstępowali na nową drogę.

Nadszedł dzień obrony pracy doktorskiej I., która miała miejsce nie w instytucie, ale w Akademii Nauk Medycznych. Zaszczyciło ją swą obecnością całe biuro partyjne instytutu na czele z sekretarzem; podkreślono w ten sposób szczególne zainteresowanie tą obroną, chociaż dotyczyła ona bezpartyjnego aspiranta. Wszystko odbyło się wedle opracowanego schematu. I. przeczytała swój referat, potem wystąpili oponenti, wyrażając zainteresowanie

pracą, następnie aspirantka odpowiedziała oponentom, iż w pełni zgadza się z ich cennymi uwagami, które w pełni wykorzysta w swojej dalszej działalności. Na zakończenie wyraziła swą głęboką wdzięczność opiekunowi naukowemu za pomoc, której wyparła się na posiedzeniu biura partyjnego. Jednogłośnie przyznano jej tytuł kandydata nauk i otrzymawszy przydział do innego instytutu, na zawsze zniknęła mi z oczu.

Minęły tygodnie i miesiące życia radzieckiego społeczeństwa bez stalinowskiej tyranii. Idee „odwilży” stopniowo wnikały w świadomość i byt radzieckich obywateli. Rozstrzelano Riumina — organizatora „sprawy lekarzy”. Po raz pierwszy usłyszałem o tym w kolejce podmiejskiej od dziewczynki, która siedziała na ławce naprzeciw mnie z matką. Dziewczynka trzymała w rękach świeżą gazetą i czytając ją zwróciła się do matki: — Rozstrzelali tego, który męczył lekarzy. — Komunikat głosił:

„W Sądzie Najwyższym ZSRR

W dniach od 2 do 7 lipca 1954 roku izba wojskowa Sądu Najwyższego rozpatrzyła na posiedzeniu sądowym sprawę M. Riumina, oskarżonego o przestępstwo z artykułu 58,7 Kodeksu Karnego RSFRR.

W toku śledztwa ustalono, że Riumin w okresie pracy na stanowisku starszego oficera śledczego, a później przewodniczącego wydziału śledczego do spraw specjalnych byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, działając jako skryty wróg państwa radzieckiego, z pobudek karierowiczowskich i awanturniczych wstąpił na drogę fałszowania materiałów śledczych, na których podstawie sfabrykowano prowokacyjne oskarżenia i dokonano nieuzasadnionych aresztowań wielu obywateli radzieckich, w tej liczbie wybitnych przedstawicieli medycyny.

Według zeznań świadków Riumin, stosując zabronione przez radzieckie prawo metody śledztwa, zmuszał aresztowanych do przyznania się, a także oskarżania innych o dokonanie ciężkich przestępstw wagi państwowej — zdrady ojczyzny, działania na szkodę państwa, szpiegostwa i innych.

W toku ponownego rozpatrzenia spraw ustalono, że były to oskarżenia bezpodstawne, a pociągnięte do odpowiedzialności osoby zostały zrehabilitowane.

Mając na względzie szczególnie niebezpieczną szkodliwą działalność Riumina i tragiczne skutki dokonanych przez niego przestępstw, izba wojskowa Sądu Najwyższego ZSRR skazała Riumina na rozstrzelanie.

Wyrok wykonano”.

Rozstrzelanie Riumina nie było odosobnionym aktem zlikwidowania szubrawca, którego urzędnicza kariera była usłana trupami niewinnych ludzi, a zakończyła się na „sprawie lekarzy”. Oczywiście byli łajdacy większego kalibru niż on, którzy doczekali się karzącej kuli (Beria i jego poplecznicy). Komunikat o rozstrzelaniu Riumina udowodnił, że likwidacja „sprawy lekarzy” nie była tylko epizodem na pokaz, ale początkiem poważnych przemian w systemie społecznym, w organizacji społeczeństwa radzieckiego i wzajemnych stosunków między poszczególnymi jego ogniwami, początkiem nowej epoki w życiu narodu radzieckiego.

Odniosłem wrażenie, że owe przemiany najmniej dotknęły stęchłe bagno organizacji partyjnej Instytutu im. Tarasewicza, które na trwałe zastygło w starych ramach zredukowanego myślenia, ugrzęzło na dobre w ograniczonych umysłach. Dlatego byłem nieco zdziwiony wizytą sekretarza organizacji partyjnej A. Tiebiakinej z wiadomością, że koniecznie trzeba sfinalizować rozpoczętą kilka tygodni temu rewizję protokołu przeszukania. Miałem dotąd nadzieję, że na moim piśmie, w którym odmówiłem udziału w tej rewizji, incydent został zakończony, i nie byłem już tą sprawą zupełnie zainteresowany, co też wyjaśniłem sekretarzowi Tiebiakinej. Odpowiedziała mi na to, że swoim oświadczeniem naplułem w twarz organizacji partyjnej. Taka argumentacja bardzo mnie zdziwiła, do dziś jej nie rozumiem; zresztą nie zamierzałem nikogo znieważać. Przebaczył mi wyższy arbiter politycznej prawomyślności, co dawało mi pewną niezależność w postępowaniu i krytyce. Po prostu nie miałem ochoty brać udziału w komedii ponownego rozpatrywania protokołu rewizji. Na argumentację sekretarza powiedziałem, że prawidłowo zrozumieli sens i cel mojego oświadczenia, w którym odmówiłem udziału w tej komedii. Nie zamierzałem pluć im w twarz, ale cieszę się, że tak to odebrali. A. Tiebiakina nalegała, by zakończyć rewizję protokołu, i zapewniła mnie, że po obronie pracy doktorskiej przez I. wiele zrozumieli i zrewido-

wali swoje poglądy (upewniłem się, że tak właśnie było) i że teraz wszystko będzie inaczej. Nie pojmowałem, czym podyktowana jest owa konieczność w chwili, kiedy ów akt był mi całkowicie obojętny. Widocznie ponowne rozpatrzenie było niezbędne organizacji partyjnej i ta procedura nie była zapewne ich inicjatywą. Przyjąłem do wiadomości zapewnienie o tym, że teraz „wszystko będzie inaczej”, i zgodziłem się wziąć udział w zebraniu biura partyjnego. Odbywało się ono jak zwykle w najbliższy piątek i przebiegało w atmosferze demonstracyjnej życzliwości.

Rozpoczęto od przeczytania wstępu, na który składały się dane osobowe: „Komisja w składzie... zbadała i stwierdziła: kierownik laboratorium J. Rapoport, profesor, doktor nauk medycznych, Żyd itd.” Dalej następowały te same punkty zawierające wyniki rewizji. Przecież nie można było zanegować protokołu w całości, trzeba było go rozpatrzyć punkt po punkcie. Kolejne punkty protokołu, zawierające zarzuty pod moim adresem, były jeden po drugim obalane jako nieaktualne i nie mające potwierdzenia w rzeczywistości. Kiedy przyszła kolej na punkt dotyczący pracy doktorskiej I. i wykluczenie go z aktu jako kłamliwy, zastępca sekretarza organizacji partyjnej (obecnie akademik) zaproponował, by zaprotokołować, że I. wprowadziła w błąd organizację partyjną. Przysłuchując się do tej pory w milczeniu, zaprotestowałem teraz przeciwko tej propozycji dyskredytującej całą organizację partyjną, którą zdołała wprowadzić w błąd jedna bezpartyjna idiotka. Nie pamiętam już, czy mój sprzeciw przyjęto.

Po ponownym rozpatrzeniu wszystkich punktów dokumentu przewodniczący zaproponował, żeby przeczytać akt w całości i zaakceptować go w tej postaci, w jakiej ocalał po „rewizji”. Ponieważ protokołu nie uchylono w całości, lecz rozpatrywano go punkt po punkcie, okazało się, że dokument składa się tylko z części wprowadzającej z danymi Żyda Rapoporta i z podpisów członków komisji. Roześmiałem się, kiedy taki wykastrowany akt został odczytany, i oświadczyłem, że teraz mogę się pod nim podpisać. Ten anegdotyczny produkt partyjno-biurokratycznej twórczości na pewno jest przechowywany w archiwum organizacji partyjnej instytutu im. Tarasewicza.

Na tym zebraniu zakończyła się dla mnie „sprawa lekarzy”. Finałem tragedii była farsa.

Rozdział IX

Jak powstała „sprawa lekarzy”

Czytelnik zapewne z niecierpliwością oczekuje zakończenia książki, w którym powinno znaleźć się logiczne wyjaśnienie opisanego głównego epizodu — „sprawy lekarzy”. Jednakże autor nie jest w stanie pokusić się o takie wyjaśnienie, które byłoby wyczerpujące. Jest to zadanie dla historyków i socjologów, którzy będą mieli możliwość obiektywnego zbadania wszystkich materiałów ze stalinowskiego okresu państwa radzieckiego, a także z okresów poprzedzających i następujących po nim. Inaczej mówiąc, ten epizod, jak każdy inny w historii państwa radzieckiego, może zostać zrozumiany i logicznie wytłumaczony tylko w procesie badania rozwoju ustroju radzieckiego od pierwszych dni jego istnienia oraz analizy dokumentacji dotyczącej samej „sprawy”. Jednakże autor ma obawy, że formalne dokumenty epoki, a szczególnie te dotyczące „sprawy”, nawet jeśli zachowały się w archiwach i zostaną udostępnione do wszechstronnych obiektywnych studiów, nie będą w stanie ujawnić tła intrygi „sprawy lekarzy”, ukrytych mechanizmów jej powstania.

Mogą zostać ujawnione sprężyny tej „sprawy” bez całej skomplikowanej sieci prowokacji, intryg, wewnętrznych rozgrywek na samym szczycie władzy, gdzie porażka oznaczała gwałtowną śmierć. Wszystkie tyranie mają wspólne cechy: logikę, główny sens i formy zewnętrzne. Wiodącym elementem w tej logice jest wola tyrana, która z kolei często jest wyrażeniem nieuświadomionej przez niego, zakamuflowanej woli najbliższego otoczenia.

Władza stalinowska była wzorcem tyranii, a sprawujący tę władzę — tyranem w najdoskonalszej formie. Jak każdy tyran,

nie był on wolny od wielu ludzkich słabostek. Jego psychologiczny portret jest wyjątkowo skomplikowany i nie do końca opracowany. Chociaż pędzle wielu artystów przyłożyły się do niego, to ujawnienie tego obrazu metodami artystycznymi prowadzi do sprzeczności. Autor, nie będąc pisarzem, lecz tylko „kronikarzem”, do tego ograniczonym doświadczeniem osobistym, nawet nie próbuje wnieść pociągnięcia swojego pędzla do psychologicznego portretu tyrana. Jednakże ma wrażenie, że ów portret jest bardziej prosty, schematyczny, niż mogłoby się to wydawać. Jego główne cechy to hipokryzja i wiarołomstwo w połączeniu ze sprytem zwierzęcia, które wprowadzały w błąd nawet „szczwane lisy”; bezwzględna surowość nienasyconego, żadnego krwi ludożercy; podejrzliwość paranoika i fizyczne tchórzostwo. Wszystkie te cechy razem stworzyły obraz z pogranicza kryminologicznej psychopatologii. Ale „jeśli to szaleństwo, to jest w nim metoda”, jak powiedział Poloniusz. Doszukiwać się logiki w szeregu postępów Stalina, całej epoce jego władzy i jej pojedynczych epizodach to zajęcie niewdzięczne. Analiza tych poczynań jest beznadziejna, jeśli posługiwać się zwykłymi kryteriami od analizy zachowań *Homo sapiens* z epoki neandertalskiej.

Do systemu ustanowionego przez Październik Stalin wniósł zmiany, swoją „poloniuszową” metodę.

„Sprawa lekarzy” była kulminacją, logicznym zakończeniem alogicznego systemu stalinowskiego. Zrozumienie docelowego sensu tej „sprawy” z punktu widzenia zdrowego rozsądku nie jest możliwe. Możliwa jest tylko charakterystyka kolejnych, następujących po sobie czynników, których ukoronowaniem była „sprawa lekarzy”. Trzeba jednak pamiętać, iż fakty te (ich wiarygodność często bywa wątpliwa) są zbyt powierzchowne, by na ich podstawie pokusić się o głęboką analizę mechanizmów tej sprawy. Niektóre z nich są przytaczane ze źródeł półoficjalnych, inne ujawnił Chruszczow na XX Zjeździe KPZR. Konfrontacja tych faktów daje nam w efekcie następujący obraz:

Osobistym lekarzem Stalina był profesor W. Winogradow, świetny klinicysta o dużym doświadczeniu. Stalin w ostatnich latach cierpiał na nadciśnienie tętnicze i arteriosklerozę mózgu. Występowały u niego okresowe zakłócenia krwioobiegu, w wyniku czego bezpośrednią przyczyną śmierci stał się wylew krwi do mózgu. Podczas sekcji zwłok stwierdzono liczne drobne torbiele

(cysty) w tkance mózgu, szczególnie w płatach czołowych, które powstały na skutek drobnych ognisk rozmiękczenia tkanki mózgowej w rezultacie hipertonii i arteriosklerozy. Zmiany te (a szczególnie lokalizacja w płatach czołowych mózgu odpowiedzialnych za skomplikowane formy zachowań człowieka) i spowodowane tym naruszenia psychiki dodatkowo wpłynęły na konstytucjonalny, właściwy Stalinowi despotyzm i nasiliły go. „Psujący się charakter”, zauważany przez członków rodziny i bliskich, z którego powodu musieli znosić wiele przykrości, często jest pierwszym objawem miażdżycy mózgu. Można sobie wyobrazić, jak owa choroba wpłynęła na tego naturalnego despotę i tyrana.

Podczas swojej ostatniej wizyty lekarskiej na początku 1952 r. W. Winogradow stwierdził u Stalina gwałtowne pogorszenie stanu zdrowia i zaznaczył w historii choroby konieczność specjalnej opieki lekarskiej i całkowitego zrezygnowania z wszelkiej działalności. Kiedy Beria poinformował Stalina o konkluzji Winogradowa, Stalin wpadł w szal. Jak ten uczony impertynent ośmielił się odmówić mu jego nieograniczonej ziemskiej władzy! — W kajdany go zakuć, w kajdany! — ryknął (tak relacjonował to Chruszczow na XX Zjeździe KPZR).

Jednakże jeden Winogradow nie mógł zadowolić rozmiaru złośliwej mściwości Stalina. „Genialny wódz światowego proletariatu” rozumował i działał większymi kategoriami, gdy chodziło o losy ludzkie. Jego wyobrażenia kryminologiczne były stereotypowe: spiski z mniejszą lub większą liczbą uczestników. Wariacjom podlegała jedynie treść spisków, ich ukierunkowanie, nikczemne metody spiskowców. Przy czym nigdy nie pamiętał, że przeważnie sam był autorem i inicjatorem tych spisków, a ich realizacją, często wręcz teatralną, zajmował się wyspecjalizowany aparat MGB i radziecka Temida z jej wybitnymi kapłanami — Wyszynskim, Krylenką, Ulrichem i innymi. Stalin zapewne nie dopuszczał do świadomości, że idea spisków często rodziła się w jego własnym mózgu, ale w trakcie realizacji pomysłu zaczynał wierzyć w to wszystko, co sam wymyślił. Przykłady takich obsesji znane są nauce, kiedy oczywista fałszywość faktów była traktowana przez autora z wiarą w ich prawdziwość, jeśli potwierdzało to ideę. Takie maniakalne idee przejawiał Stalin, z zimną krwią wydając wyroki na tysiące obywateli, którzy faktycznie lub rzekomo przeszkadzali mu w jedynowładztwie tyrana.

Ostatnie czynniki dominowały nad nabytą w wyniku arteriosklerozy nadbudową psychologiczną i były z nimi skoordynowane.

Biorąc pod uwagę psychologiczne ukierunkowanie paranoidalnego psychopaty, jakim był Stalin, w zachowaniu Winogradowa nie mógł on dostrzec tylko jednostkowego, skierowanego przeciwko niemu, terrorystycznego aktu. Nabrał mocy łańcuch wymyślony przez psychopatę o zwichrowanej logice.

Pierwszym ogniwem tego łańcucha był fakt posłuszeństwa lekarzy, którzy nie bacząc na etykę zawodową podporządkowywali się jego politycznym celom. Pamiętał orzeczenie posłusznych lekarzy w związku ze śmiercią jego żony, która popełniła samobójstwo, oni zaś zaświadczyli, że śmierć nastąpiła na skutek zapalenia wyrostka robaczkowego. Pamiętał także, że sfalszowano również orzeczenie o śmierci Ordżonikidze, który też popełnił samobójstwo, natomiast zgodnie z oficjalną wersją zmarł na zawał serca. Nie zapomniał również orzeczenia ekspertów w sprawie „nikczemnego uśmiercenia” Menżynskiego, Gorkiego i jego syna przez leczących ich lekarzy (Pletniewa, Lewina, Kajakowa). Oskarżenie ich o to, potwierdzone surowym wyrokiem sądu, do dnia dzisiejszego nie zostało odwołane *. Przypominał sobie służalczość naukowej elity (także i lekarskiej) podczas inspirowanej przez siebie dyskredytacji akademików Orbeli i Sztern oraz wielu innych uczonych i jednocześnie ukoronowanie tytułem geniusza dyletantki Lepieszynskiej, do czego przyczyniło się ponad 120 uczonych o różnym stopniu upadku moralnego i różnej rangi. Pamiętał też lekarzy, pracowników MGB, którzy wypełniali nikczemne i najbardziej podle zadania. Jako przykład takiego postępowania mógłbym przytoczyć fakt aresztowania młodej kobiety, która była w piątym miesiącu ciąży.

Stalin nie był pierwszym, który wykorzystywał medycynę i lekarzy w celach osobistych i politycznych. Zapewne wiedział on (w granicach jego znajomości źródeł historycznych i literatury pięknej), że na przestrzeni historii działacze polityczni wykorzystywali lekarzy w celu urzeczywistnienia swych zamiarów, często przestępczych, lub dla ich zamaskowania. W przyszłości obiektywni i uczciwi socjologowie nakreślą zapewne obraz rażącej moralności społecznej w epoce stalinowskiej i tej, która

* Wymienionych lekarzy zrehabilitowano w 1988 r. (przyp. aut.).

po niej nastąpiła, oraz pokuszają się o indywidualną charakterystykę nosicieli tej moralności z całą jej różnorodnością. Jednakże nie czekając na wyniki tych badań, można zaryzykować stwierdzenie, że jeśli chodzi o moralność radzieckiego społeczeństwa, to nie przedstawiało ono sobą „marksistowsko-leninowskiego” monolitu, a raczej kruchy zlepek zmurszałych pojęć etycznych. Z tego konglomeratu dla jakiegokolwiek organizowanego przedsięwzięcia w każdej chwili można było pozyskać dowolną liczbę łotrów, którzy z powodzeniem wypełniali zadania — nie wyłączając przedstawicieli uprzywilejowanej elity. Nie trzeba daleko szukać przykładów — wystarczy tylko przypomnieć komisję ekspertów powołaną do zbadania „sprawy lekarzy.” Werbowanie wykonawców brudnej roboty ułatwiałoby powoływanie się na obowiązek wobec partii i państwa, co zwalniało od jakiejkolwiek odpowiedzialności moralnej. Nie mogę powstrzymać się od przytoczenia sentencji pewnej panienki, której zarzucano prowadzenie się niezbyt moralne. Na zarzuty odpowiedziała: — Każdy ma swoje zasady i swoją moralność. — Sentencja całkiem na czasie.

Sprzedajność elity była następnym ogniwem w łańcuchu paranoidealnej logiki Stalina. Nie wierzył on w to, że ludzie w jego kraju są oddani jakiejkolwiek idei, chociaż II wojna światowa powinna go wyprowadzić z błędu; organa bezpieczeństwa natomiast przedstawiały społeczeństwo radzieckie jako bandę potencjalnych zdrajców, którzy czekali tylko na okazję — na tym opierała się Łubianka! Stalin i jego współpracownicy nie dopuszczali nawet myśli o tym, że mimo osiągnięć stalinowskiej epoki w upadku moralności społeczeństwa radzieckiego, istniały jakieś granice ilościowe i jakościowe owego rozkładu. Granice określało niezniszczalne przyrodzone ludzkie i obywatelskie sumienie narodu w dziedzinie zawodowej i naukowej. Jeśli rozpatrywać sumienie lekarskie, to nieprzypadkowo lekarze oskarżeni o najcięższe przestępstwa byli akurat najbardziej reprezentacyjnymi posiadaczami tego sumienia. Było to pokolenie medyków, którzy z rąk starych nosicieli najlepszych tradycji medycyny przejęli te tradycje i wnieśli do swojej działalności, a co za tym idzie, najważniejsze przykazanie medyczne: nie szkodzić (*noli nocere*)!

Nie byli oni bynajmniej aniołami, lecz ludźmi, i nie były im obce słabości ludzkie, często zintensyfikowane przez epokę stalinowską. Ale byli oni lekarzami w najlepszym sensie tego słowa.

wiernymi lekarskiemu powołaniu. Najlepszym dowodem jest ich działalność na przestrzeni dziesiątek lat i tysiące uratowanych istnień ludzkich.

Jednakże światopogląd Stalina wykluczał wysokie pojęcia etyczne. Oglupiony ideami spisków i w tym przypadku podejrzewał zimowę. Dlatego też początkowa wściekłość skierowana przeciwko Winogradowowi przerodziła się w ideę wielkiego spisku lekarzy i wprawiła w ruch usłużny aparat MGB, na którego czele stał wówczas Abakumow, a potem Ignatiew. Wyszło na jaw szczególnie obiecujące pole działalności tego aparatu, w czym bezpośrednio był zainteresowany sam władca absolutny. Zadanie to przewyższało swą wagą podobne akcje w dotychczasowej historii MGB; było ono bezprecedensowe, także dlatego, że dotyczyło samego Stalina. I aparat zaczął pracować natychmiast. W łonie MGB w typowy sposób opracowano wersję wielkiego spisku, tym razem wybitnych lekarzy kraju przeciwko działaczom państwowym Związku Radzieckiego, a i ta abstrakcyjna wersja zaczęła przybierać konkretne kształty, wypełniać się ludźmi w miarę rozwoju akcji. Początek dały aresztowania z kręgów kierownictwa szpitala kremłowskiego. Do akcji włączono lekarkę L. Timaszuk, pracownicę zakładu elektrokardiograficznego szpitala kremłowskiego, tajną agentkę MGB; czy ze zbytnej gorliwości i nadmiaru inicjatywy, czy też zgodnie z poleceniami dostarczała ona organom śledczym materiałów dotyczących nieprawidłowych, jej zdaniem, orzeczeń o stanie zdrowia pacjentów i działań podjętych przez leczących profesorów, które zaobserwowało jej kompetentne i bystre oko. Panorama spisku ożywała w miarę aresztowania najwybitniejszych lekarzy specjalistów. L. Timaszuk wyniesiono do rangi Joanny d'Arc, szczególnie po fakcie przyznania się aresztowanych do „winy”. Nie trzeba chyba wspominać, jakimi metodami były wymuszane te zeznania, po tym kiedy zostały one napiętnowane w komunikacie rządowym 4 kwietnia 1953 roku? Były to metody sprawdzone w czasie wieloletniej działalności organów bezpieczeństwa, z których pomocą wrogom „przyznanie się do winy wydzierano z gardła”, jak jeszcze w 1937 roku radził W. Mołotow, najbliższy poplecznik Stalina. Metody te polegały na zadawaniu bólu fizycznego, a także na potężnym oddziaływaniu psychologicznym, którym trudno się było oprzeć.

„Sprawa lekarzy” początkowo była pozbawiona charakteru

narodowościowego. W gronie przestępców znaleźli się zarówno Rosjanie, jak i Żydzi. Ale później sprawę skierowano przede wszystkim „na tory żydowskie”.

„Żydowski” charakter „sprawy lekarzy” nadał jej Riumin; w każdym razie rolę tę przypisał mu Chruszczow. Riumin poinformował Stalina o istnieniu spisku, „żydowskich nacjonalistów burżuazyjnych” inspirowanych przez wywiad amerykański. Przy tym Riumin wspomniał Stalinowi, że minister bezpieczeństwa Abakumow wie o tej zmowie, gdyż rzekomo powiedział mu o tym wcześniej aresztowany profesor Etinger. Ale Abakumow jakoby chciał zataić istnienie spisku (dlaczego — nie wiadomo!) i żeby Etinger mu w tym nie przeszkodził, zamordował go w więzieniu. Prawdziwa przyczyna śmierci Etingera w więzieniu prawdopodobnie nigdy nie zostanie ustalona. W ostatnim okresie życia, przed aresztowaniem cierpiał on na miażdżycę naczyń wieńcowych oraz na częste ataki astmy i prawdopodobnie jego serce po prostu nie wytrzymało przeżyć związanych z przebywaniem w więzieniu. Stalin poważnie potraktował donos Riumina. Abakumowa zdjęto ze stanowiska ministra bezpieczeństwa, aresztowano i zastąpiono Ignatiewem, a całe śledztwo związane ze „sprawą lekarzy” przekazano Riuminowi. W ten sposób jeden pajak z MGB pożarł drugiego pajaka w nadziei zawładnięcia jego pajęczyną. Riumin gorliwie rozwijał sprawę w pożądanym kierunku, a śmierć Stalina przerwała jego starania. Wkrótce rozstrzelano go jako głównego organizatora tej „sprawy”, która pod względem nikczemności przewyższała wszystkie podłości „kultu jednostki”. Później na mocy wyroku sądu rozstrzelano Abakumowa oraz innych aktywnych działaczy MGB.

Przytoczone dane są tylko powierzchownym i krótkim schematem sił napędowych „sprawy lekarzy”. Są one ledwie zauważalną szparą w zasłonie, co przykrywa tajemnice stalinowskiego pałacu, w porównaniu z którymi „tajemnice pałacu madryckiego”, budzące przestрах u czytelników z czasów carskich, to tylko niewinne rozrywki dziewcząt z pensjonatu dla dobrze urodzonych pańienek.

Moskwa, 1973—1975

Epilog

Minęło trzydzieści pięć lat od „sprawy lekarzy” 1953 roku. Stopniowo bledną w pamięci szczegóły tych wydarzeń.

Emocjonalna wyrazistość w okresie pracy nad książką stopniowo zacierą się (choć nigdy do końca) i wypierana jest przez uspokajającą się, ale nie spokojną pamięć.

Czasem pamięć o „sprawie” podniecana jest złośliwymi szykanami, ożywiającymi idee „sprawy lekarzy”. Wiadomo mi o niektórych takich faktach. Świadczą one o tym, że gdzieś tam w mrocznej głębi społeczeństwa czają się siły gotowe w każdej chwili wznieść sztandar tej „sprawy”. Czekają tylko na odpowiedni moment. Muszę niestety ich zasmucić — nie doczekają się! Gwarancją są te historyczne przemiany, które zachodzą w całej strukturze radzieckiego społeczeństwa, idee przebudowy i nowego myślenia.

Mam podstawy, by być optymistą. Najlepszym dowodem są losy tej książki. Pisałem ją w latach siedemdziesiątych bez cienia nadziei, że ujrzy ona światło dzienne za mojego życia. Wtedy jeszcze panował inny klimat społeczno-polityczny. Powodowała mną tylko świadomość, że powinien zostać jakiś literacki ślad „sprawy lekarzy”. Myślałem o tym, że książka doczeka czasu, kiedy rozum zwycięży ciemnotę, i dotrze do czytelnika. I czas ten nastąpił. Dożyłem tego i jestem szczęśliwy.

Często powtarzam sobie znane strofy z wiersza Fiodora Tiutczewa „Cyceron”:

Szczęśliwy, kto oglądał świat
W chwilach przemiany i przełomu:
Bogowie go do swego domu
Wezwali, by do uczt siadł...*

Niech pamiętają o tym ci, którzy przeżyli! To pomoże im uświadomić sobie przeszłość...

Moskwa, 1988

* przełożył Julian Tuwim

Spis treści

Raport opowiada...	5
Przedmowa autora	8
Rozdział I	10
<i>Komunikat rządowy o spisku lekarzy terrorystów. „Lekarze zabójcy” we wcześniejszej historii WCzK i MGB.</i>	
Rozdział II	19
<i>Opinia publiczna w przeddzień „sprawy lekarzy”. Walka z kosmopolityzmem, „służalnością wobec Zachodu” i o priorytety narodowe, terror w świecie medycznym i poza nim.</i>	
Rozdział III	41
<i>Instytut im. Tarasewicza. Aresztowania mikrobiologów. Ogólna atmosfera w instytucie. Kontrola stanu kadry naukowej i moje perspektywy.</i>	
Rozdział IV	50
<i>Zagęszczenie atmosfery politycznej w latach 1951—1952. Pierwsze aresztowania profesorów lekarzy. Oświadczenie rządowe z 13 stycznia 1953 roku. Reakcja za granicą i w ZSRR. Wiece, wybuchy niezadowolenia. W oczekiwaniu na represje. Paniczny strach przed medycyną.</i>	
Rozdział V	64
<i>Zwiastuny aresztowania. Aresztowanie, rewizja, reakcja środowiska, Łubianka — pierwsze wrażenia.</i>	
Rozdział VI	82
<i>Więzienie. Reżym. Oskarżenia. Szczegóły śledztwa.</i>	
Rozdział VII	134
<i>Zwiastuny końca „sprawy lekarzy”. Wezwanie na Łubiankę 14 marca do generała, a 21 marca do komisji rządowej. Zdemaskowanie oskarżeń. Przerwanie śledztwa.</i>	
Rozdział VIII	149
<i>Zwolnienie. Komunikat rządowy o likwidacji „sprawy lekarzy”. Reakcja w świecie na tę wiadomość.</i>	
Rozdział IX	185
<i>Jak powstała „sprawa lekarzy”</i>	
Epilog	192

8500-

ISBN 83-7001-306-6

